



55

Na swobodzie

Blagierzy Bogom

KSIE
SIC
i mat

Artur Gruszecki

Na swobodzie

Powieść współczesna

Odbito czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie.

Warszawa o Jan Fiszer o 1904



59693

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28/III 1908 г.

K. 21/76/62024



— Iwaśku! Pomału! — zawołał z głębi powozu pan Piotr Stachulski, były marszałek powiatowy, i, wychyliwszy się do połowy, spojrzął z lekkim niepokojem na długą, wąską, wyboistą groblę wielkiego stawu.

— Przecież wiem — odmruknął stangret i, zebrawszy lepiej lejce w rękę, krzyknął na czwórkę koni, zaprzężonych w poręcz: — Ho, ho, ho... małuśkie... wiiiio!

Pan marszałek wyprostował się, odrzucił fartuch powozu, by móżdż dogodniej wyskoczyć w razie wypadku, i jeszcze raz polecił stangretowi:

— A ostrożnie!... Pomału...

Po prawej stronie grobli ciągnął się ku wschodowi głęboki jar, zarośnięty trzcina i sitowiem, przez który przepływała struga ze stawu, rozlewająca się leniwie. Po lewej stronie promieniał jaśkrawo, w południowem, majowem słońcu wielki staw, nad którym stały w nieładzie chaty chłopskie, pokryte zczerniałą słomą.

Roziskrzony staw zdawał się oddychać i żyć białymi promieniami, które, łamiąc się na lekkiej

fali, rzucały snopy olśniewającego światła. A w tym potopie padających i odbitych promieni od czasu do czasu zabłysła biała rybitwa, jak srebrny, iskrzący liść; lub jak czarna kula przemknęła się zwinna jaskółka, albo zaszarzała jękliwa czajka, zapadająca szybko w sitowia, okalających brzegi stawu, który dziś, w majowym słońcu, zdawał się święcić dzień szczęścia i tryumfu, a plusk rozbi-
janych fal, szmer trzciny, szum osik i wierzb nad-
brzeżnych, odgłosy ptactwa, tworzyły pieśń chwały
i potęgi życia.

Lekki powiew wiatru przynosił ze sobą zapach wilgotnych oparów, miodną woń rozkwitłych zbóż, świeżość rozbudzonej ziemi, drzew i kwiatów.

Za groblą, po lewej stronie, na lekkiej pochy-
łości, stały chaty szare, pociemniałe, tylko kopuły
cerkiewki promieniały jaskrawo, a z prawej, na
lekkim wzgórzu, wśród licznych, bujnych drzew,
stał dwór.

Powóz, pochylając się to w tę, to w ową stronę,
posuwał się zwolna po grobli. Nagle, orczykowe,
poczuwszy lepką grzązkość podmytej grobli, po-
częły się spierać, tłoczyć, kładły się na dyszlowe,
które, zduszone, stanęły, wierzgając.

— Czort z taką groblą! — zaklął stangret, okła-
dając batem konie.

Skoczyły konie, i wstrzymywane silną ręką stan-
greta, zując wędzidła, szły dalej niespokojne, spo-
glądając trwożliwie na obie strony. Na chwiejnym

mostku, nad spustem stawu stapały ostrożnie, pa-
trząc podejrzliwie na głuchy młyn. Jeszcze raz
przestraszyły się maciory z prosiętami, która z roz-
kosznego legowiska w bajorze zerwała się tuż
przed końmi z przeraźliwym kwikiem dbałości
o swe potomstwo, i, pędząc młode przed sobą, po-
trącając opieszale ryjem, pędziła ku wsi.

Minęli wreszcie groblę. Stangret, dojeżdżając
do brzegu, przeżegnał się ukradkiem, mruknawszy:
— Sława Bogu! Ot, i Mironówka! — spojrzał
na wieś rozrzuconą i dwór ukryty wśród drzew.

Marszałek odetchnął z uczuciem ulgi, podkreślił
mocno szpakowate, obwisłe wąsy, uśmiechnął się
i rzekł:

— Iwaśku! Z powrotem wyprzegniesz orczy-
kowe, przez groblę pójdą luzem.

— Słucham — i po chwili, trzaskając z bata,
zawołał na konie zawodzącym głosem: wiio, ho, ho!
wiio, ho, ho!

Z przydrożnych chat wypadły najpierw nasze-
kujące psy, za nimi biegły pędem dzieci, a z o-
twartych drzwi i okien wyjrzały zaciekawione
głowy kobiet i mężczyzn.

Bramą ogrodzenia dworskiego wjechał powóz na
zarośniętą trawami, licho utrzymaną drogę wja-
zdową, ocienioną staremi, do połowy uschłymi drze-
wami. Z powodu licznych nierówności konie szły
zwolna, a marszałek rozglądał się ciekawie po bu-
dynkach gospodarskich, stojących opodal za ogro-

dem. Śpichrz, stodoła, stajnie, chlewy, wszystko stare, pokrzywione, połatane, kryte zczerniałą słomą, na której tu i owdzie porastał ciemnozielony mech, jak pleśń na zepsutej kiszzonej kapuście.

Marszałek z lekceważącą pogardą odwrócił się i, porównyując w myśli swe budynki gospodarskie z tutejszemi, zawołał:

— Iwaśku! Widzisz stajnię?

— Toż widzę... ot pożał się Boże!... Straszno konie wprowadzić...

— Hm... ale pani pieniądze dusi — uśmiechnął się marszałek ironicznie.

— Babskie gospodarstwo — mruknął Iwaśko wzgardliwie.

Z pomiędzy drzew widać było dwór odosobniony na małym placyku. Dwór murowany, trochę zapadnięty w ziemię, z lekko pokrzywionym dachem gontowym. Tynk na murze odpadł tu i owdzie, odsłaniając cegłę, wyglądającą jak żywe mięso po zdarciu skóry; gdzieś tam zaciekająca z dachu woda przegryzała tynk, rozlewając się plamą brudną.

Iwaśko strzelił z bata, ruszyły konie i wkrótce stały przed gankiem, wspartym na czterech odrapanych słupach.

Z głębi sieni wybiegł stary lokaj, w czarnym, znoszonym surducie, zgiął nisko zeszywniały kark i pomagał wysiąść gościowi z powozu.

— Cóż Pawle?... Pani jest? -- spytał marszałek z łaskawym uśmiechem.

— Jasna pani czeka — odpowiedział, prostując się, i spojrzął z pokorą na gościa wypłowiałymi oczyma.

— Jest kto u was? — spytał marszałek w przedpokoju, pozwalając Pawłowi rozebrać się z płóciennego kitla.

— Pan Sapacki z Hawrońcowa.

Marszałek przystąpił do lustra z ciemnymi centkami, jak po przebytej ospie, obciągnął ciemną marynarkę, trochę ciasną na wystającym brzuszku, przyglądził obwisłe, szpakowate wąsy i z kapeluszem w ręku gotował się do wejścia do dalszych pokojów, gdy otworzyły się drzwi boczne, z lewej strony, i w progu stanęła panna Celina Jamiołkiewiczówna, kobieta przeszło lat pięćdziesięciu, szczupła, lekko pochylona, w ciemnej sukni.

— Serdecznie dziękuję panu marszałkowi za odwiedziny — rzekła suchym, bezdźwięcznym głosem, siląc swą twarz surową, pomietą zmarszczkami, do uprzejmego uśmiechu.

— Wezwany, przyjechałem... jakże zdrowie pani dobrodziejki?

— Dziękuję, trzymam się jako tako... niechże pan marszałek pozwoli... proszę...

Weszli do salonu, oświetlonego trzema oknami, gdzie blisko progu oczekiwał ich dawniej przybyły gość, pan Sapacki, szpakowaty blondyn, nakrywa-

jący łysinę bocznymi włosami. Wysoki, gruby, rozjaśniał uśmiechem brązową z opalenia twarz, pochylał głowę, osadzoną na tęgim karku, mrucząc:

— Sługa pana marszałka dobrodzieja — i wyciągnął wielką, czerwoną rękę.

— A i sąsiad tutaj!? Miło mi... miło... — uśmiechnął się łaskawie.

Gospodyni usiadła na wielkiej kanapie, wskazując panom staromodne fotele, pokryte czerwonym, spłowiałym adamaszkiem. W salonie, mimo otwartego okna, unosił się niemiły zapach starzyzny, zmieszany z pleśnią i rozkładem dawnych perfum. Z rozstawionych mebli, z oszklonej serwantki, pełnej pamiątek, z zacienionych kątów wiał chłód niezamieszkanego pokoju, jakaś sucha, beztreściwa formalistyka.

— Widziałem oziminy pani — zaczął marszałek — o, ładne!

— Chwała Bogu, niezłe — odparła z uśmiechem na wąskich ustach — a u pana marszałka?

— Ujdzie... ujdzie... gdzie Poluś?

— Wyprawiłam go umyślnie do miasta po sprawunki, aby nam nie przeszkadzał.

— Hm... czyżby on przeszkadzał? — zdziwił się marszałek — toż to chłopak dorosły, ma już chyba lat dwadzieścia pięć? Mężczyzna.

— Osiemnastego czerwca zaczął dwudziesty czwarty — rzekła porywco, głosem twardym — ale to jeszcze dziecko... młody, niedoświadczony...

a że chciałam zasięgnąć rady panów względem niego... wołałam, aby był nieobecny.

— O cóż idzie? — spytał marszałek zaciękwiony, wpatrując się okrągłemi, ciemnymi oczyma w panią Celinę.

— Rzecz w tem, panie marszałku — odezwał się pan Sapacki donośnym, głębokim głosem — że ani pani, jako ciotka, ani ja, jako opiekun dawny, nie możemy się zdecydować, co zrobić z Polusiem...

— Hm... cóż takiego?

Gospodyni, poprawiwszy fałdy ciemnej sukni, podniosła głowę i patrząc w pulchną twarz marszałka, mówiła pewnym głosem:

— Poluś, jak panom wiadomo, to dobre, ciche, posłuszne dziecko... nie wie co to złość, zawziętość, a o wybrykach pojęcia niema.

— Tak, tak, wychowała go pani dobrodziejka w cnocie i posłuszeństwie — potwierdził pan Sapacki.

— Robiłam, co mogłam — mówiła z zadowoleniem panna Celina — chroniłam od złych wpływów, by wyrósł na pociechę rodziny i obywatelstwa.

— Wiem... wiem... — westchnął marszałek — to złoto nie chłopiec, a przytem ma majątek... podobno wziął sukcesyę po wuju?

— Tak, tak — dodał pan Sapacki — właściwie nieboszczyk zapisał połowę pani dobrodziejce, a drugą siostrzeńcowi, o! to ładna wieś na Pobereżu i gotówka...

— A kto tam gospodaruje?

— Oddałam w dzierżawę — wyjaśniła gospodyni — nie mogłam rozstać się z Polusiem, ani on ze mną.

— No i połowa Mironówki jego — rzucił marszałek.

— Cała, panie marszałku!... cała! — zawołała ciotka — nikogo nie mam bliższego na świecie.

— I gotóweczka się znajdzie — uśmiechnął się marszałek.

— Hm... coś się złożyło — rzekła pani, spuszczać skromnie oczy — ale to było w dawnych, dobrych czasach — westchnęła — teraz trudniej, chłopci rozzuchwaleni.

— Prawda, święta prawda — rzekł żałośnie pan Sapacki — dziś chłopom robota śmierdzi, drożą się, targują.

— Jeszcze panom, jak panom — westchnęła gospodyni — ale kobiecie z tą hołotą bardzo trudno.

— Od czegoż Poluś? — zawołał marszałek.

— To takie niedoświadczone dziecko — mówiła tonem łagodniejszym, a surowa, energiczna jej twarz traciła cokolwiek z ostrości na wspomnienie siostrzeńca — chciałabym go jak najdłużej ochronić od kłopotów... jego wyzyskałby każdy, bo on ma dobre serce, łatwo się rozczuła, zwyczajnie, jak dziecko.

— Dobrze mi dziecko — zaśmiał się marszałek — w jego wieku byłem już żonaty, ba, i dietny.

— Inne to były czasy — uśmiechnęła się pani — dziś świat taki zepsuty.

— Gorzej teraz, bo gorzej — rzekł marszałek — ale bardzo źle nie jest... czemże mogę służyć sąsiadce?

— Radą, panie marszałku, radą! — zawołał pan Sapacki.

— Obiad podany!

— Panowie pozwolą — rzekła gospodyni wstając, — skromny obiadek...

— Przyznam się, że i ja jestem głodny — uśmiechnął się marszałek — przeczekałszy się wiorst trzydzieści, czuję apetyt — podał rękę pani domu.

— Cieszy mnie to, — uśmiechnęła się — bo głód to kucharz najlepszy... Panią proszę...

Przeszli do pokoju jadalnego. Na wielkim owalnym stole, nakrytym białym obrusem stały faszki z wódką i winem, zimne przekąski i trzy nakrycia. Ze względu na gości, a zwłaszcza marszałka, wyjęła pani odziedziczoną porcelanę z herbem rodzinnym „Ślepowronem“, stare srebra i starannie zachowywane rżnięte kieliszki i szklanki.

W milczeniu zajadano barszcz ukraiński, zawiesisty, ze śmietaną, słychać było tylko szcęk łyżek i wciąganie gorącej zupy.

W czasie przerwy przed mięsem, pan Sapacki, odetchnawszy głęboko, rzekł — patrząc w okno, przez które widać było jasne niebo i rozpromienione słońcem drzewa:

— Chwała Bogu, że pogoda się ustaliła... drogi są wyborne.

— Drogi jak drogi — uśmiechnął się marszałek — obeschły, ale grobla mironowiecka zaczeka lepszych dni.

Pani spochmurniała i rzekła głosem szorstkim, niemal porywczym:

— Pierwszy chleb, a dopiero okrasa. Musiałam się wpierw obsiać, obrobić rolę...

— Słusznie... słusznie, — przytakiwał marszałek.

— Od świętego Jana zmieniam dzierżawę młyna, i nowy będzie miał obowiązek naprawiać groble.

— Byle tylko dotrzymał, — dorzucił pan Sapacki.

— Zależy od umowy, a tę chyba potrafię napisać — odpowiedziała twardo.

— Hm... wiadomo, toż pani tyle lat gospodaruje, dobrze idzie.

— Ja po staremu sieję, Pan Bóg rodzi, a jesienią zbieram... na żadne nowinki nie puszczam się.

— I słusznie, — przytakiwał marszałek, nabierając pieczeni z półmiska.

— Cała ta nowa agronomia dyabła warta — zawołał popędliwie pan Sapacki, — ot, takie gospodarstwo w Ohrymówce... póki wszystko szło po staremu, był i chleb i dostatek. Wziął młody na kiel, i to co Niemcy wymyślili nuż zaprowadzać w Ohrymówce... stracił, zmarnował i dziś ostatkami goni.

— Pewno ze wsi wyleci, — dodał marszałek, — a chciał nas wszystkich rozumu uczyć, toż znamy naszą ziemię... wyorz dobrze, zabronuj, zasiej, a resztę zdaj Bogu i jakoś będzie.

— Agronomia dobra na piaskach, dla biedaków, co kłosa na zagonach liczą, ale nie u nas — rzekł tonem pewności pan Sapacki.

— Drugich słuchaj, a swoje rób — dodała pani sentencyonalnie.

Wniesiono pieczyste i na usilne nalegania gospodyni wziął marszałek kawałek kaczki, krajając ją na talerzu, rzekł z pewną żywością:

— A wiecie państwo nowinę?... Obiegła już pewno połowę powiatu.

— Cóż takiego?

— Berezowiczówna odpaliła trzeciego z rzędu konkurenta.

— Co też marszałek mówi? — zdziwił się pan Sapacki, gdy na twarzy gospodyni odbiło się niezwykłe zainteresowanie, i nie spuszczała oczu z marszałka, jak gdyby pragnęła odczytać skryte myśli.

— Tak, tak, — dodał marszałek, — Fularski dostał odkosza, a chłopak dobry, dość zamożny.

— I dlaczego? — spytała pani.

— Hm... o ile wiem, zarzuciła mu brak wykształcenia, czy coś takiego. Co prawda, nie wymyśli on prochu, ale szlachcic dobry, ma ładny folwark.

— Osiądzie ona na koszu, jak będzie tak przebieżała, — rzekł z powagą pan Sapacki.

— Iii... nie tak bardzo, bo posag ma gruby, licząc ją na przeszło sto tysięcy.

— Sto tysięcy, mówiła pani zwolna, — i czy istotnie ona taka ładna?

— Powiadam pani, kobieta jak łania, a przytem wychowana, była na pensyi w Warszawie i w główce ma dobrze.

— Ale i języczek ostry, — zaśmiał się pan Sapacki złośliwie.

— Wiem i ja coś o tem, — rzekła pani nachmurzona. — Poluś poznał ją w sąsiedztwie, podobąła mu się, chwalił ją bardzo, a jednak nie chce jechać do niej.

— No i dlaczego?

— Hm... dlaczego? — rzekła pani i rzuciła okiem na lokaja, zajętego przy kredensie, — pomówimy przy kawie.

Gdy podano leguminę, wszczeła się ożywiona rozmowa o cenie robotnika i służby dworskiej, która się przeciągnęła do końca obiadu. Po wypiciu wina przeszli panowie w towarzystwie pani do salonu, gdzie podało kawę czarną.

Jakkolwiek rozmowa była interesująca, znać było po pani niepokój i baczne nasłuchiwanie dźwięków dochodzących z pokoju jadalnego. Widać było, że radaby pozostać przy gościach i przemódz troskliwość o pozostawione wódki i wina; gdy jednak posłyszała charakterystyczny odgłos

butelki o kieliszek, wstała i jak na swój wiek dość szybko przeszła do jadalni, mówiąc gościom:

— W tej chwili wrócę...

— Ależ przypiekle ją resztki nieschowane — zaśmiał się marszałek.

— Dobra kobieta — dodał pan Sapacki, — tylko nazbyt oszczędna.

— Powiedz pan skąpa.

— No tak, wszystkim i sobie żałuje, tylko nie siostrzeńcowi.

— To będzie kiedyś zamożny człowiek — rzekł zwolna marszałek.

— Nawet bogaty — dorzucił pan Sapacki — bo stara siedzi na pieniądzech.

Weszła pani dość pospiesznie i oddychając głęboko, usiadła na kanapie. Próbuąc kawy łyżeczką, rzekła, oschłym tonem wśród chwilowej ciszy:

— Zaprosiłam panów na naradę. Pana marszałka jako przewodnika dawnego całej szlachty w naszym powiecie, a pana — zwróciła się do drugiego gościa — jako przyjaciela i byłego opiekuna.

— Czem mogę służyć? — spytał marszałek uprzejmie.

— Poluś za rok, za dwa powinien się ożenić — westchnęła wbrew woli.

— Słusznie — przytakiwał marszałek — po co ma się marnować krew szlachecka.

— O, on nie taki — zawołała z żywością — on oczu nie śmie podnieść na kobietę.

— I uchował się w cnocie — zaśmiał się marszałek, mrugnawszy do sąsiada.

— Sama go wychowałam i wiem co mówię — powiedziała tonem surowym.

— Tem lepiej, tem lepiej — zamruczał marszałek.

— W zeszłym roku zauważyłam, że córki mego ekonoma strzelają oczyma do niego.

— A on nie mrugał? — zaśmiał się marszałek.

Pani zmierzyła go karcącym spojrzeniem i nie odpowiadając ciągnęła dalej:

— Naturalnie ekonoma odprawiłam. Niedługo potem dowiaduję się, że córki dzierżawcy z sąsiedztwa zagięły parol na Polusia. Spostrzegłam wczas i zabroniłam.

— I on posłuchał? — spytał z lekkim niedowierzaniem marszałek.

— Kazałam — odpowiedziała surowo — a on posłuszny — po chwili milczenia mówiła: — są to wprawdzie drobne fakty, ale zaniepokoiły mnie.

— Niepotrzebnie — wzruszył ramionami marszałek — to krew pani dobrodziejko, krew! — podkreślił wyraz ostatni.

— Co mi też marszałek mówi krew! — zawołała rozdrażniona — to przecież dziecko, i co on temu winien, że jakieś dziewczyska zalecają się do niego?

Marszałek na razie zachmurzył się, jednak wnet się rozpozgodził, wypił kieliszek likieru, zaciągnął

się papierosem, a rozparłszy się lepiej w fotelu, rzekł z odcieniem przekory:

— A ja jeszcze raz powtarzam swoje, że to krew... Pamiętam, że jeszcze w gimnazyum uczyłem się o jakimś Achillesie, którego matka wychowywała jak dziewczynę — uśmiechnął się drwiąco — no i jak przyszło do wyboru zabawek, dziewczynki wybrały lalki, a mały Achilles szablę... Ot, co to krew znaczy — zaśmiali się obaj panowie.

— Należało powiedzieć, panie marszałku — mówiła łagodniejszym tonem — że pan ma na myśli krew szlachecką, toż i Poluś, jak przystało na szlachcica, poluje, jeździ konno... ale nie o tem mowa... Chciałam uchronić Polusia od pokus niegodnych syna obywatelskiego i posłałam na imieniny do Medwejówki, tam — westchnęła — zawrócił sobie Poluś głowę panną Berezowiczówną.

— No, nieszczęścia niema — zaśmiał się marszałek.

— Panna z dobrego domu, bogata i ładna — dodał pan Sapacki.

— Nie znam jej osobiście, ale wszyscy ją chwala... i gdyby się wszystko dobrze złożyło, to niechby się pobrali.

— No tak, zapewne — zamruczał marszałek.

— Otóż chciałam prosić pana marszałka, aby wybadał starego Berezowicza. Poluś to partya dobra, po mojej śmierci odziedziczy dwie wsie i gotówkę.

— Hm... pogadać z Berezowiczem mogę i on zapewne się zgodzi... ale panna jest wybredna... tego nie ukrywam.

— Poluś napewno jej się spodoba, tego jestem pewna, tylko że...

— Cóż takiego? — spytał pan Sapacki.

— Świat sądzi — uśmiechnęła się gorzko — że jestem zaślepiona w Polusiu, a ja doskonale widzę jego zalety i wady.

— Ho, ho, więc on ma wady? — zaśmiał się marszałek.

— Któż jest bez wad? — westchnęła — ja już stara, mało gdzie bywam, a Poluś dotrzymuje mi towarzystwa i dlatego jest nieśmiały, lękliwy, nie umie nadskakiwać pannom, jest małomówny, ale to złoto nie chłopiec, serdeczny, szczerzy i gdyby to było za dawnych czasów, nie miałabym żadnej obawy.

— Tak, tak, dawniej było lepiej — westchnął marszałek — ale dziś panny inne, przewracane mają w głowie, zawsze nie wiedzą, czego chcą... mało im urody, majątku, rodziny dobrej... — zwiesił głowę, założywszy obie ręce na brzuszku.

— Kto jest bardziej wygadany, ten dla nich lepszy — przemówił ze zgorzaniem pan Sapacki.

Przez chwilę zapanowało milczenie, wreszcie odezwała się pani:

— Otóż zanim Poluś pojedzie w konkury, chciałabym, aby się trochę obył ze światem, nabrał po-

loru, pozbył się swej nieśmiałości... cóż panowie radzicie?

— Najlepsza rzecz wojaż! — zawołał marszałek głosem uradowanym — zobaczy inny świat, innych ludzi, przetrze się, ogładzi, bo to jak młody człowiek zasiedzi się, kręci się w kółko, to nie dziwnego, że w towarzystwie zapomina języka w gębie.

— I ja to mówię, niema jak wojaż — potwierdził pan Sapacki — zwłaszcza, że Polusia stać na to.

— Myślałam i ja o tem — przemówiła z wolna pani — bo dla dobra Polusia niczego nie pożałuję... ale rzecz idzie o to, gdzie go wysłać? Do Kijowa, czy do Odesy?

— Hm... to zależy... Kijów, no tak, w czasie kontraktów jest kogo zobaczyć, z kim się zabawić... Ale teraz?... w lecie?... kto z naszych tam jest?...

— A w Odesie — dodał pan Sapacki — teraz nastają gorąca, niezdrowo, miasto puste... a możeby tak Polusia wysłać do wód?

— Hm!... może to nie zła myśl — rzekł marszałek — a co pani sądzi?

— Ależ on zdrow! — zawołała — nic mu nie brak... takie miejsce, jeszcze nie daj Boże wywróży mu chorobę... nie, nie chcę.

— Otóż moja dobrodziejko — przemówił po dobrej chwili marszałek — jeśli chce pani posłuchać mojej rady



— Ależ tak... o to proszę — rzekła pospiesznie.
— Wyslij pani Polusia do Warszawy.
— Do Warszawy... — mówiła z wolna, oddzielając każdą sylabę z obawą w głosie.
— Ho, ho, ho, aż tam! — mruknął pan Sapacki niezadowolony.

— Wiem i ja, że to miasto nie słynie cnotą — bronił marszałek swego projektu — ale, ot co, miasto piękne i bogate... a umieją gadać, przekonywać, że choć uszy zatykaj... ludzi grzecznych, z prezencją można często spotkać, poznać się...

— Ależ to świat taki! — jęknęła pani.

— Iii, tak znów nie jest... do stacji Krystynówki wiorst sto dziesięć, a koleją za trzydzieści sześć godzin w Warszawie.

— Tak częste wypadki na tych kolejach, a nuż nie daj Boże! — westchnęła.

— Ot, wierzy pani gazetom — uśmiechnął się marszałek, — nie mają co pisać gryziptórki, to wymyślają przypadki na kolejach... Ileż to razy bywam na kontraktach w Kijowie, zawsze koleją, rok rocznie, tam i napowrót, a chwala Bogu żyję i nic mi się nie stało.

— Byłem i ja w Odesie ze trzy razy, no i w Kijowie także — rzekł pan Sapacki — i jakoś szczęśliwie się udało.

— Jeździłam i ja raz do Sławuty koleją — zaczęła pani — ale się zarzekłam. Zamykają człowieka w budzie, a kto tam wie, kto siedzi na ma-

szynie i wiezie mnie... może pijany, może chory... jestem na łasce Bóg wie kogo...

— W interesie kolei leży, aby maszynista był dobry, — sprzeciwił się marszałek — toż każdy pociąg, to majątek nielada.

Po chwili milczenia rzekł pan Sapacki:

— Wracając do wojażu Polusia... byłbym i ja za Warszawą... tylko strach wysłać go w taką przepaść zepsucia.

— Słusznie mówi sąsiad dobrodziej — westchnęła pani — ta Warszawa, to istna Sodoma i Gomora...

— Ee... nie taki dyabeł straszny, jak go malują — uśmiechnął się marszałek — czy to ludzie nie jeżdżą i dalej jeszcze, niż do Warszawy, do Paryża...

— Co innego człowiek stał się, żonaty i on się hamuje, i żona go powstrzyma, a co innego, takie niedoświadczone dziecko.

W tej chwili w przyległym pokoju rozległy się ciężkie kroki, a pani z uśmiechem radości zawołała:

— To on... to Poluś!

Obaj panowie zwrócili się ku drzwiom, przez które wszedł młody, zgrabny szatyn, ubrany w jasną marynarkę i wysokie, błyszczące buty. Ciemnymi, trochę przygaszonymi oczyma, spojrzął po obecnych i, całując głośno kościstą rękę ciotki, przemówił głosem mdłym, cedzącym słowa:

— Dowiedziawszy się o przyjeździe tak miłych gości, wprost z szarabanu przybiegłem powitać.

I zmieszany, z pewną niezręcznością w ruchach, witał panów niesmiało i pokornie, patrząc z pod oka na ciotkę, czy pochwała jego postępowanie.

— Cóż słyhać nowego, panie Apoloniuszu? — spytał marszałek.

— O panie marszałku! — zawołała pani — niechże pan po staremu mówi mi: ty, toż to dziecko — i mrugnęła okiem na siostrzeńca.

— Proszę pana marszałka — zaczął młody, i nachylił się, by w ramię go pocałować — to dla mnie zaszczyt.

— Ależ taki chłop pod wąsem! — uśmiechnął się zagadnięty i patrzył na lekko bladawą, jakby zmęczoną twarz, którą zdobił ciemny, w górę podkrecony, pielęgnowany wąsik, — jeśli państwo każecie, coż mam robić?... a więc co słyhać?

— Dziękuję... jak zdrowie pana marszałka do brodzieja?

— Trzymam się... coż w mieście?

— Cioteczko, sprawunki załatwiłem, a co do żyta przyrzekł Judka...

— Nikt się nie pyta ciebie o Judkę — prze-rwała mu surowo ciotka.

Wśród chwilowego milczenia spytał pan Sapacki:

— Czemużeś Polusiu nie był u mnie?

— Byłem zajęty... i nie chciałem przeszkadzać panu.

— Iii... teraz mam tylko z burakami do czynienia, czasu mam dosyć.

— Właśnie radziliśmy tutaj o tobie kawalerze — rzekł marszałek.

— O mnie? — zdziwił się — i bezemnie?

— Ja tu byłem — rzekła ciotka oschłym tonem — teraz idź jeść obiad, przebierz się i przyjdź!

— Dobrze cioteczko! — odparł cicho i na palcach wyszedł.

— Ho, ho, ale rygor jest... — uśmiechnął się marszałek.

— Chłopców trzeba trzymać ostro, to mój system.

— Idealny z niego będzie mąż! — zaśmiali się obaj panowie.

— To znów co innego — powiedziała zimno — ja mu zastępuję i ojca i matkę... a żona jest mu równą.

— Hm... ale jak przywyknie...

— To i odwyknie, panie marszałku, a nie widziałam jeszcze takiego męża, któryby nie przewodził nad żoną.

— Dużoby o tem było gadać, pani wie swoje, a ja swoje... No, a jakże będzie z Warszawą?... Teraz wyścigi, zjazd obywatelstwa...

— To pewno drogie wszystko — zrobił uwagę pan Sapacki.

— Iiii... tamtejsi cienko śpiewają, bo na piaskach siedzą, nie to co u nas na kontraktach.

— Kiedy się boję panie marszałku.

— Poradzi on sobie, — uśmiechnął się — dam mu listy polecające do znajomych, mam ich kilku,

jak Sopotkiewicz, dom zacny, dobra szlachta, za-
można... albo Silnicki, serdeczny człowiek, a żona
choć królewianka, ale dobra kobieta.

— Byłe się nie zepsuł, — rzekł żałośnie dawny
opiekun.

— Niech tylko on nie psuje, — zaśmiał się.

— Wiem co mówię, panie marszałku — zaczął
z powagą pan Sapacki, — mam tego dowody.

— A no, ciekaw jestem.

— Do moich chłopców przyjąłem korepetytora
z Warszawy... aż raz zachodzę do jego stancyi, na
stole leżą gazety, czytam, hm... *Kolce* z rysunkami.
Gdzie spojrzeć kobiety ubrane i trochę nieubrane,
czytam podpisy, toż to zgorszenie, wstyd... co która
się odezwie, to przepraszam za wyrażenie, jak bez-
wstydnice, ladacznice, bez względu czy mężatki
lub nie. A kogoż oni rysują? z kąd biorą wzorki?...
Z Warszawianek... I nie wiem, czy jedna jest tam
uczciwa, chyba, że przejezdna.

— Hm... hm... tak bardzo i ja nie przeczę, co
do rodowitych, ale kto nie chce nabić guza, to i nie
znajdzie... a po za tą miejską hołotą przemie-
szkuje tam dużo szlachty, naszych... I mojem zda-
niem mężczyzna powinien widzieć złe, odeprzeć
pokusy, aby mu tem lepiej smakowało dobre...
chyba... że pani nie ufa siostrzeńcowi, to znów
rzecz inna, a chyba pani po tylu latach...

— Znam go i ufam, — rzekła z przyciskiem, —

jeśli przyrzeknie, a ja mu zakażę, niema takiej
pokusy, aby uległ?

— No, w takim razie niechże go pani wysle na
wojaż, to najlepsza szkoła, chociaż droga.

— Tylko te Warszawianki, — westchnął dawny
opiekun, — każda z nich niepotem... każda!

— Ja się nie boję o Polusia, — mówiła tonem
pewności, — chociaż wiem, że to, co powiedział
pan Sapacki, jest szczerą prawdą... Ale mówicie
panowie, że dla Polusia będzie Warszawa korzy-
stną... dobrze, niech jedzie... Cóż panie marszałku,
czy ufam Polusiowi?

— Widzę... widzę.

W tej chwili wszedł młody, starannie uczesany,
w lakierkach, i usiadł skromnie na krześle.

— W sam dobry czas przyszedłeś Polusiu, —
odezwał się marszałek, — wyjedziesz.

— Ja? Gdzie, dokąd?

— Zadomowiłeś się, chcę, abyś się trochę oży-
wił, rozruszał... i wyjedziesz do Warszawy — prze-
mówiła pani.

Błysk radości zamigotał w oczach jego, ale wnet
go zagasił i spytał:

— Czy z cioteczką?

— Nie, pojedziesz sam.

— A cioteczka sama tu zostanie? — spytał
z czułością, — bez cioteczki nic mnie nie będzie
cieszyło, ani bawiło.

— Wiecznie pod opieką cioci nie będziesz, —

przemówił dawny opiekun, — ciocia osądziła, że nadszedł czas, abyś samodzielnie wystąpił.

— Ale po co? na co? Kiedy tu mi tak dobrze, — i spojrział tkliwie na ciotkę.

— Wytłómaczę ci później, dość, że jedziesz do Warszawy, — rzekła nie bez rozczerwienia, — dwa, trzy tygodnie, to nie wiek... Pan marszałek obiecał dać ci listy polecające do znajomych... podziękuj.

Poluś zerwał się z krzesła i ucałował ramię marszałka, który przemówił uprzejmie:

— Listy wygotuję... jadąc na stację kolejową, wstap do mnie... a kiedy jedziesz?

— Nie wiem, — bąknął.

— Trzeba to i owo przygotować, — odezwała się ciotka, — za cztery... pięć dni.

— Zajedź-że do mnie... a uważaj Polusiu, bo reprezentujesz przed tymi królewiami nas, szlachtę całego powiatu; nie wdawaj się z byle kim, boś dobry szlachcic. A grywasz w karty?

— Tak... czasem z paniami... dla zabawy, a z paniami to z konieczności, — odpowiedział spuszcza-
jąc oczy.

— Oj bałamut z ciebie, — zaśmiał się marszałek, — z paniami ci przyjemnie, co?... Tylko nie ożeń się z Warszawianką.

— Ja? — zdziwił się szczerze.

— Nie znałabym ciebie, wyrzekłabym się, — zawołała ciotka z energią, — niecierpię Warszawianek, one wszystko za nic mają, o gospodar-

stwie żadnego pojęcia, im by się szwendać władnych sukniach; żadne matki, żadne gospodynie, żadne żony.

— Pani dobrodziejka ma rację, — rzekł pan Sapacki, — spojrzeć na tych Warszawiaków, a widziałem ich w Kijowie, wszystko to blade, wymokłe, mizerne, bo i z czegoś mają mieć siłę, zdrowie, gdy w domu nikt ich nie karmi po ludzku, nie pożywi, trudnoż żyć sukniami żony.

— A uważaj Polusiu, — ostrzegwał marszałek, — bo królewiaci wymowni, to nic u nich z czarnego zrobić białe i na odwrót.

— Ho, ho, „rozebrać“ tych frantów trudno, — westchnął pan Sapacki, — to nie nasze szczerze, ukraińskie natury... chytrzy a grzeczni.

— Ja też będę ich unikał starannie, — upewniał Poluś.

— U Sopotkiewiczów, Silnickich, ot twoje towarzystwo, już oni wprowadzą cię w świat nasz. A uważaj z tymi łykami, mieszcuchami, noś wysoko swój honor, boś „Ślepowron“, żadnych konfidencyi, poufaleń, gdzie trzeba płąć, ale z nimi zdaleka.

— Słucham panie marszałku, i zastosuję się, — rzekł Poluś głosem wdzięczności.

— A pamiętaj Polusiu, — zaczął pan Sapacki tonem ostrzegawczym, — unikaj przedewszystkiem kobiet... żadnej znajomości, grzeczności, bo te Warszawianki, jak przeważają młodego, zamożnego

szlachcica, zaraz lecą jak émy do ognia; a tyś przecie syn obywatelski, posesyonat, „Ślepowron“, nie tobie wdawać się z taką hołotą.

— Oj, to, to -- westchnęła ciotka. — Słuchając ojcowskich rad panów, i wdzięczna jestem i... gdybym nie była tak pewną Polusia, może nie puściłabym go do tego niebezpiecznego miasta. Pamiętajże, abyś nie zawiódł mego zaufania... nie przebaczyłabym ci nigdy — kończyła surowym tonem.

— Cioteczka może być pewną, że zastosuję się do rad cioteczki i panów... tylko nie wiem, jak sobie dam radę bez cioteczki — przemówił z rozczuleniem i ucałował ręce jej głośno.

— Zaczny chłopiec — mruknął marszałek.

— Złote serce — dodał pan Sapacki.

— Liczę na ciebie — rzekła ciotka z mimowolną czułością — nie darmo wychowywałam ciebie od dziecka — i suchą, kościstą ręką pogładziła włosy nachylonego.

— Czas już na mnie — odezwał się marszałek, oglądając się za lokajem, by mu polecić zaprzęganie swych koni.

— Jeszcze chwilę marszałku — prosiła pani.

— Nie mogę, muszę być w domu przed wieczorem, żona czeka... Możebyś Polusiu był tak dobry i kazał zajechać.

Wezwany wstał z krzesła i spojrział niezdecydowany na ciotkę, która rzekła:

— Ha, jeśli pan marszałek musi jechać... idź i powiedz Pawłowi.

Zaledwie zniknął za drzwiami, przemówił marszałek.

— Można tylko powinszować pani takiego siostrzeńca.

— Dobry, posłuszny, delikatny -- dodał dawny opiekun.

— A przedewszystkiem cnotliwy — mówiła pani z odcieniem dumy. — Dusza jego jak zwierciadło czysta i bez skazy, szczęśliwa ta, która go dostanie za męża... Ale, ale, panie marszałku, co do Berzowicza ułożone... pan pomówi z nim?

— Pomówię i z góry ręcę za pomyslną odpowiedź... a co do panny... powiedziawszy po prostu, byłaby głupia, gdyby go nie wzięła.

— I ja to mówię — potwierdził pan Sapacki — chybaby oczu nie miała. Chłopak zamożny, ładny, z dobrego gniazda...

— I niezsputy — pospieszyła ciotka — a jaki miły w codziennem pożyciu, zgodny, spokojny, cichy...

— Byleby nie był z ludźmi za pokorny — zrobił uwagę marszałek.

— O nie! — zawołała ciotka — on ma tę sprawiedliwą dumę obywatelskiego syna, wie co winien szlachectwu i herbowi swemu. Przecież to „Ślepowron“, nie byle jaki szlachetka, ma prawo

na liberyi swej służby używać purpury, bo w rodzinie są senatorowie.

— Muszę dodać — przemówił pan Sapacki — że na jarmarku w Humanu zachowywał się, jak przystało na szlachcica. Szukał tylko równych sobie, a od reszty trzymał się z pańska, zdaleka...

— Hm... to wzorowy młodzieniec — pochwalił marszałek, — będą z niego ludzie.

Wszedł Poluś, zawiadamiając że konie gotowe. Marszałek począł się żegnać z panią, a gdy już był na ganku, przypomniała mu o listach.

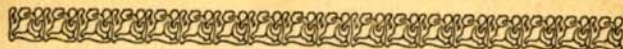
— Wygotuję na pewno, a wstąpię Polusiu.

— Nie zapomnę, panie marszałku.

— Dziękujemy panu marszałkowi za przyjazd i radę — przemówiła pani.

Marszałek na wsiadanem zwrócił się do stojących:

— Oby się tylko wojaż udał!



II.

Na dwa dni przed odjazdem, przy rannem śniadaniu, ciotka nabierając cukru do herbaty, spojrzała na obok siedzącego siostrzeńca i rzekła:

— Czego tak w nocy jęczałeś? Czy ci coś dolega? boli?

— Miałem sen przykry... śniło mi się, że szukam cioteczki wszędzie, po wszystkich pokojach, i nie mogę znaleźć, aż nareszcie wchodzi cioteczka i gdy chcę ją witać z radością, pogroziła mi kluczem.

— Hm... może to coś znaczy... to szukanie, to jakby rozłączenie — mówiła zwolna, kosztując herbaty — no, a ten klucz... to gospodarstwo, oszczędność. Czasem Pan Bóg zsyła podobne ostrzeżenia, pamiętaj, nie trać pieniędzy, nie wyrzucaj na byle co.

— Wiem cioteczko... przecież mam żywy przykład przed sobą, jak żyć należy.

Ciotka uśmiechnęła się leciuchno z zadowolenia i, smarując masłem chleb żytni, czarny, odezwała się po chwili:

— Miałam i ja sen dziwny... jeszcze teraz pozostają pod przykrem wrażeniem...

— Jakiż to, cioteczko?

— Widziałam ciębie z ohydną kobietą...

— Czy taka brzydka?

— Mówię o moralnej wartości — odrzekła z powagą surową — bo i cóż znaczy piękność zewnętrzna?... Zapewne widziałeś wśród lichych, brzydkich owoców, jeden piękny, błyszczący barwami... a wiesz który?... Owoce robaczywy dojrzewa najprędzej i wygląda najlepiej... Tak i kobieta, bywa nawet piękna, ale wewnątrz toczy ją robak próżności, i taka nikomu nie wyjdzie na pożytek... Wierz mi, że często kobieta, jak to mówią, brzydka, jest cnotliwsza i zacniejsza od tak zwanej pięknej. Nie wierzysz?

— Ależ wierzę cioteczko — zawołał pospiesznie.

— Otóż ta wstrętna kobieta, jak to bywa we śnie, to była tobą, znów sobą, a zawsze mieliście coś wspólnego...

— Et, cioteczko, Bóg wiara, sen mara — uśmiechnął się — ani mi się roi o jakiejś kobiecie.

— W każdym razie miej się na ostrożności... bywa i to, że pan Bóg przestrzega przed niebezpieczeństwem... ot, żałuję, że jedziesz do tej przekłętnej Warszawy... no, cóż zrobić?... powiedziałam, trudno odmienić.

— Ależ, cioteczko, cóż złego może mi się przytrafić?

— Boś młody, to i głupi — wzruszyła ramionami — człowiek wie, kiedy wyjeżdża z domu, a nigdy nie wie, kiedy wróci! — kończyła z ukraińska. Poluś w odpowiedzi westchnął, nakładając sobie na talerz szynkę.

— Czego wzdychasz? — spytała, patrząc mu w oczy.

— Chciałbym, aby cioteczka pojechała ze mną do Warszawy, bo nie wiem, jak wytrzymam dwa tygodnie...

— Także gadanie — wzruszyła ramionami — stara jestem, blisko sześćdziesiątki, podróży nie cierpię... zresztą zależy mi na tem, bym poznała, jak prowadzisz się, będąc sam sobie zostawiony.

— Ułożyłem już plan — rzekł Poluś po chwili, patrząc z pod oka na ciotkę — zaraz złożę wizyty u państwa Sopotkiewiczów i Silnickich... pójdę do teatru na poważne sztuki, na koncert...

— Hm... to dobrze, a dalej?

— Wie cioteczka, te moje tutejsze ubrania może będą nie ze wszystkim stosowne.

— Pomyślałam już o tem — odpowiedziała oschle — dam ci na garnitur frakowy i salonowy, jak myślisz, dużo?

— Icio tutejszy bierze trzydzieści pięć rubli... w Warszawie pewno drożej.

— Sto rubli ci wystarczy — westchnęła — a pamiętaj, zajedź do hotelu porządnego, jak to radził Sapacki.

— Pamiętam... do Europejskiego...

— A nie stawaj wysoko, gdzieś na drugim piętrze, bo uchowaj Boże ognia, trudno się ratować. Najlepiej na dole, albo już na pierwszym piętrze.

— Dobrze, cioteczko.

— Wolę już, abyś za stancję zapłacił rubla, chociażby półtora, byle bezpiecznie, a pamiętaj, zamykaj kufer i walizę, aby cię nie okradli.

— Wiem cioteczko... ale po co mi kufer i waliza?

Nie odpowiadając mu, zawołała ostro:

— Pawle, znieś ze strychu kufer ten wielki, kowany, i walizę ze starego powozu — następnie zwróciła się do siostrzeńca — w kufrze będziesz miał bieliznę i ubranie, a do walizy dam ci szynkę, poledwicę wędzoną, masło, chleb, ser i siołik konfitur. Po co masz się truć po restauracjach i niezdrowo, i drogo.

— Ależ cioteczko...

— Żadne ale... dam i zabierzesz. Alboż ty wiesz, co ci dają tam w Warszawie? Z wierzchu ładne, a opowiadano mi, że u nich dać kota zamiast zająca, to rzecz zwykła... nawet się nie dziwię — skończyła głosem oburzenia.

— Nigdy nie będę jadł zająca w restauracji — zawołał, a na bladawą, trochę zmęczoną twarz, wystąpił lekki rumieniec.

— Po śniadaniu pomożesz mi ułożyć bieliznę dla ciebie i zrobisz dwa spisy, jeden dla mnie, drugi dla siebie.

— Mam u siebie, cioteczko, moją bieliznę, sam zapakuję.

— Czy myślisz, że masz wszystko?... a przeście-radła, poszewki, ręczniki... toż wyprawiam cię na dwa tygodnie i musisz tyle wziąć, abyś tam, w Warszawie, nie dawał do prania, bo, jak mi mówiono, oni używają tylko chlorku, wypierze raz i bielizna w kawałkach.

— Nie wiedziałem o tem — powiedział pokornie.

— Więc się nie sprzeciwiaj i zawsze słuchaj ludzi starszych, doświadczonych... no, a teraz chodźmy pakować.

— Dobrze, cioteczko... ale jeszcze jedno.

— Cóż takiego?

— Z Krystynówki odchodzi pociąg o czwartej po południu... nawet rozstawnymi kołmi nie zdążę, jeśli wstąpię do marszałka, i może nie wypada wpaść do niego po listy, jak po ogień.

— Hm... jest w tem racya... a możebyś przenocował u niego?

Nachmurzył się lekko, bo o dobę zwlecze się podróż, i rzekł:

— Marszałek nie nocował u nas, wyjechał wczynie... może nie wypada.

— Więc co myślisz?

— A gdybym cioteczko, — uśmiechnął się słodko, — jutro skoczył do niego... oddałbym i wizytę, i zabrałbym też listy polecające.

— To dobra myśl... tylko czy nie zanadto się

zmęczysz przed wielką podróżą? — spytała z troskliwością.

— Nic mi nie będzie — uśmiechnął się — jestem zdrow i młody.

— Albo wiesz co?... Jedź ty dzisiaj do marszałka, odpoczniesz przez jutro, a i konie nie będą zdrożone.

— To będzie jeszcze lepiej, — uśmiechnął się — cioteczka ma zawsze rację.

— Idź i ubierz się, a ja każę konie zaprzęgać... a wieczorem wróc.

— Będę wcześniej w domu, bo nie chcę tracić czasu bez cioteczki.

Idąc ciemnym korytarzem do swego sypialnego pokoju, spotkał młodą, ładną dziewczynę, służącą za pokojówkę u pani. Uściskał i wycałował broniącą się słabo i szepnął:

— Wiesz Naściu, jadę dziś do marszałka.

— Ojej, to pojutrze w taki świat, a dziś także nie będzie panicza.

— Wrócę przed wieczorem... zobaczymy się.

— Czy nie można było posłać umyślnego? — mówiła z wyrzutem, — ale paniczowi aby się tylko wyrwać z domu...

— Ciszej... — obejrzał się niespokojnie — przywiozę ci śliczny prezent z Warszawy... obaczysz — i znów całował.

— A nie zapomni panicz?

W tem posłyszeli trzask drzwi odmykanych; w jednej chwili odskoczył i zawołał surowym tonem:

— Nastko! Zawołaj Juchimka do mego pokoju... a żywo!

— Zaraz paniczu — i szybko pobiegła.

Wieczorem, gdy wrócił, zażądała ciotka pokazania listów i, nałożywszy okulary, czytała półgłosem:

— Jaśnie Wielmożny pan Mikołaj Sopotkiewicz, obywatel ziemski w Warszawie... Polusiu, a nie napisał ci adresu?

— Powiedział, że łatwo się dowiem.

— Hm... to prawda, — mówiła składając okulary, — toż Sopotkiewiczze koligaci, ojciec był marszałkiem w Kaniowskim, pewno zna ich całą Warszawą, bo dla nich to persona.

— I ja tak myślę, bo marszałek powiedział, że Sopotkiewicz i Silnicki błyszczą tam jak brylanty.

— Pewno tak jest, — rzekła, oddając listy, — bo znasz naszą gadkę o Mazurach, którzy mówią: barszcz z dryla, gruszki rozcierane, potem po kubku serwatki się napijemy i spać idziemy, to pańskie życie prowadzimy! — uśmiechnęła się drwiąco.

— Niema co mówić cioteczko, na piaskach siedzą, i tacy Sopotkiewiczze pewno wielki dom prowadzą... do nich nie mogę inaczej, tylko powozem, w nowych rękawiczkach, kapeluszu, ubraniu, wprawdzie to znaczny koszt, ale jak trzeba, to trzeba.

— Hm... hm... W czasie twej nieobecności, obliczyłam twoje wydatki, i tak: ubranie sto rubli; podróż tam i napowrót drugą klasą pięćdziesiąt

rubli; na twoje wydatki drobne i przyjemności pięćdziesiąt, a dwa tygodnie życia i stancyi po pięć rubli dziennie, robi siedmdziesiąt... razem dwieście siedmdziesiąt, aż nadto.

— Cioteczko, a wizyty z listami, a powozy, rękawiczki, krawaty...

— Dodam ci trzydzieści rubli.

— Czy i na nadzwyczajne wydatki? — spytał słodkim głosem, — przynajmniej już z pięćdziesiąt.

— Ej Polusiu, czy nie za wiele?

— Cioteczko, a jeśli zachoruję? doktor, apteka, usługa...

— Niechże Pan Bóg broni, — zawołała — zaraz telegrafuj do mnie... to niech już będzie pięćdziesiąt.

— Cioteczko, przecież przywiezę z powrotem, a czy u cioteczki, czy u mnie, wszystko jedno... niech cioteczka da ze swej łaski sto.

— O, co to, to nie, — rzekła porywczo — czyż ci mało dodałam? Ani grosza więcej, i tak liczę ci po pięć rubli dziennie, abys mógł wystąpić godnie, jak prawdziwy syn obywatelski.

Siostrzeniec westchnął i zasepił się; po chwili odłożył nóż i widelec, przestawszy jeść.

— Czy ci nie smakuje? — spytała troskliwie.

— Owszem, bardzo dobre, tylko nagle rozboleła mnie głowa.

— Głowa? Z czegoż to?

— To cioteczko nerwy... ze wzruszenia...

— Ale zkad? dlaczego?

— Przykro mi, że zmartwiłem cioteczkę, żądając zbyt wiele.

Spojrzała na niego badawczo i po namyśle rzekła:

— Zmęczyłeś się jazdą.. idź się położyć, wywczasujesz się i minie.

— Dobrze, cioteczko... albo lepiej przejdę się po ogrodzie chwilę.

— Czy tylko nie za wilgotno?

— Chyba nie, to przecież maj... — wstał i, całując rękę, dodał: — przepraszam bardzo cioteczkę za wygórowane żądania.

— Eee... nie martw się... już ci dodam tę stówkę... tylko mi nie choruj.

— Bardzo dziękuję... cioteczka prawdziwy anioł.

Noc przed wyjazdem, i ciotka, i siostrzeniec spali bardzo niespokojnie; ciotka z obawy i niepokoju o Polusia, wyruszającego pierwszy raz w taką podróż daleką; on bał się spóźnienia na pociąg, który miał go zawieźć do miasta niebezpiecznego, przed którym ostrzegali go wszyscy.

Jednocześnie ze wschodem słońca cały dwór był już na nogach, wyczekując z ciekawością chwili wyjazdu panicza w podróż tak daleką i niebezpieczną, wiedząc od Pawła o niektórych szczegółach narad i ostrzeżeń. W piekarni dworskiej parobcy i dziewczęta rozprawiali o tym niezwykłym wypadku, a furman, który miał wieźć panicza do stacyi, rozumiał ważność i zaszczyt swej misyi

i z miną dumną wysłuchiwał różnych uwag względem podróży i czasu trwania.

Ze wszystkich kątów dworu, piekarni, toku, słychać było słowa:

— Jedzie... taki świat... ot pańska zachcianka, czy nie lepiej w domu?

Wreszcie zajęchały konie przed ganek dworu, furman zrobił biczyskiem krzyż przed końmi i siadł na koźle. Ciotka pobłogosławiła i ucałowała raz jeszcze siostrzeńca na ganku, na którym zgromadziła się cała służba pokojowa. Gdy siadł do szarabana, odezwało się ciche łkanie dziewczyny.

— A tobie co? Aj ty durna — upominały ją inne, nawet sama pani zwróciła się w stronę płaczącej, i postanowiła dać prezent Nastusi, za okazane dobre serce.

Odjeżdżający zawołał tonem wesołym:

— Do widzenia.

— Z Bogiem... Szczęśliwie! — odpowiedziano.

Konie ruszyły, orczykowe dzwoniąc jęklwym przygłuszonym tonem bałagów, ulubionych dzwonek. Aż do zakrętu Poluś odwrócony ku dworowi zęgnął pozostałych powiewaniem kapelusza.

Wjechał na drogę prowadzącą przez wieś na groble. I tu chłopci, baby, dzieci na odgłos dzwonek wychodzili z chat, ze stodół, patrząc z ciekawością, z przymieszką drwin, na jadącego, który, rozparty w szarabanie, ledwie raczył kiwnąć głową na niskie ukłony, tak czuł się wielkim, niezwy-

kłym, wysoko stojącym. Z chwilą zdecydowania podróży do Warszawy spostrzegł, że wszyscy we dworze dogadzają mu, pieszczą go, rozplywają się nad nim. Warszawa, w opowiadaniach ciotki i znajomych, wyrastała na jakąś apokaliptyczną bestię, na jakieś przedpiekle, a gdy nie odczuwał strachu i obawy, lecz przeciwnie radość z tej niebezpiecznej podróży, wyrósł w oczach własnych na bohatera. Inni mogą się bać pokus, drzeć przed niebezpieczeństwem, ale nie on, syn obywatelski, szlachcic herbu „Ślepowron“...

Uczucia swobody, niezależności rozpierały go, chciał dać wyraz tej wewnętrznej energii w jakimś okrzyku radości, w jakimś ruchu niezwykłym, lecz przyzwyczajony do posłuszeństwa, do uległości, do hamowania swych popędów, wstrzymywał się i rozweseloną twarz jego przysłaniał co chwila niepokój. Oglądał się trwożliwie za siebie w obawie, że ciotka może wysłała umyślnego, by go zawrócić do domu, że rozmyśliła się i strwożona o niego i o powierzone pieniądze, zatrzyma go przy sobie. I jak długo na widnokręgu błyszczała kopuła cerkiewki, czerniały drzewa, nie mógł oddać się marzeniom o przyjemnościach i rozkoszach oczekujących go w Warszawie.

Rozdrażniony niepokojem i oczekiwaniem, spojrzął po okolicy.

Jak daleko oko sięgało, rozciągały się bezbrzeżne łąny zbóż w rozmaitych odcieniach zieleności.

Szarzały wykłoszone żyta, jak owinięte srebrną nicią pajęczą, zieleniły się złotawym odbłyskiem owsy i ciemnozielone pszenice. Nad jarami wisiały jeszcze mgły nocne, rozplywając się zwolna w przezroczystem, rozpromienionem powietrzu, a tu i owdzie z ukrytych siedzib ludzkich pomykały w górę strzępiaste dymy. Od czasu, do czasu, gdzieś z za mogił prastarych czy strażnic wznoszących się stożkowato na olbrzymiej płaszczyźnie, powiał lekki wiatr. Zakotłowały się mgły nad jarami, rozwiały się strzępy dymu, a zielone morze zbóż poczęło falować iskrząc się brylantami rosy i odcieniami zieleni. W rozpromienionem powietrzu wznosił się skowronek ze świergotliwym śpiewem, były przepiórki, gdzieś w dali omamiała kwiląca czajka wrogów swego gniazda, porywały się ciężkie krople, a z mogiły wleciał jastrząb i, sunąc leniwie w powietrzu, poruszając nieznacznie skrzydłami wyprężonemi upatrywał zdobyczy. Tam, gdzie złowrogą cień jastrzębia padał na zboża, milkiły głosy ptasząt, tulących się w zagłębiach roli, ustawało gwarne życie. Nagle załopotał jastrząb skrzydłami, zatoczył kręgi spiralne w górę, hypnotyzując swem żółtawem zimnem okiem, upatrzoną ofiarę.

Poluś patrząc na ten lekki, szybki wzlot ptaka, westchnął z żalnością nad powolną jazdą końmi, pozazdrościł skrzydeł, któreby go szybciej przeniosły do upragnionego celu.

Obejrzał się. Na równym, szerokim stepowym

szlaku nie dojrzał nikogo, błyszcząca kopuła cerkiewki i ciemne drzewa mironowieckiego dworu utonęły w przestrzeni. Odetchnął i uśmiechnął się zadowolony... nareszcie jest wolnym, samodzielnym, panem swych zachcianek i fantazyi. Dotknął ręką woreczka płóciennego, zawieszzonego na piersiach, w którym mieściły się pieniądze, czterysta rubli od ciotki i sto z jego własnych oszczędności.

Nigdy jeszcze nie był panem tak wielkiej sumy osobistej.

— Pięćset rubli... pięćset... — powtarzał z cicha — ależ użyję!

Rozmyślał nad najbliższą przyszłością. Przedewszystkiem wystroi się, jak ów daleki sąsiad, który w Humanu na jarmarku dwa lata temu tak mu imponował. I on kupi sobie takie wysokie kołnierzyki wycięte pod szyją, krawatkę jasną ze szpilką brylantową, białą pikową kamizelkę, wycięty tużurek i obcisłe spodnie... Ach i monokl! Musi się tylko nauczyć wkładać i trzymać, a od czasu do czasu będzie się nim bawił, okręcając czarny sznureczek około palca wskazującego. Dopiero zada szyku w Warszawie i tu gdy wróci... cała młodzież tutejsza będzie brała wzór z niego... uśmiechnął się, pełen dumy.

Zaraz się dowie w Warszawie o klubie, tam zagra w sztosę, ma przecież czem poforsować; uderzył ręką w ukryty woreczek. On zna grę, miał już praktykę w klubie miasta powiatowego, i byłby

zapewne ogrzał przystawa i urzędników, gdyby miał jeszcze chociaż ze dwadzieścia rubli...

Spochmurniał na to wspomnienie, ale bo też nie szła mu karta... Wszyscy śmieli się, pomawiając go o szczęście u kobiet... Szczęście u kobiet!?

Uśmiechnął się drwiąco... szczęście to gotówka.

Wszyscy go ostrzegają przed Warszawiakami, że są chytrzy i przebiegli... ach, jacy oni są naiwni! Mają go za głupie dziecko! Zaśmiał się. On przecież umie użyć dla swych celów tę ciotkę skąpą, chytrą, podejrzliwą, i gdy zechce wyprowadza ją w pole... on ich wszystkich przewyższa rozumem i sprytem, a oni, ach jacy zabawni, ostrzegają go przed wymownymi Warszawiakami... Raczej niech te mieszcuchy przed nim się strzegą... a zresztą, chcą czy nie chcą, muszą tańczyć, jak on im zagra.

A te ich obawy przed Warszawiankami! Ta ciotka, żądająca słowa, że będzie ich unikał... jakież to śmieszne, naiwne, głupie... Jednak on mistrzowsko umie udawać, kiedy nikt nie poznał się na nim... i wszyscy mają go za aniołka!

A jak sprytnie zmusił on ciotkę do wyprawienia go z domu... Uśmiechnął się rad ze siebie. Przeczuł, że ciotka zechce go swatać z bogatą Berezowiczówną i podsunął jej wątpliwości co do swego zachowania się, ubrania, nieśmiałości... Parsknął głośnym śmiechem, aż furman się obejrzał.

On i nieśmiałość!? Jużby wziął tę Berezowiczó-

wnę, ale dobrze przed ślubem trochę pohulać... A ona ładna panna, smukła, ma piękną figurę, oczy ogniste, śmiałe, usteczka przesliczne i takie bujne, faliste włosy.

Ładna, nawet piękna! A przedewszystkiem bogata... Jak tylko wróci, wybierze się do nich w nowym garniturze... Już na imieninach zwracała na niego uwagę... wybrała go do mazura... do polki... a gdy on wróci z wojażu i ona zobaczy jego szyk, zakocha się w nim do szaleństwa.

Nie będzie przecież po ożenieniu mieszkał razem z ciotką, zanudziłaby ich, przeniesie się jaknajdalej, do wsi po wuju, a swoją drogą będzie często odwiedzał ciotkę, bo stara ma majątek, i pilnować trzeba. Ciężko bo ciężko, ale opłaci się sowicie.

No, i teraz musi przywieźć jakiś prezent dla ciotki... ale jaki?... Kosztownego nie może, bo posądziłaby go o rozrzutność, a tej wady musi unikać w jej oczach... trzeba by coś praktycznego, niedrogiego... już wie, kupi ze dwie kłódki sekretne i zamek ze sztucznym kluczem... dopiero ucieszy się stara!...

A dla Nastki?... jakiś niedrogi pierścionek... albo nie, bo jeszcze dziewczyna pomyśli, że to jakiś symbol stałego związku... Kupi perkalu na spódnice, trochę wstążek... wystarczy aż nadto. Ta Nastka ładna dziewczyna, tylko nogi ma rozchlapane, brudne... no i włosy zalatują jakimś tłuszczem nie miłym.

Pewno Warszawianki inne, słyną z elegancyi, muszą mieć przesłizne figurki, nóżki, rączki, i ich spódniczki muszą mieć ten miły szelest jedwabiu, jak w tej piosence: „fru, fru, fru...“, ach, jak ja to lubię! — szepnął ze zmysłowym uśmiechem.

Wybierze najpiękniejszą... ale jaką? blondynkę czy brunetkę? Wszystko jedno jaką, byle miała dużo elegancyi... Poszuka podobnej do Berezowiczówny, takie ciemne, prawie czarne włosy; ogniste oczy, i smukłą, zgrabną...

Ach, gdyby ciotka wiedziała o jego zamiarach! Cóżby to było za zgorszenie, strofowanie, napominanie!... No, ale on się tak urządzi, że do niej nie dojdzie... Do tych Sopotkiewiczów i Silnickich pójdzie w samym końcu swego pobytu... pewno są nudni, cnotliwi, zechcą się nim opiekować i pozbawią go swobody...

Wśród podobnych rozmyślań i planów czas szybko upływał, i ani się spostrzegł, gdy dojechał do Krystynówki, stacyi węzłowej, niemal w szczyrem polu.

Witany niskimi ukłonami brodatego oddźwiernego, wszedł do obszernej sali restauracyjnej, w której owionął go zapach alkoholów, kopcia lamp z minionej nocy i dym z gotującego się samowara, stojącego na skraju lady bufetowej.

Dwaj lokaje spali w kątach, chrapiąc na różne tony, a wejście gościa wcale ich nie rozbudziło. Bufetowa, drzemiąca za ladą zastawioną przeką-

skami, otworzyła jedno oko, spojrzała obojętnie i zwolna opuściła powiekę; po chwili otworzyła drugie oko, a widząc, że gość nie zmierza do bufetu, zapadła w drzemkę.

Głośne wejście oddźwiernego ze sakwojażem przebudziło lokajów, którzy, poziewając, wyprostowali się, a młodszy krokiem sunącym, sennym, podszedł do gościa, któremu oddźwierny pomagał do zdjecia zapyłonego kitla.

— Dokąd jaśnie pan pozwoli jechać? — spytał z pokorą oddźwierny.

— Do Warszawy... na Koziatyn — odrzekł z dumą, patrząc, jakie to na nim zrobi wrażenie, ten jednak odpowiedział z uśmiechem służbistym:

— Jeszcze dobre dwie godziny do nadejścia pociągu, czy każe jaśnie pan wziąć bilet?

— Dobrze, i wyjął dwadzieścia pięć rubli.

— Bilet na Brześć czy Lublin?

— Hm... niech będzie Brześć.

Oddźwierny odszedł z niskim ukłonem. Zbliżył się lokaj, pytając:

— Co jaśnie pan każe?

Poluś nie odpowiadając podszedł do lustra, a widząc pył na twarzy i włosach rzekł:

— Najpierw umyć...

— Służę jaśnie panu... tu, do garderoby.

Gdy Poluś się umył, wytarł, ubrał, spojrzał w lustro, przyczesując ciemnawe włosy, gładząc wąsiki. Twarz bladawa, po świeżem umyciu nabrała chwi-

lowej czerstwości, przygasłe oczy trochę blasku. Z przyjemnością przypatrywał się swemu odbiciu, a uśmiech na twarzy wskazywał, że jest zadowolony ze swego wyglądu, a gdy pomyślał jak mu będzie do twarzy w nowym ubraniu, osądził, że równie pięknego trudno będzie znaleźć, najłatwiej bowiem spotkać ideał w lustrze.

Wszedłszy do sali, przystąpił do stołu wielkiego, z nieśmiertelnemi, suchemi bukietami, z palmą sztuczną, zakurzoną, i siadając zawołał:

— Hej, człowiek... czaju! — naśladować w tonie i ruchach znajomego z klubu.

Zaledwie napił herbaty, gdy do sali wszedł ze stukiem, hałasem młody, barczysty, dość wysoki gość, który przemawiał głośno, tonem rozkazującym:

— Portyer! Przeszukaj powóz, może czego zapomniałem; kuferek weź w opiekę... Hej, ty tam, — zwrócił się do drugiego, — wynieś memu furmanowi kieliszek wódki i zakąskę, a ty — zwrócił się do drugiego lokaja, — przygotuj mi ręcznik, mydło, muszę się opłukać, podły kurz... a weź szczotkę.

I szedł do oddzielnego pokoju, stukając nowemi butami na kamiennej posadzce.

Poluś przypatrywał mu się z pewnym podziwem, zaimponowała mu śmiałość i buta przybysza, któremu wszyscy nadskakiwali, nawet bufetowa obudziła się ze swojej drzemki, i udawała, że porządkuje na ladzie.

Po chwili wszedł nowy przybysz, i spojrzał badawczo na Polusia, następnie z wolna podszedł do bufetu.

— Czysta, pomarańczowa, gorzka, — spytała usłużnie bufetowa.

On nie zwracając na nią uwagi, rzekł do Polusia:

— To pana czwórka gniadych?

— Moja, — odparł lekko zmieszany.

— Stoją na słońcu... szkoda koni.

— Dziękuję panu, — i wstał z krzesła, by ostrzedz furmana.

— Hej, ty! — zawołał przybysz do lokaja — każ furmanowi w cień zajechać, — a rozkaz ten zapamiętał sobie Poluś, do którego rzekł gość: — Może pan napije się ze mną kieliszek? — i nie czekając odpowiedzi rozkazał: — Dwie czystej z kroplami.

— Słodkie czy gorzkie? — spytała z uśmiechem wdzięcznym.

— Gorzkie... my nie kobiety... prawda panie? — zwrócił się do podchodzącego Polusia.

— Prawda... prawda, — odrzekł pospiesznie.

— Trojan, Witalis, Pobóg Orzechowski, — i wyciągnął prawą rękę.

— Apoloniusz Ślepowron Jemiołkiewicz — odpowiedział z wielkim ugrzecznieniem.

Wypili po kieliszku, przegryźli.

— Hm... pan Jemiołkiewicz?... słyszałem o starej, bogatej panie tego nazwiska, czy to krewna?

— Moja ciotka.

— To ładnie... czy pan dziedziczy?

— Jestem jedynym jej krewnym — odparł nie bez dumy.

— Tem lepiej... Podobno wieś ładna, ale gospodarstwo pod psem... Daruj pan, ale ja szczerzy człowiek.

— Ja się nie obrażam, — pospieszył Poluś, — jest w tem trochę prawdy... może pan pozwoli jeszcze kieliszek?

— Dlaczego nie? Z równym sobie zawsze wypić można... pan „Ślepowron“?

— Proszę o dwa, takie same... tak jest, mój herb Ślepowron... a i ja słyszałem o Orzechowskich.

— To inni... biedota, chodzą posesyami, a ja jestem Pobóg Orzechowski... stara, bardzo stara rodzina, mamy prawo do kniaziostwa, ale nie używamy... Oto mój bilet... to nieszczęście z tymi Orzechowskimi, zawsze mi się płaczą!

— Hm... tak to bywa... a pan tutejszy?

— Nie, ja z Hajsyńskiego... byłem tu u krewnych, i jadę do krewnych na Wołyń... a pan daleko?

— Do Warszawy.

— Daleka droga... ja do Żytomierza.

Po wypiciu wódki, Poluś, chowając bilet, rzekł do towarzysza:

— Przepraszam, że swego biletu nie daję, wyszły mi właśnie, każę zrobić w Warszawie.

— O, to konieczne! Bez biletu jak bez ręki, czy zaprezentować się komu, czy wyzwać, bilet zawsze potrzebny.

— Wyzwać? — spytał Poluś z lekkim niedowierzaniem w głosie.

— Hm... panie, z naszym usposobieniem do szczerości, głośnej zabawy, Ignięcia do kobiet... trzeba być na wszystko przygotowanym... pan strzela?

Poluś, który istotnie dobrze strzelał, rzekł z udaną skromnością:

— Tak sobie... nieźle.

— Mam ze sobą rewolwer, spróbujemy, co? dobrze?

— I owszem, ale gdzie?

— Już cel znajdziemy. Chodźmy, a tymczasem przygotują nam obiad... Hej! Co jest u was?

Lokaj recytował spis potraw, panowie wybrali.

— Panie Apoloniuszu, ten płaci obiad, kto w sześciu strzałach mniej kul wsadzi w centrum... zgoda?

— Dobrze.

Wyszli przed dworzec, a usłużny portyer dostarczył deski na cel. Z odległości piętnastu kroków Poluś wsadził trzy kule w centrum, przeciwnik jedną.

— Hm... pan strzela dobrze... a wygląda pan na niewiniątko, — rzekł nie bez goryczy.

— Z moich pistoletów trafiłbym celniej — odpowiedział chełpliwie.

— Ano, ja płacę obiady, a za te dobre strzały do pana należy wino.

— Z przyjemnością.

Gdy usiedli do obiadu, Pobóg Orzechowski, podrażniony zwycięstwem Polusia, odezwał się:

— Wie pan, co innego jest tarcza do celu, a co innego cel żywy... pan się pojedynekował?

— Nie miałem dotychczas sposobności — odparł z pewnem zawstydzaniem.

— A ja, kilka razy! — zawołał z dumą — no, w Warszawie będzie pan miał sposobność — pocieszał strapionego — pan pierwszy raz?

— Tak jest.

— To miłe miasteczko... Kobiety szyk, o, i wielki szyk... a faceci drażliwi, nietrudno nam mieć awanturę z nimi. Miałem tego roku dwa pojedynki...

— Pan? A to ciekawe, i gdzie?

— W Warszawie... Siedzę w restauracyi, a przy drugim stoliku ładna kobietka z facetem. Patrząc, porozumiewam się oczyma, ona odmrugnęła mi naturalnie, ja dalej koresponduję oczyma... wtem wstaje facet i mówi do mnie: zabraniam ci patrzeć... ja mu na to: sam jesteś błaznem, wolno mi... on rzucił mi bilet, ja jemu, pojedynek.

— I co? I co? — spytał Poluś, przestawszy jeść.

— Mówią mi, że on bije kulę w kulę. Nic to, jestem przecież szlachcic... stajemy, i co pan powie, jego kula gwiznęła mi koło ucha, a moja zadrasnęła jego bok lewy, o pół cala, a byłby trup.

— To świetnie... cudownie — chwalił Poluś — no, a drugi pojedynek?

— Ten skończył się na niczem — odpowiedział z ukrywanem zmieszaniem.

— Pogodził się pan?

— Sekundanci uznali pojedynek za zbyt szybki i koniec.

Rozmawiali o polowaniach, koniach, jarmarkach, wreszcie Poluś po winie, przy czarnej kawie, rozparzył się wygodnie na krześle, zapalił papierosa, obie ręce włożył w kieszenie spodni i spytał z uśmiechem:

— Panie Trojanie, powiedz pan szczerze, po ukraińsku... miał pan szczęście u Warszawianek?

Zapytany podniósł głowę, obrócił twarz jasnego, i z miną dumną, pewną siebie, odpowiedział:

— Nie spałyby pan na byczej skórze — zaśmiał się głośno — ale powiedz mi pan, jakieś metody trzyma się pan z koleżanami? Od tego zależy powodzenie w Warszawie.

— Hm... ja?... ja?... — namyślał się Poluś — uważa pan, jestem grzeczny, uprzedzający, pochlebiam...

— Głupstwo, panie Apoloniuszu — śmiał się — z kobietami zawsze ostro, to moja zasada, i dobra, panie, zasada, bo mam szalone powodzenie.

Polusiowi przypomniawszy się ciotka, a na myśl o ostrem postępowaniu, uśmiechnął się ironicznie, jednak rzekł uprzejmie:

— To zależy, panie... to zależy...

— Nic nie zależy — zawołał Pobóg Orzechow-

ski — z kobietami tylko obcesowo, śmiało, ostro... Miałem, panie, przykłady, moi znajomi zachowywali się lekliwie, ostrożnie, ale to sposób nieszlachecki... Podobała mi się która na ulicy... wołam posłańca, daję mu mój bilet z adresem, i każę oddać wskazanej pani...

— I co pan pisze?

— Co? To zależy... zwykle jakiś komplement i proszę o widzenie się. Sposób niezawodny panie, zwłaszcza gdy się doda coś o prezencie, pamiętce... i powiem panu, że to sposób bardzo elegancki, używany, bezpieczny... Bo przypuśćmy, pan zbliża się do niej, pan to, ona tanto, albo głupstwo powie; zobaczy kto was razem, z jej znajomych lub pana.. zaraz plotki; a bilet nic nie mówi innym... ona sama decyduje...

— Po namyśle muszę uznać sposób pana za doskonały!... dziękuję panu za radę, i czy zawsze się udał?

— Prawie zawsze, bo i ja panie Apoloniuszu, mam oko pewne i wiem do kogo posłać.. ona zerk... ja zerk... wyprzedzę ją, patrzę w twarz, uśmiecham się, ona także... zaraz posyłam bilet, który noszę przygotowany przy sobie. I chociaż młody jestem, ale doświadczony... ile lat pan sobie liczy?

— Dwadzieścia cztery.

— Ha, ha, ha, to pan smyk wobec mnie... mam trzydzieści.

— Sądziłem, że pan młodszy.

— Taki wygląd panie, bo używam ruchu, konnej jazdy, polowania... ale przeżyło się dużo, — westchnął, — zazdroszczę panu młodości... A grywa pan w winta?

— Trochę, nieszczególnie.

— Gdyby dostać trzeciego, zagrilibyśmy z dziadkiem w wagonie, bo nudno jechać.

Do sali restauracyjnej wszedł niemłody, szpakowaty mężczyzna, urzędnik z wydziału komunikacji, w czapce mundurowej. Siadł przy stole, a przeglądając spis potraw, spojrzał na siedzących i spytał:

— Panowie, jak widzę już obiadowali, czy mogę wiedzieć, jakie są kotlety?

— Ujda, — odpowiedzieli uprzejmie.

— Dziękuję... hej, człowiek, kotlety!... panowie daleko?

— Ja do Żytomierza... a pan do Warszawy...

— Hm... to nam jedna droga do Koziatyna, bo ja do Kijowa... ot nie będzie nudno.

— Właśnie mówiliśmy, że byłoby przyjemnie zrobić partyjkę winta, — uśmiechnął się Pobóg Orzechowski, — brak nam trzeciego — może pan pozwoli?

— Dlaczego nie?... Tak poznamomimy się.. Aleksander Michałowicz Hudim.

Obaj młodzi przedstawili się kolejno.

— Panowie z naszych gubernii?

— Tak jest; ja z podolskiej; a pan Jemiółkiewicz z kijowskiej.

— Hm... tutejsi? Czemuż nie powiecie imienia ojca... toż przyjemniej zagadać do człowieka.

— Zwyczaj, szanowny panie.. zwyczaj, — uśmiechnął się Orzechowski.

— No, tak zmienić zwyczaj.

Przyniesiono kotlety, które w milczeniu i szybko zjadł gość nowy i wykalając nadpsute zęby, przemówił z uśmiechem do Polusia:

— Tak, pan do Warszawy? co?... ot! cudowne miasto, wesołe, miłe, bardzo przyjemne.

— Pan szanowny tam był? — spytał Poluś.

— Toż nie gadałbym o niem, gdybym nie był... ale znam... za młodych lat mieszkałem pięć lat... piękne miasto. Jest gdzie pohulać za swoje pieniądze, zabawić się...

— A Warszawianki ładne? co? — zaśmiał się Pobóg Orzechowski.

— Ba, i jakie!.. tylko, że harde, obraźliwe... no ale jak trafi się dobra, to już jak miód, choć łyżką jedz, a nie sprzykrzy się, tylko smaku nabierasz większego.

Wtem wszedł portyer, wołając niskim basem:

— Kasa otwarta!

Do samego Koziatyna grali panowie w winta w osobnym przedziale, a różnica w grze wynosiła kilka rubli, zapłaconych przez młodych graczy.

W Koziatynie na kolacyi spotkał Pobóg Orzecho-

wski kilku znajomych z Wołynia, którym przedstawił Polusia. Już na stacyi zawiązała się bardzo interesująca rozmowa o polowaniach, i pan Orzechowski, wysiadając w Berdyczowie, żałował bardzo, że opuszcza tak miłe towarzystwo, a specjalnie zwrócił się do Polusia, mówiąc:

— W Warszawie będąc, trzymaj się pan mego, wypróbowanego sposobu, ten nie zawiedzie.

Aż do Równego przeciągnęła się miła pogawędka o kobietach, kartach, koniach; wreszcie Poluś poczuł się tak zmęczony, że usnął, nie dosłuchawszy ciekawej historii charcicy, która pojedynką brała sarny.

Po śniadaniu w Brześciu wskazał konduktor Polusiowi osobny przedział. Zmęczony niewygodą nocy, rozciągnął się Poluś na ławce, gdy w Białej wsiedli dwaj panowie, jeden młody w wieku Polusia, drugi starszy, szpakowaty. Nie tyle z opalonych twarzy, zbyt głośnej rozmowy, nieumiarkowanych ruchów, ile z częstych wzmianek o swych majątkach i gospodarstwie domyślił się Poluś, że nowi przybysze są obywatelami ziemskimi.

— A jaka cena rzepaku? — spytał starszy.

— Nieustalona, czekają wiadomości z Ukrainy, podobno tam dobre urodzaje, ale nic pewnego nie wiem.

Poluś uważał za stosowne wmieszać się do rozmowy:

— U nas, na Ukrainie, rzepaki dobre.

— A, pan z Ukrainy! — zawołał starszy, — jakież widoki urodzajów?

— Tak sobie... niezłe.

— Wy szczęśliwi, macie paszy w bród, słomy mnóstwo, podobno płoty z niej urządzaacie. .

— O tak, słomy dużo.

— A jaką rasę krów prowadzicie?

— Rasę? — zawahał się Poluś, nie wiedząc co odpowiedzieć, wreszcie przypomniał sobie, że kupowano woły w Bessarabii, i rzekł śmiało: besarabską.

— Nie pytam o woły, — objaśniał młody —, ale o krowy... może holenderki?

— A tak, tak... holenderki i krajowe.

Przybyli zaczęli ożywioną rozmowę o zakładaniu chrześcijańskich sklepów po wsiach, a starszy zwrócił się z pytaniem:

— A u panów są sklepy po wsiach?

Poluś był oburzony, posądzając, że towarzysze przygodni biorą go za kupca i odrzekł hardo:

— My szlachta nie wdajemy się w handle, to rzecz żydów.

— Należałoby się jednak wyzwolić od ich pośrednictwa, — zrobił młodszy uwagę.

— My roli pilnujemy, a handel zostawiamy innym ludziom.

Starszy uśmiechnął się ironicznie, i wszczął rozmowę o kółkach rolniczych, których zaprowadzenie uważał za konieczne, i na Polusia nie zwracali już uwagi.

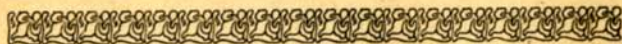
On zadowolony, nawet dumny ze swych odpowiedzi, patrzył z lekceważeniem na sąsiadów, dopiero w Łukowie uderzyło go, że i służba kolejowa, i restauracyjna z wielkim szacunkiem przyjmowała polecenia wydane przez jego towarzyszków, a nawet dosłyszał tytuł hrabiego.

Na razie to go stropiło, miał niejasne poczucie, że niewłaściwie postąpił, ale wkrótce przyszedł do przekonania, że ci panowie, którzy wysiedli w Łukowie, są tylko wzbogaconymi przemysłowcami, bo czyżby szlachcica, cóż dopiero hrabiego mogły interesować sklepy!? Samotny w przedziale zdrzemnął się, obudził go dopiero głos konduktora, oznajmujący mu:

— Proszę pana, Warszawa!

Przetarł zaspane oczy i mruknął:

— Nareszcie Warszawa!



III.

W przejściu pomiędzy peronem a zajazdem dorożek, liczni wysłannicy hotelowi wykrzykiwali na różne tony nazwy hotelów.

Poluś szedł z wolna z tragarzem, niosącym jego wagonowe pakunki, aż dostrzegł napis na czapce: „Hotel Europejski“, i zwrócił się z pytaniem:

— Są u was wolne numera?

— Do usług jaśnie pana. Czy są pakunki?

— Tak jest. Jaśnie pan raczy mi dać kwit, dostawię sam do hotelu.

Poluś wyjął kwit, chwilę się zawahał, wreszcie oddał, i wskazując na stojącego obok tragarza rzekł:

— A co zrobisz z temi rzeczami?

— Może jaśnie pan pojedzie karetką naszą, tam się pomieszczą.

— Lepiej jaśnie panie, — wmieszał się tragarz — wziąć dorożkę, i prędzej, i wygodniej.

— To zależy od woli jaśnie pana.

— Hm... wezmę dorożkę, a pilnuj moich pakunków, — polecił wysłanemu z hotelu.

— Jaśnie pan może być spokojny.

— Gdzie dorożki? — spytał Poluś.

— Zaprowadzę jaśnie pana, — ofiarował się tragarz, idąc przodem, wziął następnie numer dwukonnej dorożki od policyjanta i złożywszy rzeczy na boku schodków, pobiegł po dorożkę.

Zajechała dorożka na kołach z gumowemi obręczami, zaprzężona w dwa dobre kasztany, z błyszczącymi ozdobami na czystej uprzęży.

Tragarz pomógł wsiąść Polusiowi, złożył rzeczy na kozioł, i zdjawszy czapkę czekał należności. Poluś wyjął czterdzieści kopiejek i rzucił w czapkę, tragarz spojrzawszy ukradkiem na dającego i rzekł głosem pokornym:

— A za zawołanie dorożki jaśnie panie?

Poluś chwilę się wahał, wreszcie dorzucił dwadzieścia kopiejek.

— Dziękuję... Hotel europejski! — i, patrząc za odjeżdżającym, szepnął z westchnieniem: — gdyby więcej takich, możnaby wyżyć.

Z powodu jarmarku na Pradze, zbiegu trzech tramwajów, dorożka musiała zwolnić jazdę.

Poluś wyciągnięty w dorożce rozejrzał się ciekawie dokoła, a na twarzy jego odbiło się wielkie rozczarowanie. Więc to ma być owa śliczna, wesoła, przyjemna Warszawa?!

Trochę większa od Humania, ale takie same kamienice, cokolwiek wyższe; tłumy chłopstwa, wozów, furmanek; ci sami żydzi, kramy... Jedne tram-

waje, ale brak doskonałych zaprzęgów jarmarkowiczów i szlachty ukraińskiej, konie nieszczerłone... i gdzie ten szyk? gdzie kobiety? gdzie elegancya? sklepy? wystawy?... Ot zablagowali, i gniewny splunął głośno.

Wreszcie udało się dorożkarzowi utorować sobie wolny przejazd, konie szły dobrego kłusa. Zdziwiło Polusia, że mimo bruku nierównego dorożka biegła cicho z nieznacznem wahaniem, zaciekawiony wychylił się i dostrzegł obręcz gumowe.

— Ho, ho, przemyślni szelmy, — mruknął z uśmiechem, — ubrali koła w kalosze i dobrze.

Dorożka wjechała na drogę, obok parku praskiego, Poluś rzucił okiem na park i odwrócił się z lekceważeniem, bo przecież Zofiówka w Humaniu piękniejsza.

Niezadowolony z bliższego otoczenia, podniósł oczy. Warszawa, rozpromieniona w słońcu popołudniowem, kolorowana przepysznie, z różnaitością architektoniczną budowli i wież, odsoniła przed nim swój bogaty, przepiękny łuk nadwiślany od Rybaków do Solca. Patrzał, nie wiedząc gdzie oczy zatrzymać, bo każda część nęciła przepychem barw i linii architektonicznych.

— Więc to Warszawa! — zawołał półgłosem, wstydząc się przed sobą, że wziął przedmieście za miasto, a zarazem poczuł dreszcz niecierpliwości i oczekiwania nieznaných rozkoszy.

Imponował mu most żelazny, i jasne fale Wisły, po których płynęły berlinki, przemykały łodzie, gwizdały parowce, wyrzucając kłęby dymu.

— Warszawa... Warszawa.. — powtarzał z beznyslnym uśmiechem.

Zamek królewski z ogrodem terasowym wydał mu się zaczarowanym pałacem z bajki, a gwar, turkot, nawoływania ulicy, jakaś dziwnie miłą muzyką, która podniecała jego ochotę do życia, harmonizowała z tajonemi pragnieniami. Na Krakowskiem-Przedmieściu nie wiedział gdzie wpierv oczy zwrócić: nęcił go widok wysokich kamienic, dziwił się wielkim lustrzanym szybom wystaw sklepowych, oszałamiał go nieustanny ruch powozów i tłumy elegancko ubranej publiczności na chodnikach szerokich. Wobec tej różnaitości i bogactwa barw i kształtów, wobec tego ruchu i życia płynącego szeroko ulicą, wstyd mu było ubrania zrobionego przez Icia, niezgrabnych bucików, znoszonego kapelusza, a zarazem owładnął nim gniew zazdrości na widok tych ładnie ubranych panów, eleganczkich kobiet, przewyższających go strojem, i postanowił dziś jeszcze dorównać im pod tym względem.

Dorożka stanęła przed hotelem. Poluś rozejrzał się, i nie dowierzał sobie, by on miał zamieszkać w takim wspaniałym gmachu, lecz gdy służba hotelowa pochwyciła jego pakunki, wysiadł z pewną nieśmiałością z dorożki, zapominając o zapłacie.

— Jaśnie panie, a za kurs?

— Ile się należy?

— Trzy rubelki... i co łaska na piwo.

Suma wydawała mu się zbyt wielką, ale nie było czasu na targi, poniesiono bowiem jego pakunki, o które począł być niespokojny, i co chwila przesuwawała się obok niego, stojącego na chodniku publiczności, i jak mu się zdawało, wszyscy patrzyli na jego ubranie i zachowanie z drwinami i lekceważeniem; więc szybko wyjął żadaną kwotę, dorzucił pół rubla i pospiesznie wszedł do hotelu.

Poważny odzwierny spytał go z uprzejmym ukłonem:

— Jaśnie pan, na pierwszym? na drugim piętrze?

Poluś dowiedział się od towarzyszków podróży, że pierwsze piętro jest najdroższe, odpowiedział tedy dość skromnie:

— Pokój na drugim piętrze.

— Numer 68, zaprowadź jaśnie pana, — powiedział podwładnemu.

Jasna, obszerna klatka schodowa, ozdobiona rzeźbami, kosztami kwiatów; schody zasłane dywanem; wielkie lustro w ścianach onieśmieliły Polusia i wzbudziły podziw. Gdy wszedł do numeru, czystego, przestronnego, z meblami, krytymi zielonym aksamitem, zaniepokoił się ceną i spytał numerowego, który we fraku, z miną pełną szacunku stał blisko drzwi:

— Ile za pokój dziennie?

— Tylko pięć rubelków... może jaśnie pan życzy sobie większego numeru, z alkwą?... może być, jest wolny. — Poluś chciał się potargować, ale gdy spojrział na numerowego, który z miną pełną godności stał i gładząc lewą ręką piękne faworyty, patrzył na niego badawczo, zaniechał targów i rzekł tonem spokojnym:

— Wystarczy mi ten... a pakunki z kolei jeszcze nie przysły?

— Karetka wkrótce przyjedzie, i pakunki przyniesie tu służba, — podkreślił ostatni frazes, by gość zrozumiał jego stanowisko, a niższej służby;

— czy jaśnie pan co rozkaże?

— Nie... nic.

Gdy został sam, odetchnął z uczuciem ulgi, wyprostował się, i obejrzawszy się wokół, szepnął:

— Niema co mówić... ładnie... elegancko... ale drogo...

W lśniącej posadzce spostrzegł niewyraźne swe odbicie, posunął nogą, gładko jak w sali balowej. Podszedł do kanapki, dotknął welwetu... hm... aksamit!

Podobało mu się lustro w złożonych ramach, białe oleodruki, marmurowa umywalnia, czysto zasłane łóżko... Wszystko oglądał, wszystkiego się dotykał, spróbował zamków w szafie, przy biurku... zajrzał przez wysokie okno, ale, że przez nie nie widać było tylko oddalone dachy i kamienice, odwrócił się i podszedł do lustra. Przeczesał włosy,

spozstrzegł, że jest nieogolony, i z uwagą przypatrywał się swej jasnej marynarce. Rękawy^o wydaly mu się zbyt szerokie, z boku fałdy, na plecach szeroko, bez wcięcia, spochmurniał, gdyż towarzysze podróży z Koziatyna mieli lepiej skrojone ubrania. Właśnie przystawił krzesło do lustra, by obejrzeć krój spodni, gdy zapukano do drzwi:

— Można! — zawołał, odsuwając krzesło pospiesznie.

Wniesiono kufer i walizę.

— Czy rozwiązać sznury?

— Dobrze, — i usiadł wygodnie na kanapce.

Po wyjściu służby, Poluś spojrział na przyntiesione rzeczy.

Kufer i waliza na tle tego jasnego, eleganckiego pokoju wyglądały brudne, odrapane, zabłąkane żebraki w salonie bogatym. Widok ich robił mu przykrość, a zarazem przypomniał dwór ciotki, niskie, zatęchłe pokoje, z podłogą pomalowaną olejno, z meblami staroświeckimi, niewygodnymi. Poczul niechęć do Mironówki i szczerzy żal do ciotki, która posiadając majątek, kapitały, mieszka niewygodnie, skromnie, nawet ubogo.

On będzie inny!... Jak tylko ożeni się z Berzowiczówną, urządzi sobie dwór i umebluje jak tu, w tym pokoju. Ciotka nie dała mu poznać elegancji, komfortu, a jednak on w duszy miał to poczucie estetyczne, przecież nigdy nie zachwycał się salonem ciotki, a teraz gdy przypadek dał mu po-

znać, co to jest szyk, elegancja... rozejrział się z uśmiechem zadowolenia... teraz zrozumiał za czem tęsknił, czego pragnął... z pogardą i lekceważeniem spojrział na kufer i walizę.

Nagle zerwał się z kanapki, wszak miał kupić ubranie... Gdzie tu iść? Po krótkim namyśle zadzwonił na numerowego.

— Jaśnie pan dzwonił?

— Tak jest, — zawahał się, jak przemówić do tego wyfrakowanego, który nie miał w sobie ani pokory, ani uniżoności, był tylko służbistą... — ty czy w trzeciej osobie?

— Co jaśnie pan każe?

Ten tytuł dodał Polusiowi odwagi i szybko rzekł z ukrytą obawą, że obrazi numerowego:

— Powiedz mi, czy u was, w Warszawie, są porządne magazyny gotowych ubrań? co?

— Są, jaśnie panie.

— Ale czy ubrania są modne? eleganckie?

— Najpierwsi krawcy dostarczają tam ubrań... wszystko, co najmodniejsze, co najlepszy szyk... zwłaszcza magazyn na Krakowskim — i wymienił firmę, — czy jaśnie pan potrzebuje czego?

— Tak jest... bo u was inna moda, a u nas inna... A magazyn bielizny przy której ulicy?

— Najlepszy — powiedział firmę i adres.

— Hm... zapisz mi adresy... ale, ale dodaj adres sklepu, gdzie drukują bilety wizytowe.

— Słucham jaśnie pana, za chwilę wrócę z adre-

sami... a może jaśnie pan zechce kupić buciki z francuskiej skóry, leciutkie, praktyczne na nasze bruki...

— A dobrze... no, i adres kapelusznika.

— Słucham, jaśnie panie, — skłonił się i wyszedł.

Na korytarzu uśmiechnął się, drwiąco mruczając:

— Chce się wystroić, mała prowincjonalna, — a spostrzegłszy chłopaka przydanego mu do pomocy, zawołał: — Walek!... prędzej smyku!

— Słucham pana, — podbiegł.

— Weźmiesz czapkę i skoczysz na jednej nodze, ale migiem... Najpierw do sklepu ubrań, potem po drodze do szewca, wreszcie do sklepu z bielizną, — wymienił firmy — i powiesz zarządzającym, rozumiesz, tylko zarządzającym, że ja przyślę im jakiegoś panka ukraińskiego, niech zarobią, ale pamiętaj, powtórz im, że to ja posyłam.

— Rozumiem panie... już biegnę.

— Spiesz się... marsz! — chłopak pobiegł.

Numerowy zwolna poszedł do swego pokoju, a wymiarkowawszy, że wysłany przez niego chłopak powinien już obiedz wskazane sklepy, poszedł do niecierpliwącego się Polusia.

— Spóźniłem się... Służba jaśnie panie. Oto są adresa, ręczę za dobroć towaru, a jeśli jaśnie pan będzie zadowolony, jestem pewny, że nie zapomni o mnie.

— Dawaj... która u was godzina?

Wyciągnął zwolna złoty zegarek z licznymi brelokami i rzekł:

— Za dziesięć piąta.

Poluś, regulując swój zegarek, spytał:

— No, a dorożka?

— Dryndy stoją zawsze przed naszym hotelem, tylko skinać... Klucz można zostawić, u nas nic nie zginie.

Poluś szybko zbiegł ze schodów, wskoczył do dwukonnej dorożki, dając adres sklepu ubrań. Za ledwie dorożka ujechała kilkadziesiąt kroków, zatrzymała się, a dorożkarz biczem wskazał drzwi sklepu.

Wygalonowany służący skłonił się bardzo nisko, otwierając drzwi. W jasnym, wielkim sklepie, obwieszonym ubraniami, Poluś zatrzymał się chwilę, nie wiedząc do kogo się zwrócić.

Podbiegł subjekt starszy i z ukłonem, z uśmiechem na twarzy banalnej, wytartej, z podkreślonymi wąsikami i małymi baczkami, spytał:

— Pan dobrodziej życzy sobie ubranka?... Mamy wszystko: fraki, surduty, tużurki, marynarki, okrywki...

— Chcę garnituru modnego.

— Pan dobrodziej pozwoli na piętro, służę, znajdziemy wszystko — i idąc po schodach spytał: — pan dobrodziej pozwoli spacerowy, czy salonowy? Mamy do wyboru.

Polusia zdziwiło to pytanie, słyszane po raz pierw-

szy... postanowił zbadać tajemniczą różnicę między garniturem spacerowym a salonowym, i po chwili odpowiedział wymijająco:

— Zobaczę... proszę mi pokazać.

— Natychmiast... tylko pozwoli pan dobrodziej wziąć miareczkę... otóż tak... mamy już, mamy... rączki opuścić... tak... nóżkę odstawić... doskonale... dziękuję, zaraz znajdziemy, u pana dobrodzieja figurka wyborna, istny Apollo... zaraz... oto jasny garnitur, poranny, na pogodę...doskonały, twarzowy... A ten ciemny, popołudniowy, do teatrzyku, na spacer, cokolwiek cieplejszy, bo od Wisłki czasem powiewa chłódkiem...

Poluś był niezdecydowany, brał sukno w rękę, udając, że się zna na gatunku, wreszcie rzekł:

— Hm.. hm... proszę mi pokazać garnitur salonowy.

— Zaraz... natychmiast... otó jest... materiał trochę lżejszy... tużurek poważniejszy, spodeńki szersze...

Poluś przypomniał sobie pana, widzianego przed dwoma laty w Humanu, i patrząc z lekceważeniem na jednostajne garnitury, pomyślał: teraz poznasz mnie, zablagować się nie dam.

— Chcę mieć niezbyt jasne spodnie, w prążki ciemne, podłużne... wąskie od kolan w górę, zaś u dołu szerokie. Do tego biała kamizelka w małe kwadraciki, i ciemny tużurek, zapinany na jeden

guzik, dość mocno ścięty... masz pan? — spytał z dumnym uśmiechem.

— Mamy, naturalnie, że mamy, — odpowiedział pospiesznie — tylko... pozwoli pan dobrodziej, że dziś jest inna moda...

— Co mi tam wasze mody, ubieram się, jak mi się podoba — zawołał z lekceważącym uśmiechem — masz pan, czy nie?

— Ależ jest... my mamy wszystko... oto są spodeńki żądane... u nas wybór największy w Warszawie... tylko jeszcze raz pozwolę sobie powiedzieć, że moda...

Poluś, który w oczach miał obraz szykownego młodzieńca z Humania, nachmurzył się i rzekł stanowczym tonem:

— Mój panie, zachowaj pan swe rady dla innych... dla mieszczuchów... proszę mi dać to, co kazałem.

Sam był wielce zadowolony i dumny ze swego zachowania się i spojrzął na subiekta z miną tryumfującą.

— Do usług pana dobrodzieja... zaraz podam... w tej chwili... oto jest!...

Wreszcie dobrał Poluś i począł przymierzać przed wielkim lustrem, a subiekt, skacząc wokoło, wskazując na różne miejsca, mówił szybko:

— Tu się skróci... tu zwęzi... tu przytnie... tu podetnie... tu opuści... tu rozszerzy... tu przyprąsuje... będzie cudownie, przepysznie... istotnie, wy-

bór pana dobrodzieja doskonały... tak, tak, człowiek sam wie najlepiej, w czym mu do twarzy...

— Dziś muszę mieć ubranie — rzekł surowo Poluś — a proszę wszystko poprawić, bo nie przyjmę.

— Poprawi się, poprawi natychmiast, za godzinę już będzie gotowe... Gdzie pan dobrodziej każe odesłać?

— Hotel Europejski...

— Natychmiast, tylko zapiszę — wziął książkę z lady, poślinił koniec ołówka, mówiąc: — zaraz, hotel Europejski, numer?

— Sześćdziesiąt osiem... Apoloniusz Ślepowron...

— Przepraszam, jeszcze raz godność?

— Apoloniusz Ślepowron Jemiółkiewicz.

— Bardzo dziękuję... za godzinę będzie.

— Hm... jakaż cena?

— Na pierwszy raz, dla pozyskania tak pożądanego kundmana, cenę najniższą, słowo honoru, podaję najniższą, niech będzie pięćdziesiąt rubelków... niedrogo, bardzo tanio...

— Ani myślę! — zawołał Poluś zaczerwieniony — za takie łachy, taki pieniądź!

— Materiał znakomity, nie do zdarcia, fason pan dobrodziej sam wybrał, taki zwykły garnitur byłby tańszy, oddałbym za czterdzieści, ale takie ubranie, nie mogę taniej, nie mogę — rozkładał ręce i bił się w piersi.

— Dam trzydzieści pięć, albo... albo...

— Nie mogę... u nas ceny stałe — wskazał na

wywieszony napis — ale na początek opuszczę, z moją stratą, pięć rubelków... tylko dla pana dobrodzieja.

— Nie, nie dam — spostrzegłszy jednak, że kupiec nie spieszy się z zatrzymaniem go, dodał: — dam czterdzieści.

— Radbym, bardzo pragnę, ale nie mogę... tyle poprawek... dziś oddać...

— Za godzinę — przerwał Poluś.

— Tak, za godzinę będzie, a my punktualni... nie mogę... co dla pana dobrodzieja pięć rubelków?... głupstwo, rzuca się dorożce i koniec... tak mała różnica...

— Gdybym miał czas, nigdybym nie dał, ale niechaj tam... czterdzieści pięć, za godzinę.

— Niezawodnie... prosiłbym o zadatek, taki zwyczaj...

— Hm... nie wiesz pan, z kim masz do czynienia, to pana tłumaczy... Oto dziesięć rubli i za godzinę.

— Będzie z wszelką pewnością... i polecamy się łaskawej pamięci.

Gdy Poluś wyszedł, subjekt zatarł ręce, zaśmiał się cichutko i rzekł do towarzysza:

— No, ten się ubrał... zarobiliśmy porządnie, a procent numerowemu należy się słusznie!...

Poluś zadowolony z kupna ubrania, już nawet nie zwracał uwagi na przechodzących panów, na

ich ubrania, i kazał się zawieźć do sklepu z bielizną.

Znalazł poszukiwane kołnierzyki, krawat żądany, a zobaczywszy w sąsiednim sklepie laski, wybrał cieniutką, spacerową. Zamówił na dzień jutrzejszy bilety wizytowe, kupił buciki, kapelusz, rękawiczki, i około siódmej wrócił do hotelu, gdzie go już oczekiwał chłopiec z ubraniem.

Zapłaciwszy należność, Poluś w swym pokoju porozkładał wszystkie sprawunki, i z miną wysoce zadowoloną porozwijał paczki, począł przymierzać: buciki, kapelusz, kołnierzyk... przyłożył krawatkę i przypatrywał się w lustrze, czy mu do twarzy. Właśnie miał zamiar włożyć na siebie nowe ubranie, gdy postąpił dyskretne pukanie do drzwi.

Szybko odłożył rzeczy i zawołał:

— Proszę!

Wszedł numerowy, postąpił kilka kroków, i udając, że nie widzi przedsiębranych prób, zaczął z niezachwianem poczuciem swej godności:

— W tym samym numerze stał do onegdaj młody pan hrabia... — wymienił znane nazwisko — i polecił mi raz na zawsze, abym każdego wieczora przynosił mu afisze teatralne, i wówczas decydował się, gdzie pójdzie. Panowie mają gusta wspólne, i sądzę, że jaśnie pan, jak pan hrabia, poleci mi przynoszenie afiszów — i podał z ukłonem kilka sztuk.

Polusiowi pochlebiła wspólność gustu z hrabią,

i uśmiechnął się uprzejmie biorąc do ręki siedem afiszów.

— Czy to na cały tydzień? — spytał, obliczywszy ilość.

— Nie... u nas w Warszawie jest tyle teatralnych przedstawień, nie licząc koncertów...

— Hm... hm... ale gdzie iść?...

— Zupełnie to samo pytanie zadawał mi pan hrabia — uśmiechnął się — o, to godny pan, hojny pan, prawdziwy hrabia... gdy mu tylko dobrze doradziłem... rubelek był pewny... Co do wyboru sztuki... hm... Rozmaitości — dramat... płakiwa sztuka, szkoda czasu... Mały teatr... komedia, słabo grają, powinni dawać tylko wesołe operetki. Wielki teatr... „Halka“, opera, ładna rzecz, w miarę czuła, mazur doskonały... śpiewają wcale dobrze... tak, „Halka“... chyba, że jaśnie pan dla odmiany pójdzie do teatryku... ale to prowincją pachnie, my nie przyjmujemy żadnego aktora z teatryków.. marnie płacą, zarywiają... Najlepsi, to śpiewacy, albo koncertanci, tacy dają dochód...

Poluś słuchał, odczytując afisz dokładnie, i spytał od niechcenia:

— Jaki dochód?

— Kobiety, jaśnie panie — mrugnął okiem, pogładził faworyty i uśmiechnął się znacząco — istna procesya, a za każdą odpowiedź płacą... czy wstaje rano? gdzie jada? co robi? kto bywa u niego?... Straszna rzecz, jakie te kobiety zapalne.

— Tak?... Nie wiedziałem o tem — rzekł zainteresowany Poluś.

— Czy uwierzy jaśnie pan, za jedną chustkę do nosa sławnego śpiewaka dała mi jedna z wielbicielek pięć rubelionów! Tak, tak... szkoda, że nie poprosiłem go o włosy, dopiero płaciłyby...

— Hm... opowiesz mi innym razem... pójdę dziś na „Halkę“.

— To najlepiej... czy jaśnie pan, jak pan hrabia, każe przynieść sobie bilet?

— Hm... nie wiem, zkąd dobrze widać w teatrze waszym.

— Pan hrabia brał bilety tylko w trzech pierwszych rzędach... tam siedzą tylko bogaci panowie... arystokraci...

— Dobrze, proszę mi przynieść... a fryzyer daleko?

— Na dole, w naszym hotelu, od bramy na prawo.

Poluś rzucił okiem na afisz i wyjął odpowiednią ilość pieniędzy. Numerowy wziął i rzekł z ukłonem:

— Na posłańca pół rubelka... gdybym mógł sam, nie wziąłbym i grosza, ale służba, jaśnie panie.

Poluś dodał w milczeniu, przyrzekając sobie, że na drugi raz sam kupi bilet. Szybko począł się ubierać, lecz gdy zobaczył gors koszuli w domu wyprasowanej, zaklął ze złości, gdyż nawet numerowy miał bieliznę gładszą, nie było jednak czasu na kupno... włożył więc jaką miał. Ubrawszy się, nałożył kapelusz i spojrzął w lustro. Podobał się

sobie, poprawił kremowy krawat w granatowe paseczki, odgiął trochę róg kołnierzyka i, nie naciągając rękawiczek, z laseczką w ręku wyszedł.

Na każdej kondygnacyi schodów stawał przed lustrem ściennem, i z przyjemnością przyglądał się sobie.

Wszedł do męskiego przedziału u fryzyera i, nie zdejmując kapelusza, zawołał ostro do subiekta:

— Ogól mnie! a żywo!

Subjekt z miną obrażoną rzekł:

— Zawołałam chłopca, tym może pan tak rozkazywać.

— Co? Co to jest? — spytał głosem mniej surowym.

— Tu, panie, nie jest zakład felcherski, ale fryzyer, artysta, panie.

— Wszystko mi jedno, nie mam czasu, spieszę się na „Halkę“... ogól mnie pan.

— Proszę usiąść — wskazał fotel, i gdy namydłał dodał: — włosy pan ma ładne, można z nich coś zrobić, bo bujne, dobre w kolorze, ale trzeba artystycznej ręki. Do teatru ma pan czas — spojrzął na wiszący zegar — za dziesięć ósma... uvertura długa... hej! — zwrócił się do chłopca — żelazko do wąsów... płaskie... cóż? mam ufryzować?

— A jeśli się spóźnię?

Subjekt, ogoliwszy pół twarzy, począł brzytwę przeciągać na pasku, mówiąc:

— Zarost ma pan twardy... dowód wielkiej siły... a bilet ma pan?

— Kazałem kupić.

— Ręczę, że pan się nie spóźni... rzuci się pan w dryndę i jazda, a bez uczesania nie wypada siedzieć w teatrze.

— Hm... niech pan fryzuje — westchnął Poluś.

— Wpierw muszę włosy zrównać... za uchem cała kępa — dotknął ręką — z tyłu nierówne... z naszego zakładu musi pan wyjść jak lalka... to nasza zasada.

— Byle prędko — niecierpliwił się Poluś.

— Zaraz... zaraz — i, upudrowawszy całą twarz gościa, począł równać włosy, mówiąc — pan szanowny zdaleka... pierwszy raz w Warszawie...

— A pan z kąd wiesz o tem?

— Oczywiście, panie szanowny, oczy — uśmiechnął się, dzwoniąc nożyczkami — po akcencie poznaję, że z Litwy...

— Nie... ja z Ukrainy.

— Tak?... Prawie jedno i to samo... więc przyjechał pan do Warszawki pohulać... ho, ho, kobiety śliczne, eleganckie, ale kosztują... tylko znów pan młody, szykowny, ładny, to i polecą na pana.

Gdy skończył z fryzowaniem i uczesaniem, odstąpił na krok, i z uśmiechem dumnej radości zawołał:

— Proszę się przyjrzeć tylko swej głowie!... Uczesanie, to grunt, panie, każda kobieta najpierw

patrzy na włosy, a widzi smak artystyczny, już pan ją schwycił za serce... ho, ho, ja znam Warszawianki... już... — kończył, zdejmując z Polusia ręczniki — ach, jeszcze dotknę brwi, za jasne do włosów... tak, teraz doskonale... hej, Janie, oczyścić pana... wesolej zabawy, sługa pana, sługa...

Poluś zanim wyszedł, obejrzał się dokładnie w lustrze, a słuchając subjekta, uśmiechał się z dumną wyrozumiałością, osądził bowiem, że poufałość fryzjera nic mu nie ubliża, gdyż on zachowa swe incognito.

Szybko poszedł do hotelu, odebrał bilet i drożką dojechał do teatru. Opera już się zaczęła i widzowie słuchali w skupieniu śpiewu. Poluś, mając w trzecim rzędzie numer środkowy, począł się przeciskać na wskazane miejsce, musiano podnosić się z fotelów, powstał głośny szmer, z którego inni niezadowoleni poczęli sykać, wołać głośno: „cicho tam“, a jakiś gorętszy krzyknął: „błazen!“, inny dodał: „prowincya!“, co rozśmieszyło spokojniejszych. Poluś, uważając swych sąsiadów za sobie równych, był dla nich w przejściu uprzejmy, a na niezadowolonych, siedzących w dalszych rzędach, rzucił wzgardliwe spojrzenie. Usłyszawszy słowa: „błazen“, „prowincya“ zarumienił się i szukał winowajcy, nie odnalazłszy, rzucił wyzywające spojrzenie, wreszcie usiadł. Na razie nie słyszał muzyki, zastanawiał się szczegółowo, czy zasłyszane słowa mogły się odnosić do niego, i uznał, że to

niemożliwe... wszak zapłacił drogo za bilet, miał zupełne prawo usiąść na zapłaconem miejscu, a przez spóźnienie tylko on ponosił szkodę, bo stracił początek sztuki, chociaż zapłacił za wysłuchanie całości.

Uspokojony tem rozumowaniem, spojrzął na scenę i starał się pochwycić wątek treści. Właśnie Janusz i Zofia proszą stolnika o błogosławieństwo ojcowskie, gdy za sceną słychać śpiew Halki: „Jako od wichrów krzew połamany...”

No, tak, zaręczyny, pomyślał Poluś, szlacheckie, niby ja i Berezowiczówna... szkoda że śpiewają, ot komedyanci, czy nie lepiej byłoby mówić po ludzku... aha, otóż i dziewczyna, chłopka... z oburzeniem spojrzął na huczący oklaskami teatr przy ukazaniu się chłopki... mieszczuchy głupie, zobaczycie co zrobi z nią szlachcic... Lecz, gdy Janusz począł Halkę uspokajać, rozumiał Poluś, że zapewne ten szlachcic miał jakąś ciotkę, której się obawiał, a gdy Janusz wzmiankował o stryju... hm... ciotka czy stryj, wszystko jedno, boi się, i chciałby zataić ten głupi romans z dziewczką... czasem musi się spolitykować, — westchnął Poluś, przypomniawszy sobie Nastkę. Jednak mazur, odtańczony z brawurą w końcu pierwszego aktu, rozprószył doszczętnie wspomnienia o Nastce.

Podniecony ognistą muzyką i tańcem, wziął za przykładem innych lornetkę, i w czasie międzyaktu począł przeglądać łoże i siedzące w nich ko-

biety. Na pierwszym piętrze, w łoży, niedaleko sceny, spostrzegł dwie bardzo ładne panie. Przypatrywał się im uprzejmie, postanowił wreszcie dowiedzieć się ich nazwisk. Baczenie rozejrzał się po sąsiadach pierwszych trzech rzędów. Przeważnie siedzieli lub stali, zwrócenie ku publiczności, mężczyźni w pewnym wieku, łysawi, z zużytemi twarzami, a pomiędzy nimi młodsi, równie zmęczeni, zużyci, ale wszyscy w ciemnych ubraniach, poważni, niemal chmurni i rozmawiali półgłosem.

Poluś spojrzął badawczo po sąsiadach, i zdecydował się przemówić do jednego z młodszych, który stał spokojnie, bez lornetki przy oczach i rozglądał się bezmyślnie po krzesłach.

— Proszę pana, — szepnął Poluś, nachylając się, a gdy zagadnięty nie zwracał uwagi, dotknął surduta jego, ozdobionego kwiatkiem pąsowym, i powtórzył głośniejszym głosem, — panie... jak nazywają się te panie... trzecia łoża od sceny?

Zagadnięty zmierzył Polusia wzrokiem od stóp do głowy, i nie zmieniając postawy odrzekł cierpko:

— Podobnych wiadomości udziela biuro informacyjne.

— Dziękuję panu — powiedział Poluś uprzejmie, — a czy nie mógłby pan dać mi adresu tego biura?

— Adres? — spojrzął z dumnym politowaniem, — spytaj pan posłańca, — i odwrócił się.

— Dziękuję, — szepnął Poluś, i przypomniał

sobie naukę pana Orzechowskiego, żałując, że na razie nie ma biletu.

Rozpoczął się akt drugi. Halka, podniecona przez Jontka, dobija się do domu weselnego.

— Skandal! — zawołał Poluś półgłosem, tak, że bliżej siedzący spojrzeli na niego.

Los Janusza i Halki począł go coraz bardziej interesować, gdyż podstawił pod grające osoby siebie i Nastkę, a gdy Jontek szydzi z Halki i drwiąco przemawia do Janusza, oburzył się tak dalece, że nie zważając na publiczność rzekł gniewny, odkładając lornetkę:

— Szelma cham!

— Pst... pst... cicho! — zawołano.

Pomiędzy aktem drugim a trzecim, Poluś wyszedł z krzesła w nadziei, że służba teatralna wskaże mu adres pięknych pań z łoży.

Wyciągnąwszy dwadzieścia kopiejek, które wsunął w rękę woźnemu, spytał poważnie:

— Jaki adres tych pań? — wskazał ręką na łożę.

— Jeśli wielmożny pan dowie się nazwisk, adres można łatwo dostać w biurze adresowem... w ratuszu, na lewo.

Niezadowolony Poluś skinął głową i przeszedł się kilkakrotnie po korytarzach teatralnych.

Na odgłos dzwonka wrócił na swe miejsce i słuchając aktu trzeciego, oburzał się, że władza pozwala coś podobnego wystawiać w teatrze, bo całość krzywdzi stan szlachecki i podnieca chłopstwo

do koliszczyny, do rzezi. Jakiż ten Janusz głupi, rozmyślał, gdyby był dał tej dziewczce dwie krowy w posagu i chałupę, miałyby święty spokój, ten szelma Jontek byłby się z nią ożenił, i wszystko skończyłoby się dobrze, cicho, spokojnie.

Gdy w akcie czwartym ujrzał rozpacz Halki, przyrzekł sobie zerwać z Nastką... nawet nie kupi jej prezentu, bo miałyby dowód przeciw niemu, i zastanawiał się, co będzie korzystniejszym, czy natychmiastowe odprawienie Nastki, czy też wydanie jej zamąż kosztem dworskim za parobka.

Jeszcze nie rozstrzygnął tej ważnej kwestyi, gdy na scenie po utopieniu się Halki zjawił się zrozpaczony Janusz. Poluś odwrócił się od niego ze wstrętem i wzgardą, szepnął przez zaciśnięte zęby:

— Dureń!... Skąpiec!

Oburzony tą moralną porażką dworu i szlachezca wyszedł chmurny z teatru. Stał niezdecydowany pod filarami, poczuwszy dotkliwy głód, gdyż w Łukowie, około dwunastej jadł po raz ostatni.

Przypuszczając, że w pobliżu teatru muszą być restauracye, postanowił spytać się o nie którego z wychodzących z przedstawienia. Upatrzawszy jednego z panów, zbliżył się i spytał grzecznie:

— Jestem obcy w Warszawie... czy nie mógłby mi pan wskazać restauracyi?

Zapytany przystanął, i po krótkiej chwili namysłu, rzekł uprzejmie:

— Sam idę na kolację, jeśli pan chce, może mi pan towarzyszyć.

— Bardzo chętnie... dziękuję panu.

Szli obaj po pod filarami, a świeży znajomy mówił:

— Pan z daleka?

— Z Ukrainy.

— O, to kawał drogi.

— Istotnie daleko.

Weszli do restauracyi na pierwszym piętrze, a zanim usiedli, Poluś dowiedział się, że nowy znajomy nazywa się Stanisław Śnieżycki, który, gdy wybrano potrawę, spytał:

— Pan był na Halce?

— Właśnie wracam... i żałuję, że byłem.

— A to ciekawe! — zawołał dzwicznym głosem i spojrział na Polusia łagodnymi niebieskimi oczyma — czy znajduje pan, że wykonanie było liche?

— Idzie mi o treść panie — rzekł Poluś poważnie, pamiętając surową moralność ciotki, mówił z ożywieniem: — podobnych brudów nie powinno się przedstawiać... i to w tak fałszywy sposób.

— Tak pan sądzi?

— Ja, panie, urodzony i wychowany na wsi, znam doskonale stosunki... wierz mi pan, że takiej Maryśce, Hapce, Pryśce nawet na myśl nie przyjdzie mieć jakiegokolwiek pretensye... daje się jej posag i kwita. A tu panie, w tej Warszawie, wywle-

kają takie niemoralne historie, i publiczność bije brawo!

— Jednak takie szczere, artystyczne przedstawienie losu opuszczonej dziewczyny — rzekł łagodnie towarzyszy — wpływa dodatnio na etykę społeczną.

— Dodatnio!? — zaśmiał się Poluś ironicznie, wyładowując wszystkie zasłyszane zasady ciotki i poważnych sąsiadów — zozydza się dwór w oczach chłopstwa, podnieca do buntu... takiego Jontka, panie, kazałbym obwiesić na suchej gałęzi, bo gdyby nie on, czy taka Nastka — zmieszał się — szybko dodał — chcę powiedzieć Halka, czy ona ośmieliłaby się narzucać się panu?

— Ależ z pana konserwatysta — usmiechnął się i zaczął jeść podany rostbef.

Poluś polykając szybko kawalki pieczenia odpowiedział po chwili:

— Nie jestem konserwatystą, tylko szlachcicem... i jako szlachcic patrzyłem na tę sztukę.

— Hm... to także punkt widzenia, ale nie zaprzeczy pan, że dziewczęta, widząc los Halki, staną się ostrożniejsze, moralniejsze...

Poluś spojrział na mówiącego z ironią, zadzwonił na lokaja, kazał sobie podać drugą porcję i rzekł z uśmiechem:

— Całe szczęście, panie, że dziewczki wiejskie nie widzą takich sztuk... dopiero podniosłyby gwałt, naturalnie udany.

— A więc sztuka robi wrażenie, a to jest jedynym z jej celów.

— Dziękuję za taki cel, — zaśmiał się.

Wśród chwilowego milczenia nowy znajomy zadzwonił i kazał dać szklanek piwa.

— Ależ napijemy się wina! — zawołał Poluś.

— Dziękuję... nie pijam.

— Hm... to już i ja poprzestaną na piwie, chociaż to trunek nie w moim guście.

— Pan dawno w Warszawie? — spytał Śnieżycki, gładząc krótką, jasną brodę.

— Dziś przyjechałem o drugiej.

— Pozwoli pan zapytać się o cel przyjazdu?

— Hm... tak sobie... pohulać trochę.

— Jako Warszawiak z krwi i kości, dałbym panu jedną radę... jeśli wolno...

— Ależ proszę... jaką?

— Wystrzegaj się pan łatwych znajomości... to niebezpieczne.

— I to pan mówi?! Warszawiak! — uśmiechnął się Poluś.

— Tak jest, bo znam dobrze Warszawę. Uważa pan... Warszawa to jakby wielkie jezioro, do którego spływa mnóstwo strumieni... dość przyjrzed się przychodzącym pociągom na kolei.

— No, i cóż dalej? — spytał Poluś niedowierzająco.

— I jak zwykle na wierzchu wody tworzy się piana, szumowiny... Ci, którzy pierwszy raz są

w Warszawie, dotykają się najpierw tych brudnych szumowin, no, i powaleni, zbrudzeni odjeżdżają.

— Tak?... Jakaż więc rada pana?

— Odepchnąć szumowiny, a pokaże się właściwa Warszawa, czysta, dobra, miła, jak woda kryniczna.

— Hm... hm... dobra rada, ale jak poznać owe szumowiny?

— Jak?... Mężczyzn, gdy żyją bez jutra, bez celu, bez pracy... Kobiety po jaskrawych sukniach, po spojrzeniu, uśmiechu...

— Dziękuję panu, chociaż nas Ukraińców nie tak łatwo omamić — zaśmiał się — a może pan zechciałby być moim przewodnikiem?

— Nie mam czasu, a zresztą po co panu jakkolwiek osoba, kup pan sobie książeczkę informującą o warszawskich muzeach, wystawach, bibliotekach... to wystarczy.

— Jednak miłoby mi było zrobić z panem wycieczkę, pan taki miły, rozumny, — pochlebiał mu — może pan da się namówić?

— Hm... za dwa dni, w niedzielę, z kilku kolegami jedziemy do Wilanowa, chce pan, to niech się pan stawi o 9 rano na stacji kolejki podmiejskiej.

— Dziękuję, nie zapomnę.

Zadzwoniono. Poluś chciał płacić za dwie kolacje, nie pozwolił na to towarzysza, uiszczając swój rachunek, i wkrótce wyszli.

- W którym hotelu pan stanął?
— W Europejskim.
— A to po drodze, odprowadzę pana.
Szli jakiś czas w milczeniu, wreszcie rzekł Poluś:
— Panie, a jakie są Warszawianki?
— Co do ich piękności zależy od gustu, wogóle są ożywione, lubią się bawić, stroić, bywać w teatrach...
— Jak wszystkie kobiety, — zaśmiał się Poluś,
— ale ich moralność?
— Na ogół biorąc, są moralne.
— Ależ pan zakochany w tej Warszawie, — śmiał się, — a przeciwnie opowiadano mi zupełnie co innego, ale to najzupełniej inaczej.
— Hm... przekonaj się pan... słowa nie stanowią dowodu.. otóż i hotel pana... dobranoc.
— O nie, do widzenia tylko.
— Więc do widzenia.



IV.

Zmęczony podróżą i wrażeniami pobytu w Warszawie, spał Poluś do dziewiątej rano. Otworzyłszy oczy nie mógł na razie poznać gdzie jest, dopiero rzuciwszy okiem na nowe ubranie, które starannie rozłożył na meblach, uśmiechnął się rozkosznie i z przyjemnością rozciągnął się na miękkim łóżku.

— Wolny! — szepnął, po chwili spojrzał na zegarek... ho, ho, ciotka dawno już wstała, łązi wszędzie, zrzędzi nieustannie... a on tego nie widzi, nic nie słyszy...

Ciotka już dawno po śniadaniu... pewno zajrzała z przyzwyczajenia do jego pokoju, chcąc go obudzić... a tu łóżko puste, musiała być zabawna z tem rozczarowaniem; uśmiechnął się...

Następnie, sama siadła do stołu, spogląda na puste miejsce.. niema komu opowiadać swoich snów, urojonych zmartwień ze służbą, kłopotów gospodarskich... niema kogo strofować, nauczać...

No, ma się też z pyszna stary Paweł i dziewczęta... nasłuchają się też... nasłuchają...

A on tymczasem leży tu, na wygodnem łóżku, w eleganckim pokoju, jak pan, jak hrabia, jak książę.. nikogo się nie boi, nie słucha terkotania ciotki i jej rozkazów, nie potrzebuje iść w pole, stać w stodole, wydawać ze spichrza.. pan! pan!

Wstał, otworzył drzwi zamknięte na klucz, położył się znów do łóżka i zadzwonił na numerowego.

— Jaśnie pan dzwonił?

— Tak jest... śniadanie... co macie?

— Herbata, kawa, czekolada... wszystko do rozkazu.

— Herbatę!

— A do niej co? Może szynki, jaja na miękko, ser?

— Hm... bułki, masło, szynkę.

— Natychmiast.

Ach, jakby się ciotka gniewała, że on nie używa danych mu zapasów! Ale to niepodobieństwo wymować w takim eleganckim pokoju, i rozkładać na takich meblach: szynkę, polędwicę, garnek z masłem, słoiki konfitur... Naraziłby się na śmieszność w oczach numerowego.

Drzwi otworzyły się, pierwszy wszedł numerowy, za nim chłopak z tacą i przyborami do śniadania. Szybko nakrył stół przed kanapką i zwrócił się do leżącego Polusia:

— Jaśnie pan pozwoli herbaty w łóżku?

— Dobrze.

Numerowy skinął na chłopaka, by wyszedł i z przesadną troskliwością nalewał herbaty, mówiąc:

— Jaśnie pan bawił się dobrze w teatrze?

— Wcale nieszczególnie... nie podobała mi się sztuka.

— To dziwne... uchodzi za jedną z najlepszych... ile kawałków cukru? dwa wystarczy? — i przynosząc szklankę herbaty mówił: — a może jaśnie pań ma rację co do „Halki“... kto bywa w Paryżu, Wiedniu, Berlinie, temu nie smakuje teatr warszawski...

— Chociażbym ci powiedział przyczynę, nie zrozumiesz... nie mówmy o tem... czy u was niema szklanek? — spytał z ironią — dajecie mi herbatę w czerepie, a ja chcę widzieć co piję.

— Natychmiast jaśnie panie — i szybko wyszedł.

Po jego wyjściu zastanowił się chwilę, pijąc herbatę, czy ma na wzór hrabiego dać numerowemu rubla, czy nie? Osądził, że da mu chyba pół rubla, gdyż rada była nieszczególna, a zawsze usposobił to dobrze numerowego, którego rozmyślał rozpytać o pewne wątpliwości, i do wchodzącego ze szklanką rzekł z miną pana:

— Za twoje dobre chęci, abym się zabawił w teatrze.. masz tu pół rubla.

— Pokornie dziękuję, jaśnie panie... na drugi raz postaram się dogodzić.

— Dobrze... dobrze, — odpowiedział na niski ukłon z niedbałością pańską.

Poluś począł się z wolna ubierać, a przy wkładaniu krawatu przypomniał sobie brak szpilki brylantowej i monokla, postanowił kupić, a dla oszczędności pójść pieszo do sklepów.

Otrzymawszy dokładne wskazówki od numerowego, poszedł do pobliskiego sklepu jubilera; szpilka jednak z brylantem wydała mu się zbyt drogą, kupił z czeskim kryształem, wychodząc spytał:

— Gdzie najbliższy sklep ze szkłem?

— Pan żąda tafli, zwierciadeł?

— Nie.. monokl.

— Ach, to optyk... siódma kamienica na prawo... okulary na szyldzie.

— Dziękuję.

Wchodzącego do sklepu, spytał subjekt.

— Czem mogę służyć?

— Monokl.

— Jaki numer?

Poluś się zmieszał i po chwili namysłu odpowiedział:

— Zapomniałem.

Po wyborze monoklu, Poluś poszedł do hotelu i zaczął wprawiać się w ustawianie szkła na oku prawem, że jednak, ściskając brwi i powieki, by utrzymać szkło, mrużył równocześnie lewe oko, przeniósł monokl wybrany na lewe oko. Pracował uporczywie nad sztuką utrzymania szkła, aż naci-

snawszy niemal do krwi powiekę i lewą stronę nosa, doprowadził do tego, że wprawdzie z przykrością i przymusem, ale jakoś szkło trzymało się na oku.

Po napisaniu krótkiego listu do ciotki, z wyrazami nadzwyczajnej tęsknoty, z narzekaniem na ogromną drożyznę w Warszawie, bez wyszczególnienia wydatków, „aby nie zmartwić najdroższej cioteczki“, zamyślił się Poluś, nie wiedząc gdzie iść, co zrobić z czasem.

Po chwili zadzwonił i rzekł uprzejmie do numerowego:

— Powiedz mi, gdzie tu klub?

— U nas, jasnie panie, dużo klubów, ale jeśli kto chce należeć, musi być albo przez członka wprowadzony, albo podać się o przyjęcie i czekać odpowiedzi tydzień... czasem dłużej.

— Hm... u nas inaczej... Każdej chwili mogę wejść do klubu.

— Tam znają jasnie pana... a w Warszawie tyle ludzi... muszą robić wybór.

— Słuszna uwaga, — przyznał Poluś, — ale gdzie się zabawiają młodzi?... tacy jak ja?

— Jasnie pan chce powiedzieć: „złota młodzież“, — uśmiechnął się dyskretnie, przyglądził lewy faworyt, — hm... wieczorami bawią się wesoło za miastem, w Marcelinie, Sielance, Trianon... lub gdzieindziej... Hm... w dzień? Różnie, to tu, to owdzie... ale najweselej już na „górcze“.

— Cóż to za „górką“?

— W naszym hotelu jest pierwszorzędna cukiernia Loursa... jak się wejdzie z ulicy do sali, na lewo po schodach są salony z bilardami... tam zbiera się „złota młodzież“.

— O której godzinie? — spytał Poluś z błyszczącymi oczyma, bo znalazł, czego szukał.

— W każdej porze.

— I teraz?

— Hm... po jedenastej dziesięć minut... no, tak, za pół godziny będą, a może już i są...

— Dziękuję.

— Czy jaśnie pan ma zamiar pójść?

Poluś spojrział z obrażoną dumą i rzekł:

— Może... nie wiem... idź!

Oduczę ja cię wtrącania się do moich spraw, uśmiechnął się, zadowolony z siebie, ubrał się w tutuzurek, przypatrywał się z lubością przebłytkom kryształu, wsadził monokl, i wymachując laseczką, wyszedł z numeru. Załedwie począł schodzić ze schodów, monokl spadł; przystanął, umocował, na próżno jednak, każde przegięcie się na schodach spowodowało upadek szkła.

— Zczasem się przyzwyczaję, — westchnął.

Widząc piękną, bogato rzeźbioną salę cukierni, upewnił się w przekonaniu, że do takiego zakładu mogą chodzić tylko wybrani, bogaci ludzie.

Wszedł po schodach i zaraz w pierwszej sali z bilardem usiadł przy stoliku pod oknem. Włożył

monokl i począł się przypatrywać grającym w bilard w drugiej sali, następnie robił przegląd innych gości, przeważnie młodych ludzi.

Do siedzącego przyszedł chłopak cukierniczy, pytając:

— Herbata? kawa? czekolada?

— Herbata.

— Z ciastkami tortowemi, francuskimi?

— Francuskie.

Wejście Polusia zwróciło na razie uwagę kilku gości, lecz gdy zasiadł spokojnie i zażądał herbaty z ciastkami, nie zwracano już uwagi na niego.

Jeden jednak z gości, niewyraźny blondyn, przyglądał się długo i bacznie Polusiowi swemi mętnymi oczyma z po za trzymanej w ręku gazety. Szczegółowo badał strój, niemodne spodnie, rzucającą się w oczy krawatę, nowy kapelusz, niezręczne zabawianie się monoklem, wreszcie uśmiechnął się, odłożył gazetę, poprawił ubranie skrojone dobrze, ale znoszone, włożył monokl na oko i niedbalym krokiem przeszedł do sąsiedniego stolika, bliżej Polusia. I znów robił przegląd drobiazgowy nowego i nieznanego na „górcę“ gościa. Egzamin wypadł snąc pomyślnie, bo znów się uśmiechnął, wyjął szczoteczkę kieszonkową, przyglądał małe jasne wąsy i kotleciki krótkie; wstał, przejrzał się w lustrze, a spostrzegłszy leżącą obok Polusia gazetę, zbliżył się cichym, chwiejnym krokiem, pytając bardzo uprzejmie:

— Pozwoli pan gazetę... zdaje mi się, że pan nie czyta.

— Ależ owszem, proszę, — zawołał Poluś z pośpiechem.

— Jak tylko przejrzę... zwrócę — i usiadł przy bliskim stoliku.

Z kolei Poluś przypatrywał się czytającemu, zwróconemu profilem do niego. Imponował mu monokl, który wcale nie spadał, a w żółtawej, zniszczonej twarzy, przeciętej grubą zmarszczką na policzku, w krótkich kotlecikach koło uszu, w nastroszonym modnie wąsie, odkrył wielką dystynkcję i szyk pański.

Przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z fryzjerem, spojrzął na włosy. Były one starannie uczesane, rozdzielone na równe połowy, przykrywając łysiejącą czaszkę.

Po chwili czytający złożył gazetę, uśmiechnął się przyjaźnie, podszedł do Polusia, mówiąc:

— Dziękuję panu... nic ciekawego w tej gazecie... myślałem, że znajdę coś zabawnego, bo jako obcy nudzę się śmiertelnie.

— Jakto! — zawołał uradowany Poluś, — więc i pan obcy w Warszawie?

— Obcy, nie obcy, bo co roku zjeżdżam do tego miasteczka na krótki czas... tylko na razie moi znajomi wyjechali do wód zagranicznych... A pan?

— Ja nie mam znajomych wcale i nudzę się także.

— Pozwoli pan, że usiądę przy stoliku pana, — rzekł nieznajomy.

— I owszem... bardzo mi przyjemnie, — zerwał się Poluś z miejsca i przedstawił się z niskim ukłonem.

— Eustachy Krasnojarski, — brzmiała odpowiedź.

— Dla pamięci zechce pan przyjąć mój bilet wizytowy, — rzekł Poluś, zadowolony, że może nareszcie umieścić świeżo otrzymane bilety.

— Dziękuję, — odczytał uważnie, uderzając się w boczną kieszeń, zawołał: — Ach ten gamoń, mój lokaj, nie włożył mi biletów... drugim razem wręczę panu.

— Miło mi będzie.

— Jakże pan czas przepędza? Gdzie pan był wczoraj wieczorem?

— W teatrze... na „Halce“... sztuka nieszczerólna co prawda, ale zabiłem czas.

— Naturalnie, nasz teatrzyk po Paryżu, Londynie, Wiedniu, to nędza... Czasem idę z konieczności, ale wolę nawet teatrzyki ogródkowe, tam weselej.

— Drugim razem pójdę do teatrzyku — pospieszył Poluś.

— Cóż teraz zamysła pan robić? — i począł kręcić pierścionek z turkusem na małym palcu.

— Sam nie wiem, — odparł zmieszany — przyszedłem tu dla rozrywki.

— To miejsce uczęszczane zwłaszcza jesienią,

ale teraz, w czerwcu, bywają tu ludzie niewyraźni, jakies tam kupczyki i inni... to nie z naszej sfery, — uśmiechnął się.

— Tak, to przykra rzecz, gdy ludzie z innego stanu cisną się gwałtem do naszego towarzystwa, — rzekł Poluś z odcieniem oburzenia — każdy powiniem równych sobie szukać... nieprawdaż?

— Bardzo słusznie, bardzo — przytakiwał Krasnojarski przyjaźnie.

— Chłop z chłopem, mieszczuch z mieszczuchem, — zapalał się Poluś, — bo jak zmieszają się stany, niewiadomo z kim mówisz, z kim siedzisz... czy nie tak?

— Z ust wyjął mi pan to zdanie... ho, ho, co krew, to krew... Istotnie miło mi poznać tak zanego i rozumnego obywatela, — podał rękę, którą Poluś gorąco uściśnął.

W drugim salonie przy bilardzie wszczęła się nagle kłótnia, ostre słowa padały; widocznie zainteresowało to Krasnojarskiego, gdyż wstał, mówiąc do Polusia:

— Zaraz wróć... zobaczę tylko, jak się kłóci hołota, — i cichym, chwiejnym krokiem poszedł do drugiej sali i zbliżywszy się do markiera szeptał:

— Panie Franciszku, zrób mi pan tę grzeczność, i przyslij pan do mnie chłopaka z wyraźnym rozkazem, aby mnie tytułował hrabią... bardzo wyraźnie, hrabią, i dość głośno.

Markier spojrział z uśmiechem w stronę siedzą-

cego Polusia, przez szeroki łuk oddzielający jedną salę od drugiej i odpowiedział cicho, mrugając znacząco oczyma:

— A czy dobry fryc?

— Ananas, — zaśmiał się Krasnojarski — moja w tem głowa, aby i pan skorzystał.

— To już zgoda... znamy się przecież.

Wrócił z wolna, kołysząc się lekko w biodrach, i rzekł z uśmiechem ironicznym:

— Kłóć się o głupiego rubla... dziwnie zachłanny jest ten motłoch na pieniądź.

— Pan ma rację... chłop za rublem Bóg wie gdzie poleci. Widziałem to u nas, w Humańskim... no, nic dziwnego, — mówił Poluś częstując sąsiada papierosem, — to panie dzicz.

— Czy i u pana są tacy chłopci?

— Wprost bydło... byle użyć na gorzałce, tańcach, nic nie pracować...

— Tak, tak... kubek w kubek i u mnie — westchnął Krasnojarski, — a wszystko z braku kultury, nic nie czytają, chociaż wtykam w rękę.

— Pan... sam... daje im książki?

Zdziwił się Poluś szczerze.

— Przez współczucie, — spuścił mętne oczy — sam doznaję rozkoszy czytając, chciałbym by i oni zakosztowali... A pan lubi czytać?

— Tak, od czasu do czasu, byle coś lekkiego, zabawnego... gdyż widzi pan, mojem zdaniem życie jest tak ciężkie, smutne, nudne... mamże je zatru-

wać jeszcze urojonemi cierpieniami jakichś nieznanych ludzi, wymyślonych przez pismaka!? Ja powiadam, chcesz abym kupował twoje książki, baw mnie, a nie umiesz tak pisać, to i nie kupię.

— Zasada pana wydaje mi się zbyt krańcowa, — i wpatrzywszy się w róg sali mówił melancholijnie, — są panie poezye smutne, a jednak piękne, bo budzą wspomnienia rozkoszne. Czy pan wie co to miłość?

— Miłość panie, ja to wiem, otóż, panie, cała miłość, — machnął ręką lekceważąco, — jest to, że tak powiem...

Wtem podbiegł chłopak, oczy błyszcząły mu wesołością, widać było, że lada chwila parsknie śmiechem i zawołał głośno:

— Co pan hrabia pozwoli?

— Mazagran, ale wiesz taki... jak ja lubię... w miarę koniaku.

— Wiem panie hrabio... zaraz panie hrabio... natychmiast panie hrabio, — zawołał odbiegając.

Poluś zaledwie uszom własnym dowierzał, ale słysząc słowo hrabia powtórzone kilkakrotnie, zarumienił się z radości i wstydu, że tak śmiało wygłaszał swe zapatrywania przed hrabią. Nie kończył już rozpoczętego zdania, lecz otworzywszy oczy szeroko, patrzył w oczy hrabiego. I jak zwykle w mętnej wodzie widzi się więcej niż w czystej, i on dopatrzył w tych mętnych oczach pra-

wdziwych znamion arystokratycznych: dumy, pewności siebie i bystrości umysłu.

— Ach, nie wiedziałem, że pan jest hrabią—zawołał Poluś ze źle ukrywaną radością — zdawało mi się, że pan nie wymienił tego tytułu.

— Nie lubię, aby mnie tytułowano w miejscach publicznych, to zwraca niepotrzebną i niemiałą uwagę tłumów... zaraz podpatrują, naśladują... i z tego powodu ubieram się bardzo skromnie, jak na moje środki osobiste.

— Pan hrabia ma słuszność—rzekł z uznaniem Poluś, pieszcząc się przy wymawianiu tytułu.

— Wie pan, jak to mówią u nas — zaczął hrabia wesołym tonem—zejdzie się szlachcic ze szlachcicem, znajdzie się zaraz pokrewieństwo.

— A tak bywa — potwierdził pospiesznie Poluś, z tajoną radością, że może i w tym wypadku znajdzie się pokrewieństwo.

— Moja babka, panie, była z domu Jemiółkiewiczówna.

— Czy być może!? — zawołał zarumieniony.

— Ja mówię—rzekł marszcząc brwi—była herbu Ślepowron...

— To i mój herb — przerwał Poluś.

— Pochodziła gdzieś z Ukrainy, jeśli się nie mylę z Humańskiego, a może z Pobereża.

— Pewno z Pobereża, bo to nasze gniazdo rodzinne.

— Być może... ale Jemiołkiewiczówna, tego samego herbu... musimy być skuzynowani?

— Byłoby to dla mnie prawdziwym zaszczytem, — rzekł Poluś poważnie, i wstając skłonił się głęboko.

— Ależ, zapewne tak jest — rzekł hrabia, podając rękę z łaskawym uśmiechem.

— Czy wolno spytać, jakim herbem pieczętuje się pan hrabia? — spytał Poluś z pewną niesmiałością.

Hrabia po dobrej chwili, gdyż dostał napadu kaszlu, odpowiedział:

— Ja pieczętuję się Sasem.

— To zupełnie jak Berezowicze, moi sąsiedzi — zdziwił się Poluś.

— Berezowicz!... Berezowicz!? — i hrabia przyłożył lewą rękę do czoła — ależ tak... nie myślę się... moja ciotka cioteczna poszła za Berezowicza, to podobno bogaci ludzie... Wybieram się nawet w tamtę stronę, do was, bo tam tylu powinowatych, i Jemiołkiewiczze, i Berezowicze... muszę pojechać, chociaż droga mnie męczy.

— W takim razie, niechże pan hrabia nie zapomni o mnie, o mojej ciotce, mieszkamy w Mironówce.

— I owszem, bardzo chętnie... ale zechciej, kuzynie, wypuścić słowo hrabia w naszej rozmowie... mów mi: kuzynie... to wystarczy — rzekł hrabia z godnością i łaskawym uśmiechem.

— Bardzo mi miło, panie hra... kuzynie bardzo miło i zaszczytnie — uściskali sobie ręce.

— I mnie również... No, nagadaliśmy się, kuzynie, poznali, a do obiadu kawał czasu... co tu robić?

W tej chwili chłopak przyniósł żądany napój, mówiąc:

— Mazagran, panie hrabio!

— Tyle razy mówiłem ci, chłopcze, nie tytułuj mnie w cukierni — upomniał dość surowo.

— Słucham, panie hrabio! — i odszedł.

— Z usługą mam zawsze ten kłopot — westchnął hrabia — byłem się pokazał, już dowiedzą się jakimś cudem o moim tytule, i dalej nim szafować.

— Hm... to trudno, tytuł obowiązuje — pocieszał Poluś.

— Ależ oni robią to dla reklamy, kuzynie... ten, ów posłyszysz tytuł, a potem chełpi się, że z hrabią siedział w jednym pokoju... o znam ja te drogi.

— A możeby kuzyn zmienił cukiernię — doradzał Poluś.

— Tak też robię... jednego dnia tu, drugiego tam — ale to mało pomaga — znów westchnął, kuszując mazagrana — czy kuzyn grywa w bilard?

Polusia zaskoczyło to pytanie, bo grać, grywał w klubie, ale znów grać z kuzynem ciotki, powinowatym Berezowiczów... a jeśli on przyjechawszy w Humańskie rozpowie wszystkim? Bo grając w klubie miał zawsze wymówkę, że grał z konieczności, dla pozyskania tego lub owego wpływo-

wego człowieka... ale tu? jaka wymówka? Z drugiej strony, czy godzi się? czy można? czy wypada? odmówić hrabiemu, który tak otwarcie przyznał się do kuzynostwa z Jemiołkiewiczami?... Odpowiedział też cichym głosem, ze spuszczonei oczyma:

— Gram słabo, kuzynie... nie będziesz miał przyjemności...

— A w co grywasz, kuzynie? — spytał hrabia wesołym tonem.

— Piramidkę... od biedy ruską partycję.

— Więc zagramy piramidkę... ten bilard wolny — zadzwonił w szklanke, wołając: — markier! markier!

— Jestem, panie hrabio.

— Ustawić piramidkę!

— Zaraz, panie hrabio.

— Wiesz, kuzynie — mówił hrabia przyciszonym głosem — ja z zasady nie grywam o pieniądze, bo gra powinna być zabawą, a nie hazardem; czy zgadzasz się, kuzynie?

— Ależ naturalnie... i ja jestem tego zdania.

— Uważasz jednak, kuzynie... ze względu na służbę tutejszą... na markiera, chłopców, widzów przygodnych, my, panowie, nie możemy grać, byle grać, *noblesse oblige*, czyż nie tak?

— Prawda... słusznie...

— *Enfin* trzeba grać o coś... jak myślisz, kuzynie, po ile punkt?

— Nie wiem... nie znam się na tutejszych zwyczajach...

— A jednak, trzeba *toujours* coś powiedzieć, teraz lub *jamais* — naciskał hrabia Polusia.

— Hm... a gdyby po pięć kopiejek — odpowiedział Poluś nieśmiało.

— O, to za drogo!... *jamais!* — mieszał francuskie wyrazy, widząc, że to robi wrażenie — musisz kuzynie grać znakomicie, proponując taką stawkę.

— Ależ nie... Ot gram zwyczajnie, ani źle, ani dobrze... po ileż punkt myśli kuzyn?

— Najwyżej trzy kopiejki... gramy trzy partycje, ostatnia rozstrzyga, dobrze kuzynie?

— Bardzo chętnie.

Rozpoczęli grę. Hrabia, nie ufając przeciwnikowi, prowadził grę ostrożnie, odstawiał się pod bandę... lecz gdy spostrzegł, że Poluś jest w stosunku do niego słabym graczem, pozwolił mu wygrać pierwszą partycję ze znaczną ilością punktów, podstawiając się w końcu z rozmysłem.

— O, kuzynie, grasz znakomicie — zawołał po skończeniu partycji, gdy markier ustawiał piramidkę z bil — muszę się mieć bardzo na ostrożności.

— To tylko wypadek, nie znam bilardu — odpowiedział Poluś z udaną skromnością, dumny ze swego zwycięstwa.

W drugiej partycji służyło szczęście hrabiemu, jednak i Poluś grał nieźle, tak, że partycja rozgrywała się na ostatniej bili, którą zrobił hrabia.

— Teraz trzecia... rozstrzygająca... niepodobna, abys kuzynie zawstydył nas i wygrał — śmiał się

z goryczą — gdybyś mnie pobił, straciłbyś gracza
we mnie *pour toujours*.

— W takim razie chcę przegrać — zawołał Poluś
z zapalem.

— Na to nie pozwalam — mówił hrabia, marszcząc
brwi — musisz mi kuzynie przyrzec, że będziesz się
starał wygrać... słowo?... albo nie gram — i odło-
żył kij.

— Ależ daję słowo... postaram się wygrać.

— Więc zaczynajmy...

W tej chwili wszedł na salę niski szatyn, w po-
pielatym, surdutowym garniturze, w popielatym ka-
peluszu, w popielatych rękawiczkach i, opierając
się na popielatej laseczce, przystanął na chwilę.

— Dzień dobry, baronie! — zawołał hrabia i pod-
szedł do stojącego, uściśnął rękę i szepnął — jestem
hrabią, pamiętaj.

— Kolej na kuzyna — rzekł Poluś.

— Chwilkę, baronie... wszak pozwolisz? — mówił,
idąc do bilardu.

— Zaczekam, hrabio.

Dziwne szczęście miał hrabia w trzeciej partyi.
Nie odstawiając kija, wrzucił do łuz wszystkie
bile oznaczone większymi numerami, zostały tylko
młódki, a gdy się odstawił należycie, pozwolił grać
Polusiowi.

— Hrabio, dziś masz szalone szczęście — zawołał
baron.

— Tylko szczęście — westchnął hrabia — bo mój
kuzyn gra znakomicie.

Jednak, mimo znakomitej gry, Poluś przegrał
trzecią partyę ze znaczną ilością punktów.

— Markier! — zawołał hrabia — proszę obliczyć —
a zwracając się do nowo przybyłego — pozwolisz
baronie, że poznam cię z moim kuzynem z Ukrainy,
— wymienił nazwisko — baron Ferdynand Moren.

— Bardzo mi przyjemnie, panie baronie — za-
wołał Poluś uszczęśliwiony.

— I mnie również — mówił baron, ściskając
podaną rękę — jest to szczęściem dla hrabiego,
gdyż oddawna wybierał się na Ukrainę do swoich
kuzynów, teraz chyba nie pojedziesz hrabio?

— Przeciwnie, baronie — mówił zwolna i z po-
wagą — poznawszy cudownym sposobem tak mi-
łego kuzyna, postanowiłem jeszcze w tym roku za-
jechać na Ukrainę.

— Czy jednak nie zmęczy cię, hrabio, tak da-
leka podróż? — spytał baron, a w głosie czuć było
hamowany śmiech.

— Obowiązek, baronie, obowiązek przedewszyst-
kiem — odpowiedział hrabia z przyciskiem, i spoj-
rzył surowo w blade, siwawo-popielate oczy barona.

Widocznie słowa te podziały na barona, bo
rzekł smutnym głosem:

— Znam cię, hrabio, wiem, że zdrowie poświę-
cisz dla obowiązku.

— Przegrana wynosi dziesięć rubli czterdzieści kop. — zawołał głośno markier.

Poluś chciał wypłacić hrabiemu, ten jednak szepnął mu:

— Płaci się markierowi, a on mnie wypłaca, tego wymaga dobry ton.

Poluś zaczerwieniony, zmieszany, podszedł do markiera, zapłacił przegraną i za czas gry.

— Panie hrabio służę... są pieniądze — rzekł markier z ukłonem.

Hrabia nałożył monokl i spytał tonem obojętnym:

— A ile tam?

— Dziewięć i czterdzieści.

— Osiem dla mnie... reszta na piwo.

— Dziękuję panu hrabiemu — mówił markier, wręczając wygraną.

Usiedli we trzech przy stoliku, a hrabia przemówił:

— Wiesz kuzynie, byłem przekonany, że przegram... dziwnie nieszczęśliwie grałeś ostatnią partycję.

— Bo nie znam bilardu.

— No, po trzech partyach powinien pan już poznać — odparł baron.

— To też teraz znam — odpowiedział Poluś — tu bandy są czułe.

— Wiecie panowie co? — zaczął baron, spoglądając na zegarek — teraz bez dziesięciu druga... a możebyśmy zegrali o obiad.

— Ja, baronie, jak zwykle, zagram z tobą o obiad

— rzekł hrabia — tylko może kuzynu zaproszony nie może jeść z nami obiadu.

— Przeciwnie, będzie mi nader miło, bardzo przyjemnie.

— Więc podzielmy się wydatkami — uśmiechnął się baron — przegrany w pierwszej partyi płaci wódkę i przekąskę, przegrany w drugiej — obiad; przegrany w trzeciej — wino do obiadu i kawę. Czy zgoda panowie?

— Hm... jakże będzie się liczyła partya w trzech — spytał hrabia.

— Rozstrzyga ilość bil zrobionych — objaśnił baron.

— Grasz kuzynie?

— Najchętniej — odpowiedział Poluś, idąc po kij bilardowy.

— Słuchaj, ty przegrywasz pierwszą, ja drugą, a on trzecią — szepnął hrabia.

— Dobryś — uśmiechnął się baron — nie śmierzę fajgłem.

— Głupiś, ja płacę — mruknął hrabia szybko, widząc zbliżającego się Polusia.

Baron skinął głową.

Rozpoczęła się gra. Hrabia z kijem na ramieniu, jak z karabinem, stał spokojnie, przypatrując się grze przez monokl, tylko uśmiech lub zmarszczenie brwi świadczyło o zajęciu bilardem.

Baron, który pierwszy rozpoczął partycję, rozbił piramidkę, nie zrobiwszy żadnej bili.'

— Tak gra się u nas — zaśmiał się — a teraz spieszcie się, bo was wyprzedzę! — i z kijem w ręku chodził wkoło bilardu, przystawając chwilami, by udzielić rad Polusiowi.

— Czternastka do rogu, panie... lekko panie... z lewym fałszem... otóż tak... siedzi już.

Poluś zaczerwieniony, grał z wolna, ostrożnie, z wielkim wysiłkiem mięśni i uwagi. Patrząc na niego, gdy przymierzał kij bilardowy do bili, zdawało się, że zabiera się do uderzenia obuchem klina, by rozsadzić twarde drzewo.

— Delikatniej kuzynie... leciutko kuzynie — upominał hrabia.

I nateżenie mięśni opuszczało Polusia, trącał bilę lekko, pełen obawy, że za słabo uderzył.

Już w połowie gry było widocznym, że Poluś wyjdzie zwycięzcą, miał bowiem sześć bil, gdy tamci po dwie. I tak jakoś nieszczęśliwie podsta- wił się baron z bilami, że dwie stały tuż nad łuzami, i Poluś grający po nim, rozpromieniony, zro- bił obie bile.

— Muszę mieć szalone szczęście u kobiet — skar- żył się z komicznym grymasem baron — przerzną- łem partye... teraz druga... o, nie dam się!

Stosownie do życzenia hrabiego, przegrał on obiady, a trzecią naturalnie Poluś, wielce dumny i szczęśliwy, że, grając z hrabią i baronem, prze- grał na równi z nimi tylko jedną partye.

W wielkiej zgodzie i harmonii, świadcząc sobie

wzajemnie pochlebne uwagi co do gry, usiedli na chwilę, aby się naradzić nad miejscem zjedzenia obiadu.

— A możeby tak do Stępka, albo Müllera? — doradzał baron.

— Cóż znowu? — zrobił grymas niezadowolonia hrabia — tam kolacyjki tylko są dobre, a kuzyn co sądzi?

— Nie znam Warszawy... nie wiem.

— A gdyby tak do Norkowskiego? — rzekł ba- ron, patrząc w oczy hrabiemu.

— Do Norkowskiego?... nie, nie chcę, tam by- wają ludzie, których nie życzyłbym sobie, by mój kuzyn poznał... Już lepiej do Zaleskiego...

— Hm... hm... Zaleski?... Hrabio, i ja mam pewne powody nie iść do Zaleskiego.

— Ależ baronie... już pół do trzeciej... kto miał być, już był i wyszedł... a w danym razie pora- dzimy sobie.

— Ha, to idźmy — zdecydował się baron i po- czął nakładać popielate rękawiczki z wielką sta- rannością.

Gdy byli na ulicy, spytał hrabia:

— A gdzie kuzyn stoi?

— W Europejskim.

— To hotel niezły... na którym piętrze?

Poluś czuł, że oblewa się rumieńcem, i przekli- nał w duchu swą oszczędność, ale postanowił po- wiedzieć prawdę:

— Na drugim... bardzo ładny pokój.

— Trochę za wysoko — wmiszał się baron do rozmowy — ale jeśli pokój wygodny i wraca się tylko na noc do domu, to dobrze.

— Naturalnie — rzekł hrabia z powagą — niema potrzeby wzbogacać hotelarzy.

— I ja jestem zdania kuzyna — odetchnął Poluś z ulgą, i spojrzął z wdzięcznością na hrabiego!

— Co za szyk kobietka! — zawołał nagle baron i przystanął na chwilę.

— Chodź baronie — przemówił dość cierpko hrabia, wyjmując monokl z oka — masz szczególnie sposób ujawniania swego zachwytu.

— Niezawodny, hrabio, niezawodny — uśmiechnął się baron — kobietka każda, widząc mnie przygwożdżonego jej wdziękami i słysząc moje słowa... spojrzy na mnie, uśmiechnie się, zarumieni...

— No, tak, i ja praktykuję ten sposób, ale na ustronniejszej ulicy, nie tu, gdzie cała gawiedź ma na nas zwrócone oczy.

— Racya hrabio... racya... i jak ty mawiasz *jamais* nie zrobię tego, naturalnie, na Krakowskiem — śmiał się baron.

Poluś, któremu podobał się wesół baron, zanotował sobie w pamięci całą rozmowę, jak również uwagi hrabiego-kuzyna.

Weszli do restauracyi na pierwszym piętrze, a gdy przechodzili przez salę, gdzie mieścił się bufet, baron zatrzymał ich obu za poły, gwizdząc

przeciągle, jak lokomotywa, a następnie krzyknął głosem konduktora:

— Stacya bufet... pięć minut.

— Tego barona trzymają się zawsze koncepta, — uśmiechnął się hrabia pobłaźliwie.

— Panie naczelniku — zwrócił się baron do zarządzającego z udaną pokorą — trzy wódki, mocne, czyste z kroplami żołądkowemi.

— A gdy wypili, mówił baron szybko:

— Oto śledzik, homar, majonez, szynka litewska, rzodkieweczka... proszę panów, tylko szybko — i sam począł pochłaniać przekąski, wtrącając — ależ proszę panów... używajcie... ja płacę.

— Baronie, stracisz apetyt do obiadu — przemówił hrabia ze źle ukrywanym gniewem i niepokojem.

Baron udał, że nie słyszy, i naśladowując głos konduktora:

— Spieszcie się panowie... za dwie minuty odjazd, — a następnie rzekł tonem prośby: — panie naczelniku jeszcze kolejkę, ostatnią, jak Bożę...

Znów wypili, a rozstawione przekąski szybko zniknęły. Hrabia chmurny nachylił się do ucha barona szepcząc:

— Czyś zwaryował?

Baron w odpowiedzi gwizdnął wołając:

— Jazda panowie!

— Gdzie siadamy? — rzekł hrabia, — w pokojach duszno... może na werandzie.

Usiedli przy stoliku w rogu, mając przed sobą

część Krakowskiego Przedmieścia, po którym się snuły tłumy przechodniów, przebiegały dorożki i powozy, dzwoniły tramwaje.

— Panowie życzą? — spytał garson.

— Trzy obiady.

— Oto karta, proszę wybrać.

Po odejściu garsona i wydanych poleceniach spytał hrabia:

— Kuzyn na długo do Warszawy?

— Tak, na dwa tygodnie... a kuzyn?

— Przyjechałem z chorą żoną, na kurację — westchnął ze smutną twarzą, — i dlatego muszę się truć po restauracjach, dlatego kuzyna nie mogłem prosić do nas, bo przecież nie pozwoliłbym kuzynowi mieszkać w hotelu, trzymając przez cały rok obszerny apartament.

— Dziękuję kuzynowi za względy, — odparł zarumieniony Poluś, — cóż brak... kuzynce?... — spytał ze współczuciem.

— Nerwy, kuzynie, nerwy... i jakieś inne zawiąkania. Doktorzy nakazali zupełny spokój, to też w domu własnym jestem tylko gościem, aby nie drażnić żony.

Poluś westchnął, jak umiał najgłębiej i ułożył twarz do smutku.

— Widzę, że ja z was najszczęśliwszy, — zawołał baron z uśmiechem.

— Pan baron kawaler? — spytał Poluś zaciękawiony.

— Właśnie, że żonaty, — zaśmiał się — i jestem słowianym wdowcem, mieszkam u znajomych i używam swobody zupełnej.

— Na równi ze mną, bo ja nie żonaty — uśmiechnął się Poluś.

— Pan w gorszym położeniu, — tłumaczył baron, — kobiety zaginają parol na pana, jako kandydata do małżeństwa, i stają się ostrożne, nieczułe, wyrachowane, a mnie traktują po koleżeńsku... bawić się, to bawić; szaleć, to szaleć; kochać, to kochać.

— Pan baron musi mieć szczęście do kobiet, — rzekł Poluś z westchnieniem zazdrości.

— Jak się zdarzy... jak się zdarzy, — odpowiedział baron, ale takim tonem, że każdy mógł się domyśleć o jego wielkiem powodzeniu.

Po zjedzeniu zupy zapytał baron:

— Był pan w Ogrodzie Saskim?

— Nie jeszcze.

— W takim razie pójdziemy po obiedzie. To salon letni Warszawy, co za szyk, elegancya... pan musi to zobaczyć.

— Po co koniecznie dziś, — rzekł hrabia z wielkim spokojem, — ja lubię systematyczność. Najpierw plan, co robimy z dniem dzisiejszym i dopiero zobaczymy, czy pójdziemy do Saskiego... a teraz kuzynie kolej na ciebie; garson niesie mięso, co pijemy?

— Nie wiem, co panowie pozwolą?

— Hm... najpierw piwo z beczki... do pieczystego wino węgierskie... a na deser francuskie... taka moja rada, — kończył baron, uderzając palcami w stół.

— Projekt niezły, — pochwalił hrabia, a Poluś wydał odpowiednie rozporządzenie.

Gdy kieliszki poczęły krążyć, baron uśmiechając się dobrodusznie, rzekł:

— Powiedz pan szczerze, panie Apoloniuszu, czy ten ubiór pana jest modny na Ukrainie?

Poluś, który już w teatrze i na ulicy zauważył, że ubiór jego różni się znacznie od innych, zmieształ się na razie i odpowiedział z wahaniem:

— Istotnie panie baronie... to nasza moda.

— No wasza, nie wasza, — zaśmiał się — nie wy wynaleźliście proch, chociaż nim strzelacie... My, panie, przestaliśmy się tak ubierać przed trzema laty... Ale wiesz co hrabio, załóżmy spółkę, doskonała myśl, zarobek pewny.

— Cóż to za nowy koncept baronie?

— Uważasz hrabio... tylko słuchaj, bo to myśl genialna... gdy zauważymy tutaj, że moda na pewien krój i kolory ustaje, kupujemy za bezcen gotowe ubrania i jazda tam, na Ukrainę czy Litwę. Ogłaszamy po miastach, jarmarkach, że sprzedajemy „*modes de Paris; façon modèles*“... ręczę ci za pięćdziesiąt procent... już ja się znam na interesach, wiesz najlepiej.

Poluś aż zbladł, bo propozycya handlu ubraniami,

wydała mu się straszną obelgą i zaokrąglonemi oczyma patrzył na obu. Istotnie hrabia spojmurzał i tonem ostrym, zimnym rzekł:

— Nie znasz się na tem wcale baronie, może na cukrach — uśmiechnął się ironicznie — a podobne żarty nie są ani miłe, ani stosowne i proszę cię *pour toujours* zaprzestać.

— Zgoda hrabio... *jamais*.

— Pamiętaj baronie — i utopił w niego zimne spojrzenie mętnych oczu — co zaś do ciebie kuzynie — zwrócił się do Polusia podziwiającego zimną krew i takt hrabiego — ubranie twoje nie jest w stylu dzisiejszym, no i nieszczególnie skrojone... wstań kuzynie.

I oglądając okiem znawcy, mówił, dotykając różnych miejsc:

— Tu trzeba skrócić... tu zwęzić... tu przyciąć — nagle przerwał pod wpływem wymownych spojrzeń barona — zresztą nie znam się na tem.

— O, przeciwnie, kuzynie — zawołał Poluś siadając — mówiłeś jak specjalista, gdyż to samo powiedział ten szelma krawiec, tylko że nie poprawił.

Baron słuchając Polusia, aż poczerwieniał i posiniał od duszonego śmiechu, a zaniepokojony Poluś spytał z troskliwością:

— Co się stało panu baronowi?

— Nic, nic, to jego zwykły atak — odpowiedział hrabia nachmurzony.

17-9-12
Istotnie po chwili twarz barona przybrała zwykły sobie wyraz i przemówił spokojnie:

— Co zatem radzisz hrabio kuzynowi względem ubrania?

— Czy to ubranie robił kuzynowi krawiec prowincjonalny?

— Nie, wcale nie — rzekł nie bez dumy Poluś — ja nie wierzę naszym krawcom... kupiłem gotowe, w pierwszorzędnym magazynie w Warszawie.

— Domyśliłem się tego — uśmiechnął się zadowolony hrabia — a w którym?... pewno na Krakowskim.

— Zgadłeś kuzynie.

— Otóż mój kuzynie — zaczął hrabia poważnie — jako od starszego przyjm kuzynie naukę... Nigdy, ale to *jamais*, nie kupuje szanujący się *gentleman* gotowego ubrania... pamiętaj to *pour toujours*.

— Dziękuję, kuzynie, za zwrócenie uwagi — odpowiedział skromnie — ale co robić, gdy nagle potrzeba ubrania?

— Przedewszystkiem — mówił tonem nauczyciela poważny hrabia — *gentleman* nie dopuszcza do tej smutnej ostateczności, a gdyby... gdyby... zaszło coś tak niezwykłego, chodzi dotąd w ubraniu przez lichego krawca zrobionem, póki mu dobry, znakomity krawiec nie zrobi nowego.

— Tak, panie Apoloniuszu — dodał z uśmiechem baron — słuchaj pan swego kuzyna hrabiego, on się zna na tem jako specjalista.

Hrabia zmarszczył brwi gniewnie, uderzył ręką w stół i zawołał podniesionym głosem:

— Znów zaczynasz baronie!

— *Enfin... jamais* — zaśmiał się baron.

— Dziś, albo jutro, jeśli zechcesz kuzynie, zaprowadzę cię do mego krawca, ten robi dopiero szykowne ubranie — a po krótkiej chwili, próbując w palcach materyał tużurka, spytał: — ile też zapłaciłeś kuzynie?

— Czterdzieści pięć.

— O łajdaki — oburzył się szczerze — ależ zdarli... fason nie modny, sukno łódzkie, robota pod psem, i taką sumę. Słyszysz baronie?

— Słyszę i podziwiam twe znanstwo hrabio, i to w takiej chwili — uśmiechnął się z ironią.

— Wszystko jedno, znasz mnie, baronie, i wiesz, że każdy wyzysk oburza mnie do żywego.

— To dowód szlachetnego charakteru — rzekł Poluś z zapalem — kuzynie, jeśliś łaskaw, dziś pójdziemy.

— Dobrze... zobaczysz kuzynie, jaki garnitur mieć będziesz... a chcesz spacerowego, czy salonowego?

— A jak mi radzisz, kuzynie?

— Hm... praktyczniejszy salonowy, bo na ulicy chodzi się i tak w saku.

— Dziękuję za radę — i zwracając się do garsona — jeszcze butelkę węgry.

— Tak, to lubię — odezwał się baron — to po pańsku... po ukraińsku.

— U nas tak zawsze — rzekł Poluś mile pogłaskany.

Gdy garson napełnił kieliszki, baron, wznosząc swój, przemówił:

— Piję zdrowie Apoloniusza Ślepowron Jemiolkiewicza... oby się tacy kuzyni rodzili na kamieniu... zawsze z pełną flotą zjawiali się w Warszawie, a jak ptacy niebiescy lekko i swobodnie wracali do domu... niech żyje kuzyn hrabiego!

Poluś był dumny i rozczulony niespodziewanym zaszczytem, ścisnął serdecznie rękę jednego i drugiego, powtarzając:

— Bodaj to ze swoimi... bodaj to ze swoimi...

Od pewnego czasu przypatrywał się trzem przyjaciołom z wielką uwagą gość niedawno przybyły.

Na twarzy wyrazistej, delikatnie rzeźbionej malowało się zdziwienie i oburzenie, a oczy rozumne, wymowne, zapalały się błyskami gniewu, gdy wznosił baron toast. Ręce białe, delikatne, to gładziły ciemną, w kwadrat ściętą brodę, to znów szarpały niecierpliwie.

— Może pan pozwoli piwa? wina? — pytał usłużny garson.

— Nic nie pijam... po obiedzie poproszę o kawę czarną.

W czasie tej krótkiej rozmowy Poluś, podniecony winem i toastem, wstał i wznosząc kieliszek zaczął:

— Gdy mnie tak wielkie szczęście spotkało, że

znalazłem w Warszawie tak zacnego i szlachetnego kolegiata, pana hrabiego Eustachego Krasnojarskiego, zdawało mi się, że już nic równie miłego spotkać mnie nie może — odetchnął szukając dalszych słów, i z pewnem zdziwieniem spojrzął na towarzyszków.

Baron spostrzegł na początku toastu opodal siedzącego pana i spotkał się z jego zimnem, pogardliwym spojrzeniem. Zmieszał się, zbladł, trącił hrabiego nogą pod stołem i szepnął:

— Szarzyński... za tobą.

Nazwisko to wywarło wpływ niezwykły na spokojnego hrabiego, przybladł, ręka, którą wyciągnął po kieliszek, poczęła drżeć i cofnęła się pospiesznie. W barona wlepił mętne oczy, szepcząc:

— Co robić?

Poluś tymczasem, ciągle stojąc, przemawiał dalej:

— Tymczasem spotkałem i doświadczyłem, że hrabia i baron...

— Kuzynie przestań — szepnął rozpaczliwym głosem hrabia.

Poluś zdziwiony, sądząc, że coś niewłaściwego powiedział, zarumienił się, odchrząknął i mówił:

— Jak już miałem zaszczyt powiedzieć, hrabia i baron najniespodziewaniej...

— Kuzynie cicho — mruknął hrabia z gniewem i oburzeniem.

— Ależ pozwólcie mi dokończyć...

— Siadaj pan — syknął baron.

— Co się stało? co takiego? — spytał Poluś przerażony.

— Cicho — zaszeptał hrabia — podsłuchują nas... trzeba kuzynie uważać, ale co robić, baronie?

— Przejdźmy do gabinetu.

— Jakto? Obok niego?

— Cóż nam zrobi? Śmiało.

— O czym panowie mówicie? — spytał Poluś, spoglądając na nich.

— Później ci wytłómaczę, kuzynie... tu niebezpiecznie i bardzo — mówił cichym głosem — może być skandal... idziemy do gabinetu.

Wstali od stołu. Hrabia i baron dziwnie lękliwi, nieśmieleni, niespokojni, widocznie parło ich, by iść, a jednak stali w miejscu niezdecydowani.

— Gdzie są gabinety? — spytał Poluś.

— Za bufetem — odszepnął baron.

— Więc chodźmy — rzekł Poluś.

— Chodźmy.

Hrabia ze spuszczonei oczyma szedł pierwszy, widać było, że zmuszał się do miarkowania swych kroków, a jednak co chwila stawiał nogi szybciej i dłużej.

Poluś, niezmiernie zdziwiony i zaniepokojony tą sceną, szedł w środku, a za nim baron, który na próżno nadawał sobie minę obojętną.

Już hrabia minął stolik zajęty, następnie Poluś, lecz gdy przyszła kolej na barona, zabrzmiał ostry głos:

— Panie Moren, proszę do mnie.

Poluś się odwrócił, ale szybko pociągnął go hrabia dalej.

Baron z kapeluszem w rękę stał, jak winowajca, i milczał, a siedzący pan, gładząc brodę mówił tonem, w którym czuć było hamowany gniew:

— Jestem handlowcem, podobnie jak panowie, i wasze postępowanie oburza mnie i jest zakazą, hańbą naszego całego stanu.

— Ależ panie Szarzyński — szepnął blade Moren.

— Trzy dni temu przyszliście obaj do mnie skarżąc się na biedę i nędzę. Dałem sam, inni koledzy złożyli się, i pomogłem wam. Dziś widzę, że nadużyliście mego zaufania... natychmiast oddajcie mi listy polecające, nie mogę ręczyć za podobnych ludzi... jestem handlowcem i cenię uczciwość.

— Zaraz panie Szarzyński... natychmiast, listy są u kolegi, — rzekł zgromiony i chciał iść.

— Wstrzymaj się pan... zostaw tu swój kapelusz... zaczekam na listy... Jeszcze jedno, naciągacie młokosa tego, jeśli jeszcze raz spotkam was trzech razem, wyjaśnię młodzieńcowi wasze postępowanie... Idź pan, czekam na listy... zostaw pan kapelusz.

Baron szybkim krokiem szedł do gabinetu, otworzył drzwi, a widząc hrabiego i Polusia siedzących rzekł zaraz z progu:

— Hrabio, ten waryat żąda listów... wiesz, listów z poleceniem...

— Ach tak, domyśliłem się tego, mam przygotowane, — sięgnął do kieszeni, poszukał i oddał.

— Zaraz wracam — zawołał baron na odchodnym.

— Widziałeś sam kuzynie, jesteśmy w mocy tego człowieka... ma nasze życie, przyszłość, spokój w swem ręku.

Polusiowi cała ta sprawa wydała się podejrzana i tonem chłodnym spytał:

— Jednak to dziwne, aby człowiek taki, jak hrabia Krasnojarski i baron Moren bali się jakiegoś zdemaskowania?

— Bywają takie wypadki... bywają, nie uwierzyłbym, gdybym sam na sobie tego nie doświadczył... Ach, otóż i baron... cóż?

— Uspokoił się... wychodzi.

— Przed chwilą opowiadałem, baronie, — mówił hrabia pewnym, równym głosem, — że nasze życie i honor zależy od tego człowieka... zechce — i po nas.

— Ale zkąd? ale dlaczego? — spytał Poluś podejrzliwie.

— Hrabio, przecież przed kuzynem nie potrzebujesz się ukrywać, — rzekł baron z wymówką w głosie, — a nie chcesz, ja sam opowiem... przecież nie zdradzi.

— Panie baronie, podobne podejrzenie, — zawołał Poluś zaperzony.

— Uspokój się pan, mówiłem pod przenośnią, że nie powiesz innym, najbliższym osobom, bo to

tajemnica... wielka tajemnica i sza, — przyłożył palec do ust.

— Cóż było?

— Przed rokiem ogłosiły gazety przyjazd kanclerza Austrii... rozumie pan, Austrii!... Otóż hrabia i ja opracowaliśmy projekt manifestacji... bardzo poważnych, bardzo doniosłych... ho, ho, gdyby się było udało, karta Europy wyglądałaby inaczej... Kopie rozestaliśmy do wybitnych jednostek, a oryginał z naszymi podpisami miał hrabia u siebie... nagle ginie oryginał i pewnego dnia zjawia się ten pan u nas i przedstawia się jako właściciel oryginału... Skarżyć go, wyda się manifestacja zamierzona i my będziemy karani, więc cierpimy w cichości... do czasu.. Już obmyśliłem sposób wydobycia kompromitujących papierów... ale to tajemnica.

— Teraz rozumiem, — rzekł Poluś, dumny z posiadania tajemnicy, — no, no, nie wiedziałem, że panowie bawicie się w politykę.

— Trudno, kuzynie, człowiek nie tylko żyje dla siebie samego, — odezwał się hrabia ze skromną miną.

— A cóż się stało z manifestacją? — dopytywał się Poluś.

— Ostrzeżono kanclerza austriackiego i nie przyjechał.

— Jaka szkoda, — westchnął Poluś.

— Cóż robić, — rzekł baron, — no, panowie, pijmy; nie lubię pełnych kieliszków.

— A ja próżnych, — zaśmiał się hrabia.

— Jakież projekty na dzisiaj? — spytał Poluś z poufalością w głosie, bo tajemnica zbliżyła go do nich.

— Hm... co gdzie dają?

— Hrabio, radzę na „Gejszę“, to wesoła operetka... ubawi się pan.

— Bardzo dobrze, — przemówił Poluś, — byleśmy przyszli wcześniej, to tak niemiło przesuwając się do krzesła.

— Kto lubi swobodę, a wiem, że lubią ją Ukraińcy, ten bierze łożę, — zaśmiał się baron.

— Tak, tak — dodał hrabia poważnie, — łoża to wyższy szyk.

— Więc wezmę łożę, ale panowie pozwolą ze mną.

— Hm... obiecałem co prawda winta hrabiemu Lolusiowi, mówił zwolna hrabia, — ale dla kuzyna.

— Ach, daj się hrabio namówić... wint nie ucieknie... sam przeproszę Lola.

— A ja proszę serdecznie kuzyna, — przemówił Poluś, — naturalnie i pana barona.

— Jeśli już koniecznie, to zgoda, — uległ hrabia prośbom — a teraz kawa czarna i do krawca.

Po zapaleniu cygar, baron, wypiwszy drugi kieliszek likieru, rzekł:

— Co powiecie panowie na projekt uzupełniający wieczór?

— Jaki? słuchamy.

— Gdybyśmy tak urządzili dzisiaj kolacyjkę...

— Mój teatr, moja i kolacyja, — przerwał mu Poluś.

— To w porządku — skinął hrabia głową z uznaniem dla kuzyna.

— Ależ, pozwólcie mi skończyć, — zawołał baron, rozkładając ręce, — uciszcie się... otóż kolacyjka z kobietami, co? dobry projekt?

Polusiowi zabłysły oczy, ale w tej chwili spuścił powieki i milczał.

Hrabia, który go pilnie obserwował, rzekł z godnością:

— Zapominasz baronie, że jestem żonaty.

— No, a ja? — zaśmiał się baron.

— Ależ moja żona chora, nie wypada mi się bałamucić.

— To dobre, a w tamtym tygodniu mogłeś być na kolacyjce?

— Zrobiłem wyjątek.

— Zrób hrabio i dzisiaj... a pan, panie Apoloniusz?

Poluś miał dosyć czasu namyślić się od chwili rozpoczęcia tej rozmowy. Pragnął szczerze i namiętnie użyć do syta wszelkich rozkoszy w Warszawie, marzył o nich, spodziewał się urzeczywistnienia... Projekt barona wydał mu się nader pojętny, i gdyby nie hrabia, nie kuzynostwo, przyjąłby bez wahania...! Ale ten hrabia, kuzyn, który za-

mierza być na Ukrainie, w Humańszczyźnie... od-
wiedzi zapewne ciotkę... będzie u Berezowiczów...
zapewne u marszałka i innych sąsiadów... i nawet
bez żadnej złej myśli, tak sobie, z żartów rozpo-
wie, że Jemiółkiewicz bywał na kolacyjkach z ko-
bietami! Co powie ciotka? co powiedzą Berezowicz
i sąsiedzi?

Wszystkie jego starania dawniejsze, usilna praca,
wytwarła dążenie, by uchodzić za wzorowego mło-
dzieńca przez jeden krok taki, przez jedną chwilę
rozkoszy pójdą w niwecz...

Ogłoszą go hypokrytą, ciotka będzie podejrze-
wała każdy krok jego, każde odezwanie; nasadzi
szpiegów, by donosili jej o każdym jego słowie,
o każdym spojrzeniu... a kto wie, czy nie wydzie-
dziczy...

Nie, on nie powinien, nie może i nie narazi ca-
łej przyszłości i zdobytego dobrego imienia dla
chwilowej przyjemności.

Odpowiedział też głosem stanowczym:

— Panie baronie, jeśli na kolacyi mają być ko-
biety, mnie tam nie będzie.

— Pan, pan nie będzie? — zdziwił się baron,
— pan, który przyjechał w tym celu.

— Wcale nie, przyjechałem, aby zobaczyć War-
szawę, poznać ludzi...

— A kobiety nie ludzie? — zaśmiał się.

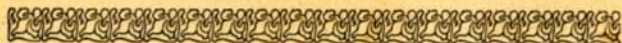
— To znów co innego... Jestem wychowany w in-
nych zasadach... jeśli żądam moralności od innych,

— Możemy się kuzynie spotkać, ale gdzie? —
zamyślił się hrabia.

— Ja myślę, — doradzał baron, że najlepiej
w numerze pana, w Europejskim, jeśli to nie prze-
szkodzi panu?

— Przeciwnie, będzie mi nader miło.

— Zatem jutro, o czwartej popołudniu w ho-
telu, — zakończył hrabia, — a teraz do krawca.



V.

We wtorek rano Poluś, przeciągając się na miękkim łóżku, palił papierosa popijając herbatę, i z uśmiechem zadowolenia rozpamiętywał dzieje ubiegłych dni.

Przed oczyma jego przesuwiał się barwny i piękny obraz alei Ujazdowskich, Łazienek, gdy rozparty w powozie razem z hrabią i baronem przypatrywał się defiladzie powozów, rozmaitych zaprzęgów, dowiadując się sekretnych szczegółów o przejeżdżających paniach i panach.

W niedzielę, na wyścigach, widział prawdziwą śmietankę towarzysstwa, — jakie stroje, jaka elegancja, jaki szyk! Iluż ciekawych rzeczy on się natrzył i będzie miał do opowiadania przyjechawszy do domu!

O totalizatorze naturalnie ciotce nie powie, jakkolwiek wygrał trzydzieści pięć rubli, ale i stracił je na kolację w Marcelinie.

Ależ mu nie szła karta wczoraj przy wincie...

przegrał na razie pięćdziesiąt rubli... odegrał jednak w sztosu dwadzieścia pięć, i byłby napewno wygrał, lecz nagły ból zębów przeszkodził baronowi... musiał iść do domu.

Przyjemnie w tej Warszawie, bo przyjemnie, ale też drogie miasto, na każdym kroku, płąć i płąć...

Ile też on ma jeszcze? sięgnął pod poduszkę po pugilares i liczył... miał dwieście rubli i trochę drobnych. Porachował jeszcze raz, nie dowierzając sobie, wypadła ta sama suma.

Nachmurzył się i z głębokim westchnieniem schował pieniądze.

Począł obliczać oczekujące go wydatki: hotel za czternaście dni, siedemdziesiąt rubli; usługa pięć; podróż powrotna dwadzieścia pięć; ubranie nowe czterdzieści... zostaje mu sześćdziesiąt rubli na dziewięć dni, za mało, stanowczo za mało, bo żyjąc najskromniej, wyda dziennie co najmniej dziesięć rubli, nie licząc nadzwyczajnych wydatków, a te są znaczne, gdy żyje się z tak bogatymi ludźmi, jak hrabia i baron... Trzeba coś na to poradzić, ale co?... Napisać do ciotki, że zgubił? że mu skradziono pieniądze? Hm... przysłać, przysłałaby napewno... ale wymawiałaby mu przy każdej sposobności, bałaby się powierzać mu pieniądze... a kto wie, czy nie posądziłaby go o kłamstwo, gdyż podejrzliwą jest zawsze z usposobienia i z zasady, i nikomu nie dowierza... Nie, to stanowczo zła droga, musi inną wyszukać...

Wtem zapukano do drzwi. Wszedł numerowy z listem w ręku. List od ciotki. Rozciął kopertę i czytał. Na pierwsze frazesa, ostrzegające go przed zepsuciem Warszawy i malujące jej niepokój, uśmiechnął się tylko. Bardziej zainteresował go ustęp listu, który odczytał półgłosem: Marszałek na moje prośby był u Berezowicza, zastał go na wyjeźdnie po kupno młocarni parowej. Widać, że świerzbią go pieniądze, bo czyż chłopci nie wymłócą tak samo cepami? niechby wreszcie kupił konną młocarnię, ale zachciało mu się parowej, Bóg z nim. Wracając do rzeczy, donosi mi marszałek, że przedstawwszy Berezowiczowi, jak ciebie wychowałam w cnocie, prawdzie i posłuszeństwie, on zgodził się na to, abys bywał u niego w domu, jako konkurent. Masz więc Polusiu drogę utorowaną i tylko od ciebie zależy, aby starania marszałka odniosły dobry skutek. Zarazem przypominam ci i ja i marszałek, abys złożył wizyty Sopotkiewiczom i Silnickim. A pamiętaj, wydatkuj umiarkowanie, oszczędnie, u nas każdy grosz ciężki, i spodziewam się, że przywieziesz do domu gotówkę“...

— Zobacz ją, jak swoje ucho — rzekł i gniewny cisnął list na ziemię.

Zachciewa się tej skąpicy gotówki, a może ma przywieźć więcej, niż wziął; uśmiechnął się z gorzką ironią. Hm... gdyby i napisał, że mu skradziono pieniądze, przecież nie wszystkie, bo przyrzekł na wyjeźdnie, że ze sobą będzie nosił tylko małą

kwotę, a resztę schowa w kufrze... to i tak może ciotka zażądać, by zaraz przyjechał do domu...

A jeszcze czekają go wizyty u Sopotkiewiczów i Silnickich, nowy wydatek, a musi być u nich, bo cóżby powiedział marszałek, na takie lekceważenie jego listów?

Im prędzej pozbędzie się tych wizyt, tem lepiej, dziś pojedzie... tylko adresy? Hm... dowie się od numerowego, co za szkoda, że nie spytał się Krasnojarskiego lub barona, ale z nimi ma się spotkać dopiero wieczorem, przed teatrem.

Wstał z łóżka i w pół ubrany zadzwonił na numerowego.

— Nie znasz adresów panów Sopotkiewicza i Silnickiego?

— Jak ich godność?

— No, Sopotkiewicz, z kaniowskiego, zamożny człowiek.

— Nie, jaśnie panie, nie znam.

— To dziwne... hm... jakże się dowiem?

— Jaśnie pan napisze nazwiska, poślę do biura adresowego i za niewielką zapłatą dowie się jaśnie pan.

— Tak będzie najlepiej — rzekł, siadając przed biurkiem, by napisać — hm... a ile to będzie kosztowało?

— Drobnostka... z pół rubla...

— Dobrze, oto nazwiska i pieniądze, ale zaraz.

— Za godzinę, za dwie, adresy już będą, bo w biurze ścisk.

— Gdyby mnie nie było w domu, zostawisz mi odpowiedź na biurku.

— Słucham jasnie pana — skłonił się odchodząc.

Zostawszy sam, Poluś zaczął się zwolna ubierać, myć, czesać... i nieustannie przemyślać nad sposobami otrzymania pieniędzy od ciotki.

Uśmiechnął się wreszcie z zadowoleniem, bo znalazł pewną drogę i nie namyślając się dłużej, siadł do napisania listu.

Opisawszy swoją tęsknotę, żal i pragnienie ujżenia ciotki, radość z otrzymania jej listu, odchrząknął, uśmiechnął się i szepnął:

— A teraz do dzieła! — i kaligrafując o ile umiał, pisał:

„Byłbym od dawna skorzystał z poleceń drogiej cioteczki, której słuchać ślepo we wszystkim jest moją najwyższą przyjemnością, a zarazem użytkowałam łaskawe listy pana marszałka, gdyby nie moja chwilowa choroba. Doktor, który mnie leczy jest zdania, że zepsute miejskie powietrze i licha woda tutejsza są przyczyną mej niedyspozycji. Może ma i rację, chociaż zdaje mi się, że główną przyczyną jest moja nieutulona tęsknota za cioteczką najmilszą, bo dlaczegoż w Mironówce nie chorowałam? Od dwóch dni leżę w łóżku, a doktor zapowiedział, że jeszcze przez trzy dni muszę pozostawać w swoim pokoju. Nie jest to żadna

ciężka choroba, trochę niedyspozycy, trochę gorączki, i możeby przeszło samo przez się, ale słuchając rozkazów cioteczki, wezwałem natychmiast doktora. Choroba ta bardzo znacznie uszczupliła moje fundusze, bo tu szalona drożyzna, a doktor drze z przejeźdnego ile się da, za każdą wizytę, a bywa dwa razy dziennie, bierze po dziesięć rubli, a w dodatku drogie lekarstwa. Przepraszam więc stokrotnie najdroższą cioteczkę, ale zmuszony jestem prosić o przysłanie mi w jaknajkrótszym czasie dwustu rubli...“

Zakończył list obrazem swej szalonej radości, gdy ujrzy ciotkę zdrową i wesołą w Mironówce.

Odetchnął z ulgą, jeszcze raz przeczytał i pisząc adres na kopercie, rozmyślał o przyjęciu tego listu przez ciotkę. Zapewne trochę się przestraszy, zmartwi, ale natychmiast nałoży okulary i napisze odpowiedź. Udzieli mu naturalnie różnych rad i wskazówek, jak ma się zachowywać, co jeść, jak ubierać... potem wyciągnie z kasy dwieście, a może i trzysta rubli, i wyśle do niego.

Ona jednak mimo wszystkie swoje wady jest poczciwa i kocha go na swój sposób, nie zawsze miły dla niego, ale bądź co bądź kocha go. Hm... zmartwi się stara, ale czy on raz jeden namartwił się z powodu ciotki?

Kiedyż te pieniądze przyjdą? Dziś wtorek, list pójdzie, we czwartek wieczorem, lub w piątek rano będzie w Mironówce. Odpowiedź z pieniędzmi bę-

dzie w drodze znów trzy dni, zatem w poniedziałek przyszedł, lub we wtorek otrzyma gotówkę.

Dopiero pohula!

A gdyby ciotka przyjechała do niego, do chorego? przemknęło mu w myśli. Ale cóż znowu? Nienawidzi podróży, boi się kolei, dba o gospodarstwo, żałuje każdego grosza... nie, to niemożliwe... postęka, zirytuje się, nakrzyczy na Pawła i dziewczęta... a co najwyżej, jako nadzwyczajny dowód troskliwości, zatelegrafuje do niego, pytając o zdrowie.

Wreszcie, chociażby i przyjechała, byłby skrupowany cokolwiek, ale nie pójdzie z nim do teatru przecież, dla niej zbyt późno się kończy, są wreszcie wizyty, różne wybiegi, dałby sobie z nią radę.

Włożył list do koperty, zakleił i dla wszelkiej pewności sam rzucił do skrzynki pocztowej.

Spojrzał na zegarek... już po dwunastej, czas na drugie śniadanie.

Westchnął, że niema towarzyszy i postanowił sam pójść do restauracji.

Naciągnął rękawiczki, wziął laseczkę do ręki i przed wyjściem przeglądał się w lustrze, gdy do pokoju wszedł numerowy, mówiąc:

— Już są adresy, jasnie panie. Pan Silnicki wyjechał przed dwoma tygodniami, a pan Sopotkiewicz mieszka róg Kruczej i Żórawiej.

— To dobrze, — odpowiedział Poluś, ucieszony, że przynajmniej niema Silnickich w Warszawie

i wzięwszy kartkę z adresem Sopotkiewicza, wyszedł.

Dzień pogodny, niezbyt gorący; postanowił przejść się po Krakowskim-Przedmieściu.

Szedł zwolna, przypatrując się z uwagą Warszawiankom. Ile razy zobaczył piękniejszą, nie spuszczał z niej oczu i jak tarcza słonecznikowa zwracał ku niej twarz i oczy, póki nie nasunęła mu się inna, równie ładna. Wszystkie wydały mu się miłe, piękne, pońtne. Kilka razy miał ochotę przystanąć na chodniku i zawołać jak baron do przechodzącej:

— Co za szyk kobietka!

Wstrzymywał się jednak, pomnąc na naganę hrabiego, udzieloną baronowi, że podobne wykrzykniki są dobre na innej ulicy, ale nie na pryncypalnej.

Mimo widoku pięknych kobiet, które go nęciły, poczuł głód, a widząc wiszący szyld restauracyjny, wszedł na pierwsze piętro. I tu, podobnie jak w innych zakładach, wygalonowany służący otworzył drzwi, odebrał palto, laseczkę i kapelusz z rąk gościa.

Wszedł do pierwszego, dość obszernego pokoju, w którym stały cztery stoliki, nakryte obrusami, każdy z pieprzniczką, solniczką, musztardą i wykałaczkami.

Przez drzwi z lewej strony widać było szereg pokojów i kręcącą się żeńską usługę restauracyjną.

Poluś szedł zwolna ku stolikowi pod oknem.

Spostrzegła go któraś z kelnerek, gdyż zawołała głośno:

— Wandziu! Wandziu!... Gość!

Szybko weszła blondynka, młoda, ze świeżą twarzą, w ciemnej sukni, przepasana białym fartuszkiem i zbliżywszy się do Polusia, zawołała dźwięcznym głosem:

— Dzień dobry panu!

Poluś zanim usiadł, spojrzął na nią. Podobały mu się błyszczące, figlarne oczy, różowe usteczka, bujne blond włosy starannie uczesane i cała figura dziewczyny, ściśniętej w pasie.

Usiadł na krześle i patrząc badawczo na stojącą, rzekł:

— Chciałbym coś zjeść.

— Obiad dopiero za pół godziny, może wybierze pan z karty, — podała z przymilającym się uśmiechem spis potraw.

Poluś pamiętając, że hrabia i baron zwykle radzili się garsona, co mają zjeść, odezwał się:

— Nie wiem, co u was dobrego? Proszę mi poradzić...

Uśmiechnęła się, patrząc zalotnie w jego oczy i po krótkim namyśle rzekła:

— Pan, jako szlachcic, powinien najpierw napić się wódki... na przekąskę majonez z sandacza, a może raki, ja bardzo lubię raki, a pan?...

Polusiowi podobało się odezwanie dziewczyny, i nie odpowiadając, spytał:

— Czy panienka z Warszawy?

— Przecież nie z Kiernozi, ani Psiej Wólki... a pan pewno z Litwy?

— Nie, ja z Ukrainy, a z kąd panienka wie, że nie tutejszy?

— Dość spojrzeć na pana — a widząc grymas niezadowolenia, dodała: — nie wiedziałam, że i na Ukrainie są tak ładni chłopcy... no, wybieraj pan.

— Zaraz... panienka tu dawno?... I dużo ma wielbicieli?...

— Posiwieje pan wcześniej przez niepotrzebną ciekawość... mówże pan, bo stara będzie się gniewała, przy wódeczce pogadamy.

— Więc proszę o wódkę i majonez...

— A dla mnie raki... dobrze?

— Niech będą i raki.

Poluś śledził ją oczyma, póki nie zniknęła i mruknął pod nosem:

— Szelma fertyczna... ładna bestyjka.

A więc takie są Warszawianki!... Jeśli usługująca umie tak patrzeć, uśmiechać się i taka szykowna, jakież muszą być panie, i ze zmysłowym uśmiechem rozmyślał o tych eleganckich paniach, które przechodziły obok niego.

Kelnerka przyniosła buteleczkę wódki, dwa kieliszki, majonez i raki. Nalała mu kieliszek, a gdy on sięgnął ręką, zawołała z wymówką:

— Jakto, nie trąci się pan ze mną?

— Alboż panienka pije wódkę?... — zdziwił się.

— Czyż pan myśli, że rosę — zaśmiała się, nalewając sobie kieliszek — jeśli pan zaprosił mnie na raki, tem samem i na wódkę i na piwo...

— Nie wiedziałem, że panienka ma tak dobry apetyt — uśmiechnął się z ironią.

— Co mi pan będzie gadał: „panienka“, mów mi pan: „Wandziu“, u nas taki zwyczaj, — podniosła kieliszek, trąciła się: — nasze kawalerskie!

Usiadła naprzeciw niego przy tym samym stole i białymi, ostremi ząbkami zaczęła przegryzać skorupę raków.

— Pan dzisiaj pierwszy mój gość... a że pan ładny, młody i wiem, że hojny, będę miała szczęście przez cały dzień.

— Ileż Wandzia bierze miesięcznie?

— Tyle, co zarobię od gości... jeśli tacy się trafią, jak pan, szlachcic ukraiński, to i dobrze... a czasem obejdę się tylko smakiem... Jeszcze po kieliszku, dobrze?

— Napijesz się, Wandziu i nie zawróci ci się głowa?

— Pan wypije, a za mój kieliszek zapłaci pan do mojej portmonetki.

— Tak? Wiesz co, Wandziu, zapłacę ci za dwa, ale pić nie będę.

Jedli przez chwilę w milczeniu.

— Dopiero musi być dobrze gospodyni u pana, na wsi — westchnęła.

— Nie mam gospodyni.

— To kłamstwo, nie wierzę — uśmiechnęła się wesoło — a jeśli pan tam przysięgał na czystość, rozgrzeszy się pan u nas... zobaczy pan.

— Chyba... chyba, że ty Wandziu...

— Tylko bez tych głupich konceptów — zmarszczyła brwi, — pan się myli, ja nie żadna Kaśka albo Maryśka, — wstała od stołu z miną obrażoną i zabierając talerze po majonezie i rakach, spytała zimno: — podać co więcej?

— Po co te gniewy? Wandziu! — rzekł trochę zmieszany.

— Ależ bo pan myśli, że tutaj, jak tam u was, na prowincyi, zabrzęknie pan głupiemu pieniędzmi i prosto z mostu.

— A u was? — zaśmiał się.

— U nas trzeba być delikatnym, grzecznym, poznać się, nadszukać, starać się... a pan za głupie raki i dwa kieliszki wódki myśli, że mnie kupił! Warszawa panie, a nie Pacanów — zaśmiała się drwiąco — cóż pan pozwoli jeszcze?

— Dziękuję, nic nie chcę — odparł gniewnie, — zapłacę.

— A to co nowego!? Obraził się pan? Brzydko panu z tą miną... rozchmurz się pan... powinien pan być mi wdzięczny, że nauczyłam pana jak należy obchodzić się z Warszawiankami, a pan stroi fochy jakies... gdzież moje piwo? Obiecał pan, a szlachcic, chociaż z Litwy, dotrzymuje słowa... cóż, napijemy się?

Poluś słucał jej uwag rozbawiony i wesoły; podkręcając sterczące wąsiki, rzekł z uśmiechem:

— Podobasz mi się, Wandziu... wiesz, zamiast piwa, daj butelkę wina.

— Ach Boże! — odpowiedziała z udaną rozpaczą — już widzę, że długo będę musiała kształcić pana... Któż pije, — obejrzała się wokoło i zniżyła głos, — w takiej restauracji wino!? Dadzą panu octu z cukrem... szkoda pieniędzy... a piwo dobre.

— Dziękuję ci za radę... daj piwa.

— A do piwa? Trzeba zjeść jakieś mięso... schab, będzie dobry?

— Daj schabu... ale dwie porce, bo i dla ciebie.

— Wolę pularde w potrawie, — mówiła odchodząc do kuchni.

Poluś porównywał Nastkę z Wandzią, co za różnica ogromna! Tamta bojaźliwa, niezręczna, jak pies za swym panem wodzi za nim oczyma głupimi, płaksywa... a ta! Śmiała, dowcipna, wesoła, żywa... ach gdyby ona była w Mironówce, dopiero zwodziliby ciotkę we dwoje! Uśmiechnął się, ale i westchnął z żalem, bo ciotka nigdy nie wzięłaby Wandzi za pokojówkę.

Gdy kelnerka wniosła zamówione potrawy, piwo i usiadła, Poluś przemówił:

— Chciałbym się z tobą Wandziu zobaczyć... ale nie w restauracji.

— Hm... wychodną mam we czwartek, przyjdź

pan tu o jedenastej rano, będę gotowa... ale co będziemy robili?

— Alboż wiem, co zechcesz...

— Wyjedziemy za miasto powozem, bardzo lubię jeździć i wieś lubię... w Marcelinie zjemy śniadanie... dobrze?

— Cóż dalej?

— Pojedziemy do Wilanowa... raz już byłam, śliczny ogród... a potem wrócimy do Warszawy, pójdziemy do teatrzyku na wesołą sztukę.

— A potem?

— Na kolację... zabawimy się wybornie, dobrze mój piękny chłopcze?

— We czwartek... hm... niech i tak będzie... o jedenastej?

— Tak jest... zobaczy się... wydegantuje, nikt mnie nie pozna... tylko rekawiczki mam znoszone, ale pan mi da nowe... gipsstwo, rubla i wystarczy — wyciągnęła otwartą rękę.

Poluś wyjął rubla i z pewnym wahaniem oddał, mówiąc:

— Ale ty mnie nie zwodzisz.

— Za kogoż pan mnie ma? — oburzyła się — powiedziałam raz i dosyć... teraz napijemy się kawy, a do kawy czego pan chce?

— Może likieru?

— Ee, drogi... szkoda mi pana... wystarczy biały arak.

— Dobrze.

Wyszedszy po kawę, bawiła dość długo, więc Poluś, aby skrócić czas oczekiwania, sięgnął do kieszeni i wyjął bilet przygotowany dla Warszawianki, na wypadek, gdyby pragnął się z nią poznać. Z przyjemnością odczytał go raz jeszcze, szepcząc półgłosem: „Piękna Pani! Zachwycony szalonymi twymi wdziękami, którymi jaśniejiesz jak owa Wenus, śmiem cię prosić samotny i opuszczony, byś łaskawie wejrzała na mnie. Czekam cię, o piękna pani, w hotelu Europejskim nr. 68 od godziny 5 dzisiaj, a wszystko, serce, zabawy, pieniądze są na rozkazy twoje. Szczery wielbiciel...”

Podziwiał swe kaligraficzne pismo, swój styl, sposób wysłowienia, niejasne obietnice i uśmiechnął się do siebie. Każda się złapie, każda schwyci przynętę... jakżeby się ucieszyła taka Wandzia odebrawszy podobny bilecik... ale jej nie można dawać, trzeba zachować dla godniejszej, piękniejszej, sztywniejszej... Przecież raz taką spotka w tej Warszawie, gdzie roi się od pięknych kobiet i przez posłańca wysłać ten bilecik. Jaki on jednak mądry, że umiał zapamiętać i skorzystać z doświadczenia Orzechowskiego, ze wskazówek hrabiego i barona... ho, ho, on mądry szpak, jego nie złapią w samotrząsk, zaśmiał się, oj musiałby ten rano wstać, kłoby go chciał omamić blagą...

Wandzia wniosła kawę i dwa kieliszki araku, pytając:

— Cóż pan taki smutny i zawstydzony, jak pies, co zjadł kiełbasę?

— Właśnie myślę o dostaniu przysmaków.

— Jest też myśleć o czym — zaśmiała się — wprawdzie trzeba wypatrzeć łakocie.

— Już wypatrzyłem, a co będzie we czwartek?

— Będzie, co być ma... zwraca pan sobie głowę niepotrzebnie.

— Macie tu dobre papierosy? — spytał po chwili.

— A nie ma pan swoich?

— Mam w paltocie... u portyera.

— To niech pan przyniesie.

Wstał i wzięwszy papierosy, wracał chwiejnym, suwającym się krokiem, na wzór hrabiego.

— Ależ pan idzie jak stara kaczką — zaśmiała się — taki młody, a już ospały.

— Głupia jesteś, — mruknął gniewny.

— To tak u was mówią? A! powinszować dobrego wychowania!

— Bo mnie gniewasz, — odpowiedział już uśmiechnięty.

— Panie, czy już nic więcej nie będzie?

— Nie... spieszę się... zapłacę.

Po zapłaceniu rachunku Wandzia, przypatrując mu się wesołemi oczyma, rzekła:

— Panie... zdaje mi się, że pan przyjechał do nas z Gibraltaru...

— Ja?... a to dlaczego?

— Naucz się pan, że jeżeli ktoś w Warszawie

spyta się tak pana... to znaczy, że nie pozbył się pan jeszcze... jakby to powiedzieć... no, prowincyi

— Wolę być bogaczem z prowincyi, niż hołyszem z Warszawy, — rzekł podrażniony.

— Tylko bez gniewu, — zaśmiała się, a widząc, że zabiera się do odejścia: — teraz ukoń mi się pan ładnie, przychodź pan tutaj, a ja wykształcę już pana... do widzenia panu szlachcicowi — i skłoniła mu się, jak w menuecie.

— Do czwartku Wandziu.

— Cóż pan odchodzi jak niedźwiedź?... czy nie nauczono pana, że na pożegnanie podaje się rękę?

— Nie wiedziałem — i podał rękę.

— To dowiedz się pan — rzekła z dumą.

Idąc po schodach, szeptał do siebie, ależ te Warszawianki chytre i wyszczekane, gdyby nie mój spryt, dopiero by mnie wyzyskały. Swoją drogą ta Wandzia podoba mi się... namyślę się.. może i zarzykuję kilka tych rubli we czwartek, jeśli... jeśli..

Zapamiętał sobie numer kamienicy, skinął na przejeżdżającego dorożkarza i rzucił adres:

— Pan Sopotkiewicz, róg Kruczej i Żórawiej... jedź!

Przyjechawszy na miejsce, odprawił dorożkarza przez oszczędność i spytał stróża w bramie:

— Pan Sopotkiewicz gdzie mieszka?

— Drugie piętro, numer trzeci.

Zdziwiło to Polusia, że stróż tak obojętnie odezwał się o panu Sopotkiewicz: a wąska brama,

oficyny poprzeczne, zamykające podwórze, a więc brak stajni na konie; wreszcie drugie piętro, wskazywały na średnią zamożność pana Sopotkiewicza z Kaniowskiego. Trochę rozczarowany, zadzwonił pod numerem trzecim.

W uchylonych drzwiach pokazała się twarz służącej, która spytała szorstko:

— A do kogo pan dzwoni?

— Chciałbym się widzieć z panem Sopotkiewiczem.

— Hm... w jakim interesie? — odezwała się mniej surowym głosem.

Poluś wyciągnął bilet wizytowy i podając go, rzekł:

— Z wizytą.

— Proszę wejść — powiedziała dość uprzejmie,

— spytam się, czy pan przyjmuje.

Wpuściwszy Polusia do ciemnego, małego przedpokoju, zamknęła na klucz drzwi od schodów i zniknęła.

Poluś, w paltocie letnim, z kapeluszem w rękę, oparty na laseczce, czekał cierpliwie, dziwiąc się opryskliwości służącej i trudnościom przyjęcia.

Wreszcie otworzyły się drzwi jedne, weszła służąca, otworzyła drugie drzwi i rzekła:

— Proszę poczekać w gabinecie, pan wkrótce przyjdzie.

Wszedł do małego pokoiku, z oknem od podwórza, w którym miejsce panujące zajmowało biurko

z fotelem. Mnóstwo niepotrzebnych drobiazgów, jak: przyciski, piórniki, pudełka z piórami, z ółwkami, wycieraczki do piór, kalendarz, figurki porcelanowe i metalowe zajmowały połowę biurka, a miejsce na pisanie było chyba stosowne dla małego dziecka. Pod ścianą stała wygodna otomana, z lekkim wygnieceniem i dwa małe foteliki, w oknie firanki i portyery przepuszczały skąpe światło, w którym zawieszono na ścianach oleodruki, przedstawiające sceny z Fausta i Otella, w ramach złoczonych, wyglądały jak obrazy starożytność, przyćmione pyłem lat.

Poluś wsparty na fotelu, podziwiał w cichości ten wytworzony gabinet, przepełnione biurko, wygodną otomanę, piękne obrazy... gdy usłyszał w przedpokoju odgłos kroków i do gabinetu wszedł niemłody mężczyzna, z przyciętym, ciemnym wąsem na długiej twarzy, ubrany w szarą marynarkę i ściągnawszy brwi, spytał dość kwaśno:

— Czem mogę służyć panu?

— Ja... ja... panie dobrodzieju, mam list od pana marszałka Piotra Stachulskiego — i wyciągnął list.

— A... od marszałka... siadaj pan — i rozciąwszy kopertę nożem, leżącym na biurku, czytał.

Po chwili twarz jego rozjaśniła się, spojrział z ukosa na siedzącego Polusia, a gdy skończył, wyciągnął rękę z uśmiechem przyjaznym, mówiąc:

— Miło mi powitać kochanego sąsiada, bardzo

miło, bo chociaż ja z kaniowskiego, pan z humańskiego, zawsze my sąsiedzi, bo z jednej gubernii.

— Uważałem też sobie za obowiązek złożyć panu dobrodziejowi moje uszanowanie.

— Czemż pan odrazu nie powiedział, że sąsiad z Ukrainy... bo uważa pan, w tej Warszawie ludzie sądzą, że kto z Ukrainy, ma skrzynie złota i każdy jak w dym o pomoc... no, no, chwala Panu Bogu, omyliłem się... cóż marszałek, zdrow? majątku przysparza? co? O, to kmet'... oszczędny i gospodarny.

— Dziękuję za pamięć... marszałek dobrze się trzyma...

— Więc pan Jemiołkiewicz... znałem kiedyś, dzieckiem, pannę Celinę Jemiołkiewiczównę... czy krewna?

— Ciotka rodzona.

— Aha... teraz rozumiem... czy wyszła za mąż? była dość majątna.

— Nie... jest niezamężna.

Po chwilowym milczeniu pan Sopotkiewicz wyjął papierosnicę, poczęstował gościa i po zapaleniu, rozparłszy się w fotelu, rzekł z uśmiechem:

— Pisz mi marszałek, abym pana w świat wprowadził... hm... żona z córką wyjechały do wód, zagranicę... sam żyję.

— Bardzo żałuję, że pań nie zastałem.

— No, tak, one ułatwiłyby wszystko... ale w tej

Warszawie łatwo się zaznajomić, byle z jednym, reszta pójdzie. Ma pan znajomych?

— Przypadkowo natrafiłem na kuzyna... hrabia Krasnojarski — rzekł z odcieniem dumy.

— Hrabia Krasnojarski?... Nic nie słyszałem o takim... Zkądże to kuzynostwo? co?

— Jego babka była Jemiołkiewiczówna, herbu Ślepowron.

— Zaraz... zaraz... Stary Jemiołkiewicz, dziad pana, miał trzech synów i pięć córek... znam dobrze ich koligacye, ale o Krasnojarskim nie słyszałem; chyba... chyba ten najmłodszy Paweł, który wyemigrował do Królestwa, miał córkę i ta wyszła za Krasnojarskiego...

— Nie wiem... rozpytam się.

— Hm... bo to widzi sąsiad, w tej Warszawie łatwo spotkać samozwańców... i do mnie zgłaszali się kuzynowie, ale nie przyjąłem — wydał dumnie wargi i podniósł w górę głowę, stosunkowo małą do korpusu. — Jakiż ten hrabia?

— Herbu Sas... bardzo miły, elegancki, bogaty, zna całą arystokrację... i tylko w przejeździe tutaj... jego żona się leczy.

— Hm... chyba, że on niestały mieszkaniec, bo przecież usłyszałbym coś o nim... No, a pan? Zapewne hula, jak każdy młody... co?

— Przyjechałem po naukę życia, nie na zabawę — i białą ręką przyglądał ciemne włosy nad uchem.

— To ładnie, bardzo ładnie — uśmiechnął się przyjaźnie — i szczerze się cieszył z tego... A wie pan dlaczego? — Spojrzał bystro wypłowiałemi oczyma w zmęczoną twarz Polusia.

— Nie wiem... może mi pan dobrodziej raczy powiedzieć — bąknął cicho.

— To jest taka historia — zaczął, biorąc nowego papierosa — my, Ukraińcy, uważa sąsiad, mamy doskonałą opinię w Warszawie. Każdy przyjeżdża z groszem, zdrow, śmiały, wesoły i nie pozwoli sobie nikomu w kaszę dmuchać... Szanują też nas ogólnie, dość powiedziec: Ukrainiec, aby każdy z tych mieszczuchów kłaniał się w pas — i ręką białą, ozdobioną pierścionkami, zrobił ruch chłopski objęcia kolan.

— Spostrzegłem to i ja — zauważył Polus — w hotelu, w restauracjach...

— A widzi sąsiad — zaśmiał się głośno Sopotkiewicz — to panie tradycya po poprzednikach i tej należy pilnować i otaczać szacunkiem... Bo to panie, jeden się zbłąźni, poslizgnie mu się noga... już zachwiana powaga i znaczenie Ukraińców. A tego trzeba unikać — kończył surowym, ostrzegającym głosem.

— Rozumiem i będę się starał — rzekł Polus z ukłonem w stronę siedzącego.

— Ileż razy panie, dawałem pieniądze naszym, gdy im zabrakło na razie, ale oddali rzetelnie, zwyczajnie, jak swoi... a ilu udzieliłem rad, wyba-

wielem z kłopotów, z niewłaściwych stosunków — westchnął i strząsając popiół, mówił: — bo to, nie chwając się, mam tu zachowanie, stosunki — podniósł wyżej małą głowę.

— Gdybym był, czego się nie spodziewam, narazony tutaj, pozwolę sobie udać się po radę do pana dobrodzieja.

— Chętnie będę służył, bo moja zasada panie: wszyscy za jednego, jeden za wszystkich; tem trzymamy się my, Ukraińcy, w tej Warszawie.

— To bardzo szlachetna zasada — mówił Poluś z wielkiem uznaniem — muszą też wszyscy z wdzięcznością wspominać pana dobrodzieja...

— Ho, ho, niejednego wyratowałem, bo to u naszych, posprzeczać się, zrobić awanturę... to chleb z masłem. Dopiero sekunduj, załagódź, naprawiaj... ale co o tem gadać... hm... jakże z kobietkami — uśmiechnął się lubieżnie i cmoknął wargami — to śliska droga, zwłaszcza dla młodego, niedoświadczonego.

— Panie dobrodzieju — rzekł Poluś, spuszczać, jak panna, ciemne swe oczy — mam wpojone zasady moralności i tych przestrzegam ściśle.

— No, no, — zaśmiał się — nie udawaj sąsiad anachorety... bajki panie... Gdzie nabierzesz poloru, ogłady, sprytu, jeśli nie w towarzystwie kobiet?... Nie mówię, aby sąsiad poufalił się, ale zdaleka, przyzwyczajony, moralnie, to i owszem... jedyna szkoła.

— Kiedy nie znam takich kobiet — skarżył się Poluś, w nadziei, że dowie się, gdzie ich szukać.

— Hm... ja pana z niemi nie poznam — uśmiechnął się drwiąco — należą do starszych... ale od tego są oczy i rozum, bo jak mówi przysłowie: wszystko można, tylko ostrożnie... Gdzie pan stoi?

— W hotelu Europejskim numer 68.

— Bardzo dobrze... zapiszę sobie adres na bilecie... Co tygodnia zbieramy się na winta u mnie, pan grywa?

— To jest... grywam, ale nieszczególnie.

— No i my nie artyści — zaśmiał się — zaproszę pana na ten dzień... wszak pan wolny, co?

— Jestem zawsze na usługi. — I wstał z fotelika, żegnany serdecznie przez gospodarza.

VI.

Wyszedł na ulicę i zamiast iść Kruczą ku Alejom Jerozolimskim, skręcił Żórawią ku Marszałkowskiej. Szedł wolna, rozmyślając nad słowami pana Sopotkiewicza. Hm... z całego jego zachowania, mowy, widać, że to Nestor wszystkich Ukraińców, opiekun ich w Warszawie, powaga, człowiek doświadczony i wpływowy... a jednak i on sam doradzał poznanie się z kobietami... Powiedział wyraźnie: „jedyna szkoła“! Wiem i ja coś o tem, uśmiechnął się Poluś, przecież nawet taka Wandzia, kelnerka, niby to nic, a jednak skorzystał z jej uwag, i teraz już wie, gdzie żądać wina, co pić do kawy... Taki Sopotkiewicz, Orzechowski, baron, po części i hrabia, każdy wspomina o kobietach, doradzają mu... i gdyby nie ciotka, gdyby nie ta jego opinia wzorowego młodzieńca, jużby on pokazał wszystkim, co potrafi.

Czyż jednak wszyscy mają wiedzieć z kim był? jak się bawił? ile stracił? co robił?

Dziś ma wolne całe popołudnie, spojrzął na zegarek... za trzydzieści minut trzecia... Gdyby spotkać piękną, szykowną, elegancką Warszawiankę!? Gdyby... westchnął i rozejrzał się po ulicy.

O tej porze na Żórawiej mały był ruch, przebiegały służące, spieszyły pensyonarki do domu, kilku uczniów i zwykli przechodnie, jakies niemłode panie, handlarze uliczni, żydzi...

Jednak tuż na Marszałkowskiej ulicy ruch publiczności był znaczny i co chwila mijały się powozy, dorożki, tramwaje.

Poluś w rozpiętym paltocie letnim, w kapeluszu zsuniętym lekko na lewą stronę, z wąsikami nastroszonymi, z monoklem w oku, przystanął na chodniku Marszałkowskiej ulicy i, opierając się lekko na cienkiej laseczce, spojrzął badawczo wokoło.

Zdawało mu się, że od strony Alei Jerozolimskiej idzie piękna pani. Wyprostował się, obejrzał rękawiczki czerwone, błyszczące swe lakierki i poszedł na jej spotkanie. Zbliżywszy się, dojrzał twarz upudrowaną, cerę schorzałą, oczy zapadnięte i z niesmakiem odwrócił się od niej.

Na chodniku z przeciwnej strony dojrzał elegancką damę. Klnąc dorożki przeszkadzające mu przejść przez ulicę, dotarł na drugą stronę, przyspieszył kroku, przystąpił do niej tak blisko, że otarł się o jej suknię i spojrzął w twarz. Wydała

mu się bardzo ładną. W jednej chwili przypomniał sobie naukę Orzechowskiego i słowa barona. Już gotował się do rzucenia spojrzenia powłóczyściego, gdy z dystrybucyi wyszedł mężczyzna i powiedziawszy damie słów kilka, widocznie przepraszaających, bo uśmiechnęła się pobłażliwie, podał jej ramię i poszli we dwoje.

— Zajęta — westchnął — a szkoda, bo ładna.

Spojrzał na towarzyszącego jej mężczyznę. Wydał mu się brzydkim, źle ubranym, niezgrabnym; uśmiechnął się drwiąco, czując, że przewyższa go pod każdym względem. Ach, gdyby ta kobieta wiedziała, że właśnie ja chciałem jej towarzyszyć, być dla niej uprzedzającym, posłusznym, słodkim... napewno wybrałaby mnie. A możeby z nią spróbować? uwiadomić ją, że mu się tak bardzo podobała... ale znów narażać się na głupią awanturę z tym wstrętnym mężczyzną, czy to warto, czy się opłaci? Znajdzie przecież inną, może nawet piękniejszą..

Podniósł oczy. O jakie dziesięć kroków przed nim szła ku niemu wysmukła, zgrabna kobieta. W jasnej sukni z jedwabiu surowego, przybranej wstążkami, wcięta w pasie, z biustem wyraźnie zarysowującym się, kroczyła dość wolno, trzymając tren sukni w rękę, a piękną, delikatnie rzeźbioną twarz smagławą, ujętą, jak w ramki, w czarne włosy opuszczone ze sztuczną niedbałością na uszy — zwracała często na bogate wystawy sklepowe.

— To ona! — szepnął Poluś do siebie, odchrząknął, wyprostował się, poprawił monokl w oku, i z uśmiechem zalotnym na ustach, zbliżał się, szukając jej oczu.

Ona nie zwracając uwagi na nikogo z przechodzących, szła dalej.

Poluś postanowił zmusić ją do spojrzenia na niego i o jakie dwa kroki przed nią przystanął, mówiąc głośno:

— Co za szyk kobietka!

Zdziwiona tym wykrzyknikiem, podniosła oczy i spotkała błyszczący wzrok Polusia.

Odrzuciła trochę głowę, przyspieszyła kroku, przechodząc mimo stojącego na miejscu młodzieńca.

— Teraz, lub nigdy! — mruknął Poluś, dopędził idącą i, przesuwając się tuż obok niej, spojrzał w jej oczy. Dostrzegł, że zmieszała się i zarumieniła: to spostrzeżenie dodało mu odwagi.

Wyprzedziwszy ją kilka kroków, znów przystanął, zdjął monokl i bawiąc się nim, przypatrywał się zbliżającej z tryumfującym spojrzeniem, a gdy go mijająca, szepnął półgłosem:

— Wenus... bóstwo moje!

Napastowana poczęła iść szybciej.

Poluś uśmiechnął się, jako dobry znawca wybiegów, niby to ucieka, niby nie chce, a pewno drży, aby mnie poznać osobiście... znamy się na tem, znamy...

Jeszcze raz obejrzał ją badawczo. Podobały mu

się zgrabne buciki na maleńkich nóżkach, obcisłe rękawiczki, bujne czarne włosy, białutka szyja.

— Ta, lub żadna! — szepnął głosem stanowczym i wyprzedzając, powiedział jej niemal do ucha: — Wenus... Aniele!

Właśnie zamierzał przystanąć, gdy wspomniał naukę fryzjera, iż piękne uczesanie podoba się kobietom. Zdjął więc kapelusz i udał, że ociera chusteczką pot z czoła.

Gdy ona się zbliżyła, spojrzął z miną zwycięzcy, a następnie uśmiechnął się łaskawie i rzekł półgłosem:

— Uwielbiam.

Gdy stał tak zapatrzony w jej żółtawą suknię, nagle skrzyła ona w bramę kamienicy i przed Polusiem mignęła tylko jej sukienka.

Poluś poskoczył do bramy, lecz w sieniach nie dojrzał jej, tylko przed swą izbą stróż naprawiał buty.

Szybko się do niego zbliżył.

— Mój człowieku, nie widzieliście przed chwilą pani, brunetki, w żółtej jedwabnej sukni.

Stróż podniósł zmęczone oczy, uśmiechnął się drwiąco:

— Najpierwej nie jestem ja pański człowiek... i nijakiej pani nie widziałem.

Poluś chwilę się zawahał, sięgnął po portmonetkę i dając stróżowi dwadzieścia kopiejek, rzekł tonem łagodnej prośby:

— Proszę was, powiedzcie mi adres tej pani, która tu weszła.

Stróż z uśmiechem zadowolenia obejrzał pieniądze, schował i z wolna mówił:

— Teraz rzecz inna... pan chce adresu tej pani, co przyszła przed chwilą?

— Tak jest brunetka, w jedwabnej sukni.

— Ja tam nie wiem, czy ona brunetka i jaką ma kieckę... to nie mój interes... ale jako pilnujący lokatorów, wiem, że krótko temu przyszła do swego lokalu pani Halusińska... a po cóż to panu?

— Tak sobie... chciałem wiedzieć.

— Tak wiedz pan, że to ślubna żona...

— Wszystko jedno — uśmiechnął się Poluś, rad przygodzie z mężatką — a który numer mieszkania?

— U nas panie porządek, i kto chce wiedzieć numer, od tego lista lokatorów — wskazując ręką na spis mieszkańców, oprawny w ramki — jej zaś numer lokalu jest szósty, schody frontowe.

— A mąż w domu?

— Pan Halusiński o czwartej przychodzi obiadować.

— Dziękuję, wiem wszystko — i odchodząc szepnął dla utrwalenia sobie w pamięci: — Halusińska, mieszkania numer szósty, schody frontowe.

Zanotował adres kamienicy i chwilę się namyślał, gdzie ma wstąpić by napisać adres, gdyż plan miał już gotowy.

Przygotowany od przypadku bilet zaadresuje do

niej, następnie pojedzie do hotelu i tam będzie oczekiwał skutku swej obmyślanej i przez innych wypróbowanej taktyki.

Widząc otwartą cukiernię, wszedł, kazał podać herbaty, atramentu i pióra. Natychmiast zaadresował przygotowaną kopertę i kazał chłopcu zawołać posłańca.

— Słuchaj uważnie... oto ten bilet, zaniesiesz podług adresu: Jaśnie wielmożna Halusińska... rozumiesz?

— Tak jest... czy zaczekać na odpowiedź?

— Hm... jeśli będzie, to pani da ci mój adres... a prawdopodobnie nic nie powie, tylko skinie głową... masz za kurs... idź!

Spróbował przyniesionej herbaty, lecz widząc na zegarku dwadzieścia na czwartą, szybko wyszedł, skinął na dorożkę i pojechał do hotelu.

Będąc w swoim numerze, zadzwonił ostro i rzekł do wchodzącego numerowego:

— Przygotuj dwa nakrycia, stół trzeba nakryć... dwa kieliszki i wino „Chateau Yquem“...

— Słucham, jaśnie panie.

— Oprócz tego dasz przekąski... coś lekkiego... ciastka sam przyniosę.

— Jaśnie pan oczekuje wizyty — rzekł poważnie numerowy.

— Tak jest... pani jedna... uważasz...

— Sądzę, że owoce byłyby potrzebne.

— Tak, tak, daj owoce.

- A możeby zamrozić szampanka?...
- Hm... nie wiem jeszcze...
- Jaśnie pan i tak nie płaci, jeśli nie każe odkorkować.
- To dobrze.. zamroź szampana.
- Słucham... robi się to.
- Hm... a możeby jakieś przekąski... jak uważasz, co?
- Sądząc z gatunku wina, jaśnie pan oczekuje... dyskretnej wizyty... coś lekkiego, tak wędliny, rybki...
- A dobrze... ale i samowar.
- To się rozumie... radziłbym kwiatami ubrać stół... damy to lubią.
- Prawda, kwiaty... daj i kwiaty.
- My w hotelu nie mamy, chyba ze sklepu, od ogrodnika.
- To uważasz, bukiet... rubla dosyć?
- O, u nas kwiaty drogie... zaledwie za dwa wystarczy jako tako.
- Ależ to czerwiec!... dosyć dwa ruble, wytarguj się.
- Dobrze, jaśnie panie.
- Zatem uważaj... zaraz nakryj do stołu, wino otwórz, przekąski, owoce, herbata i kwiaty.
- I szampan... postawię tu zamrożony, tylko przeciąć sznurki, a wystrzeli... zresztą nie będę zapewne potrzebny — uśmiechnął się.
- Ani się pokazuj... chyba, że zadzwonię.

— Rozumiem... o, my dyskretni... to nasz obo-
wiązek...

— I słusznie, bo nikt nie zajeżdżałby do was...
otóż zrób, co kazałem, natychmiast, gdy wrócę
z ciastkami, żeby wszystko było już gotowe.

— Słucham, jaśnie panie.

Zbiegł do cukierni Loursa, kupił ciastek za ru-
bla, a wracając do pokoju, uśmiechał się z zado-
wolenia, że tę piękną tak sownie ufetuje. Zaim-
ponuje jej, oszołomi, olśni swym pokojem i przy-
jęciem. Wspomniał jej nazwisko... Halusińska...
hm... coś niewyraźnego, mieszczańskiego, nie brzmi
ładnie, jak Jemiołkiewicz... ale ona pewno jest
szlachcianką, tylko wyszła za mieszczanina... zre-
szta to rzecz obojętna, bo ładna, nawet piękna,
elegancka i szykowna.

Gdy numerowy wniósł wszystko, co mu polecono,
spytał z dyskretnym uśmiechem:

— Zdaje mi się, że jaśnie pan już mnie nie po-
trzebuję?

Poluś spojrział na zastawiony stół, na przygoto-
wane wino francuskie i szampańskie, ustawione
owoce, ciastka i rzekł:

— Zdaje się, że możesz iść... kontent jestem.

— Sługa jaśnie pana, i jeśli wolno... wesołej
zabawy.

— Dziękuję.

Po wyjściu numerowego stanął przed lustrem,
i robił staranny przegląd swej osoby. Uczesał się

starannie, czyścił zęby, płókał usta, by całując, nie
zrazić jej niemiłym zapachem; poprawiał krawat,
spinkę, kołnierzyk, i wpatrując się w swe odbicie,
żałował, że nie jest wyższym.

Co szkodziłoby komu, gdyby był o pół głowy
wyższy!? a byłby pięknym mężczyzną. Podniósł
się na palcach, już lepiej wygląda, ale trudno cho-
dzić ciągle na palcach, westchnął, ten jego średni
wzrost martwił go zawsze, ale dziś wobec tej pię-
knej kobiety, wyższej od niego, czuł żal do Boga,
natury, rodziców za to upośledzenie.

Zapukano do drzwi. Zadrżał, może już ona!? Ale
nie, to krawiec przyniósł nowe ubranie, nie przy-
mierzał i szybko odprawił chłopca.

A możeby się przebrała na jej przyjęcie? Chyba
nie, mogłaby go nie poznać, ~~nie~~ zostanie w da-
wniejszem ubraniu.

Spojrzał na zegarek... pół do piątej... jeszcze dłu-
gie pół godziny... co tu robić? Sięgnął po papie-
rośnicę i zobaczył, że ma załadowane trzy papierosy.
Zbiegnie na dół i kupi, bo kto wie, czy ona nie
pali?

I bez paltota, z laseczką w rękę, wyszedł z po-
koju, zamknąwszy drzwi na klucz.

Zbiegł szybko z drugiego piętra i właśnie spoj-
rzał w lustro ścienne na kondygnacji pierwszego
piętra, gdy uszu jego doleciała żywa i głośna roz-
mowa na dole z portyerem.

Posłyszał wymówione swe nazwisko, ale tonem

tak szorstkim i ostrym, że zrobiło to na nim przykre wrażenie i miał ochotę zawrócić do swego pokoju, gdy na dole w sieni dojrzał portyera hotelu i barczystego, wysokiego mężczyznę z trzciniową laską w ręku.

Portyer ujrzawszy Polusia, rzekł głośno:

— Właśnie schodzi pan Jemiołkiewicz.

— Czy ten? — spytał właściciel laski.

— Tak jest.

Ten pan, w szarym marynarkowym garniturze, spieszył się widocznie do Polusia, gdyż przeskakiwał po dwa schody i zaczerwieniony, z błyszczącymi oczyma stanął tuż przy Polusiu, pytając szorstkim głosem:

— Czy pan jesteś Jemiołkiewicz?

Poluś odsunął się trochę na tak nieparlamentarne zapytanie, zadrżał, ale głosem pewnym odpowiedział:

— Tak panie, ja nazywam się Jemiołkiewicz.

— Czy Apoloniusz Ślepowron?

— Istotnie panie — odrzekł, odsuwając się o ile możliwości, od rozdrażnionego pana.

— Bardzo dobrze — zawołał niezwykle gość — a ja jestem Halusiński.

I w tej chwili pochwycił Polusia za kark, krzyząc głośno:

— To ty będziesz zaczepiał cudze żony, łajdaku!... pisujesz bilety, błaznie!... wyznaczasz schadzki, smarkaczu!

I przy każdym ostrzejszem słowie uderzał laską w mięsistą część ciała Polusia, który naprózno się szamotoł, zasłaniał, wydierał, spadł mu z głowy kapelusz, upadła laseczka, a Poluś widząc, że nie poradzi, zawołał z głęboką boleścią i rozpaczą:

— Gwałtu! Ratunku!

Portyer, który na razie poważnie przysłuchiwał się i przypatrywał operacyi, na krzyk Polusia zawołał:

— Dosyć panie — i począł iść po schodach w górę.

Spostrzegł nadchodzącego bijący pan, więc puścił Polusia przodem biegnącego i, skacząc po schodach, okładał kijem uciekającego, wołając:

— Dam ja ci Wenus!... Dostaniesz jeszcze za szyk!... I za uwielbienie, łobuzie jakiś!

Poluś, jakkolwiek szybko uciekał, jednak od czasu do czasu dosięgała go laska prześladowcy, więc tem więcej wyteżał swe siły, by uniknąć bolesnych ciosów.

Wpadł do sieni hotelu i jedyną wolną drogę ujrzał na ulicę, biegł więc na oślep, czując tuż za sobą prześladowcę.

Ludzie idący chodnikiem, zaciekawieni niezwykłymi krzykami i gonitwą, przystanęli, a Poluś, który znał najlepiej tylko drogę do cukierni Loursa, pobiegł w tę stronę, mając wciąż za sobą swego prześladowcę, wpadł na wielką salę, i o ile mógł najszybciej, schronił się za bufet.

Tu dopiero subjekci wstrzymali zajadłego Halusińskiego, który sapiąc, ocierając pot z czoła, mówił głośno:

— Dostał, bo dostał, ten dureń Jemiółkiewicz, ale i zasłużył... ten łobuz, farmazon, zaczął mi żonę, bileciki pisze... no, odechce mu się na drugi raz, wygąrbowałem mu skórę.

Nadszedł sam właściciel, który znał osobiście Halusińskiego, jako fabrykanta karmelków i cukrów, a zbliżywszy się, rzekł:

— Kolega wypełnił swój obowiązek... ja to rozumiem... ale już koniec, w moim zakładzie musi być spokój.

— Co prawda, to prawda kolego — odparł spokojnie Halusiński — zrobiłem swoje i kwita. Przepraszam kolegę za chwilowy niepokój — podałem rękę do uścisku i wśród szmeru rozmów zgromadzonej publiczności, wyszedł z cukierni i pojechał do domu.

Poluś przeprowadzony bocznymi drzwiami i schodami służby do hotelu, z pewną trudnością i postękiwaniem dostał się na drugie piętro.

Otworzywszy drzwi, wszedł do swego pokoju, zwolna zbliżył się do okna, odwróciwszy się z obrzydzeniem od przygotowanego na przyjęcie stołu.

Stanął przed oknem i rojem opadły go myśli gorzkie.

Największy żal czuł do ciotki i do pana Sapa-packiego, bo czyżby go spotkał ten przykry i bo-

lesny wypadek, gdyby nie ich wieczne gadanie o Warszawiankach... Wpoili w niego fałszywe przekonanie, aby narazić go na pośmiewisko, nie tylko hotelu, ale i całej Warszawy! Chcąc go uchronić od zepsucia, rozmyślnie przedstawili mu w takim świetle wszystkie Warszawianki, że prędzej czy później musiał się sparzyć... że też on nie poznał się na tej chytrłości i podstępnie? Ta jego niższość bolała go na równi z razami laski, które go piekły i dotkliwie dolegały.

A ten Orzechowski, baron, Sopotkiewicz, z jedynym wyjątkiem moralnego hrabiego, czy nie mogli go uprzedzić? objaśnić? dać dobre wskazówki?

Wszyscy byli przeciw niemu, wszyscy pragnęli jego zguby... czuł się bardzo samotnym, nieszczęśliwym, prześladowanym.

Usłyszał ciche pukanie do drzwi, zadrżał, może to jeszcze Halusiński... teraz będzie się bronił do ostatniej kropli krwi, pochwycił poręcz krzesła i zawołał zduszonym głosem:

— Proszę!

Wszedł poważny numerowy z jego kapeluszem, laseczką i składając na komodzie, rzekł zwykłym głosem:

— Przyniosłem rzeczy jaśnie pana.

Polusia opuściło poprzednie rozdrażnienie i nie ruszając się z miejsca, odpowiedział:

— Dobrze... idź!

Następnie zamknął drzwi na klucz i z wielką

ostrożnością począł się rozbierać. Zobaczywszy swe uda z czerwono-sinawemi pręgami, omało się nie rozplakał, a zacisnąwszy zęby, syknął:

— O, hajdak, szelma! Bić tak mocno, no, nauczę ja ciebie, zastrzełę jak psa!

Ta pogróżka ostro wyrażona, uspokoiła go cokolwiek, podszedł do łóżka, odrzucił kołdrę, następnie umaczał ręcznik w wodzie i postanowił robić zimne okłady, lecząc tym sposobem gorączkę zbolących miejsc.

Leżąc w łóżku, rozmyślał nad następstwami tego wypadku.

Naturalnie, Halusińskiego wyzwie na pojedynek, i to pojedynek ostry, na śmierć i życie, przecież kijów, on, szlachcic, nie może puścić płazem.

Wprawdzie słyszał, jak ten Halusiński mówił do cukiernika, „kolego“, ale to wszystko jedno, mieszczanin, handlarz czy cukiernik, musi mu stanąć do pojedynku. Obraza była zbyt wielką—westchnął boleśnie, spojrzawszy na mokry ręcznik—no, i tak publiczną... gonił za nim przez hotel, ulicę, aż do cukierni... coś podobnego, tylko krwią się maże.

O, on zastrzeli tego podłego Halusińskiego, chociażby dlatego, by zemścić się na tej kobiecie, która powierzona tylko jej tajemnicę, powiedziała mężowi. Jej cierpienie, będzie jego radością, zemstą!

Opowiedziała mu wszystko, to przecież jasne, gdyż ten cham biegnąc, krzyczał na całe gardło

słowa mówione przez niego: Wenus... szyk... uwielbiam...

Ach, jakaż to nikczemna kokietka, pocóż się rumieniła, patrzała... gdyby nie jej zachęcania, czyż byłby wysłał bilet?

— A więc pojedynek! — szepnął i westchnął głęboko.

Może zginie... umrze tak młodo... i żeby było za co umierać... gdyby istotnie przewinił, ale za napisanie bileciku do jakiejś tam mieszczaneczki... Jednak pojedynekować się musi... Do ciotki napisze umyślnie bardzo czuły list pożegnalny, aby cierpiała, i umieści wyraźnie, że przez nią ginie tak młodo, bo gdyby nie jej nauki, rozmyślne podsowanie fałszywych wyobrażeń o Warszawiankach, nigdy nie przyszłoby do pojedynku.

Majątek swój, jaki ma i będzie miał, zapisze na cele dobroczynne... na jakie, wszystko jedno, byle dobroczynne, aby ciotka nie skorzystała.

Kogo wybrać tu na sekundantów?... Chyba hrabia i baron nie odmówią mu tej przysługi?... Dopiero zdziwi się taki Halusiński, gdy w jego imieniu przyjdą wyzwąć go hrabia i baron. Zmieknie, spokojnie, zrozumie z kim zadarł, jaką figurą jest Jemiołkiewicz! Pewno uderzy w pokorę, w przeprosiny, ale chociażby ona sama włożyła się u nóg jego, on nie przebaczy, nie daruje, nie odstąpi od pojedynku.

A gdyby on został zabity?

Wszak Orzechowski mówił, że co innego tarcza, co innego żywy człowiek... kto wie, przecież mówi przysłowie: człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... może go Halusiński zabije, chociaż pewno strzela gorzej od niego.

Zabije go.

Położą jego trupa na łóżku, ręce złożą na krzyż, włożą obrazek, obstawią kwiatami...

Musi przed pojedynkiem zobowiązać hrabiego kuzyna, że zatelegrafuje o jego śmierci do ciotki. Dopiero się przerazi, przyjedzie na pogrzeb, będzie płakała, jęczała, szlochała... a on nic już nie będzie słyszał, widział, czuł... Jednak śmierć jest okropna, ginąć tak młodo... zaczął się rozczulać nad sobą, wkrótce jednak odtrącił ponure myśli, ginąć, to ginąć, ale z pogodną twarzą, jak przystało na szlachcica.

Co też Sopotkiewicz powie, dowiedziawszy się o pojedynku na ostrych warunkach... pewno go pochwali, bo on podtrzymał tym pojedynkiem dobrą opinię o Ukraińcach. Każdego przecież może napisać pies i pokąsać, ale tylko szlachcic, tylko Ukrainiec, zabije tego psa.

Pograżony w tych rozmyślaniach usnął, obudziło go silne stukanie do drzwi, otworzył oczy, nasłuchiwał, wreszcie zawołał gniewnym głosem:

— Kto tam?

— Otwórz kuzynie... to my.

Poznał głos hrabiego. Na razie chciał powie-

dzieć, że chory, że nie może przyjąć, ale ruszywszy się na łóżku, poczuł zbolące miejsca, uprzytomnił sobie zajście na schodach, pojedynek i swój zamiar, by hrabiego i barona prosić na sekundantów. Wstał z łóżka, podszedł do drzwi i rzekł:

— Jestem nieubrany... za chwilę kuzynie będę gotów... zechciej się zatrzymać.

— Dobrze... zaczekamy.

Poluś odkręcił kurek, tamujący prąd elektryczny i w jednej chwili cały pokój zajaśniał białym światłem. Ubrał się, o ile mógł szybko, uporządkował łóżko, i otworzywszy drzwi, poprosił gości.

— Czekaliśmy kuzynie na ciebie w umówionem miejscu przed teatrem — rzekł hrabia, ściskając podaną rękę, — a gdyś skrewił, przyszliśmy do ciebie.

— Ależ hrabio, — zawołał baron ze śmiechem, — spojrz na stół... kuzyn twój miał zupełną rację zaniedbać nas...

— Prawda, prawda — uśmiechnął się hrabia, patrząc na zastawę stołu — miałaś kuzynie wizytkę dyskretną, o, dobrze zaczynasz.

— Proszę panów, siadajcie — odezwał się Poluś — a wasze podejrzenia są mylne... babcie sami, że flaszka nie jest napoczęta, a kieliszki nieknięte.

— Widzę to, widzę — mówił hrabia, siadając na kanapce.

— Ależ hrabio! — zawołał baron wesołym gło-

sem — w rogu pokoju zamrożony szampan... na stole kwiaty, ciasteczka, tak podejmuje się tylko piękną kobietę.

— Twoje domysły baronie mogą być prawdziwe, — rzekł hrabia z właściwą sobie powagą, — ale jeśli mój kuzyn chce zachować przed nami tajemnicę, nie wypada nam poruszać tej sprawy.

Polusia ujęła ta delikatność hrabiego i powiedziała ze smutnym uśmiechem:

— Istotnie kuzynie, baron ma rację... oczekiwałem kobiety...

— A widzisz hrabio! — zaśmiał się baron.

— I zawiodła cię kobieta — westchnął hrabia, — bo i któż cię zwiedzie, jeśli nie kobieta... Żałuję jednak kuzynie, że nie zwierzyłeś się mnie, znam lepiej Warszawę od ciebie, i wierz mi, z kobietami trzeba być ostrożnym, albo ona skrewi, jak w tym wypadku, albo można napytać niemiłej awantury, jeśli się nie zna sytuacji kobiety.

— Albo jedno i drugie — dodał baron wesoło.

Poluś spojrzął z podziwem i szacunkiem na swego kuzyna, zaimponowała mu jego domyślność i doświadczenie.

— Moi panowie, pozwólcie wina... może przekąsek... ciasteczek... nie przyszła ona, szkoda by się zmarnowało.

— Ach, to tylko dlatego mamy jeść i pić — uśmiechnął się baron ironicznie.

— Ależ nie — zaprotestował Poluś z żywością — miło mi chociaż przygodnie przyjąć panów.

— Żartowałem tylko, żartowałem — mówił baron, nalewając kieliszki — siadajże i pan z nami, jako gospodarz.

Poluś z uśmiechem przymuszonym przysunął sobie krzesło i z wolna usiadł, poczuł jednak ból dotkliwy i wstał dość szybko.

— Co panu? — spytał baron zdziwiony.

— Nic to, nic — odpowiedział Poluś zarumieniony — wolę stać.

— Cóż dolega kuzynowi? — i ze współczuciem spojrzął na stojącego — czy ból w krzyżach... a może migrena? Na ból głowy mam doskonałe proszki.

— Nie, nie kuzynie, to nie głowa... chwilowa niedyspozycja... ale niema o czem mówić, pijmy.

— Kuzyn jednak zmieniony — rzekł hrabia z poważną troskliwością — najlepiej wypocząć... chodźmy baronie, przepraszamy za niewczesną wizytę kuzynie.

Obaj wstali, Poluś pochwycił rękę hrabiego i zawołał z żywością:

— Zostańcie panowie, bardzo proszę, mam nawet prośbę do panów, byście mi pomogli w sprawie honorowej.

— Tak?... więc siadamy i słuchamy, kuzynie, i możesz być pewny, że w każdej sprawie hono-

rowej służymy ci chętnie, bo przecież twój honor jest i moim honorem.

Poluś odchrząknął i zaczął głosem niepewnym:

— Sądzę, że z panami mogę być szczerym i że zachowacie wszystko w głębokiej tajemnicy...

— Ależ naturalnie...

— To się rozumie — zawołali jednocześnie, i z ciekawością wpatrzyli się obaj w stojącego gospodarza.

— Otóż dziś w południe złożyłem wizytę panu Sopotkiewiczowi z kaniowskiego... nie znacie go panowie?

— Coś słyszałem o nim — mówił hrabia, szukając w pamięci — podobno człowiek przesądny... nie rozumie potrzeb młodzieży.

— O nie, przeciwnie, sam mnie zachęcał, bym szukał towarzystwa kobiet.

— A, w takim razie, poinformowano mnie fałszywie... cóż dalej kuzynie?

— Wyszedłszy od niego, nie wziąłem dorożki... chciałem się przejść i zaszedłem na ulicę wysadzoną drzewami, ładna, szeroka ulica.

— A gdzie mieszka pan Sopotkiewicz? — spytał baron.

— Róg Żórawiej i Kruczej.

— Drzewa tuż przy chodniku, to pewno Marszałkowska ulica...

— Tak jest — westchnął Poluś — otóż idę i spotykam ładną, elegancką kobietę... Patrzę na

to tak jak w...
refleks i skromność
nią, uśmiecha się, rumieni, niby unika mnie, a nie unika...

— Ach rozumiem — zaśmiał się baron — znamy się na tem... na razie każda z nich tak postępuje.

— Tak, tak — skinął hrabia głową.

— Rozumiecie więc panowie — ożywił się Poluś — że zachęcony przez nią, śledzę za nią... ona wchodzi do kamienicy.

— I pa! wybiega mąż! — zawołał baron.

— Nie przerywaj baronie, — rzekł hrabia z grymasem niechęci, — opowiadaj kuzynie.

— Dopytawszy się u stróża o numer jej mieszkania...

— Przepraszam pana, -- odezwał się baron — czy stróż powiedział coś o niej?

— Tak jest, mówił, że mężatka.

— Hm... to nie żadna zbrodnia, — uśmiechnął się baron — nawet, mojem zdaniem, mężatka lepsza jest od panny lub wdowy.

— Pod jednym warunkiem, jeśli mąż nosi już rogi, lub ma nosić — przemówił hrabia poważnie z miną znawcy, — cóż dalej kuzynie?

— Przez posłańca posłałem do niej bilecik czuły, grzeczny...

— Dałeś pan swój adres? — spytał szybko baron.

— Tak jest.

— Hm... kuzyn był nieostrożny, bilecik mógł wpaść w ręce męża.

— Wiedziałem, że niema go w domu.

— A, to co innego, — rzekł hrabia z uznaniem, — to zmienia rzecz całą. Spodziewam się, że ona nie wtajemniczyła męża w ten niewinny roman-sik... bo każda kobieta lubi mieć tajemnice.

— Przeciwnie, kuzynie — westchnął Poluś i uśmie-chając się melancholijnie; — ona powiedziała wszy-stko, nawet moje komplementa, szeptane jej na ulicy.

— Oho, sprawa się wikła, — krzyknął niecier-piwy baron. — Cóż panie dalej?

— Sądząc... z jej zachowania się... zresztą sły-sząc tyle o lekkomyślności Warszawianek, przy-gotowałem się na jej przyjęcie, jak widzicie pa-nowie...

— Wtem wpada mąż! — zawołał baron — tak, tak... bywa i to... czy nie tak?

— Zgadłeś, panie baronie — rzekł Poluś, chciał mówić dalej, lecz zawahał się, namyślił się jednak, bo przecież musi coś powiedzieć przyszłym sekun-dantom: — otóż... przybiegł mąż... ordynarny cham... bez wychowania, bez poczucia honoru... Przecież każdy z nas, każdy szlachcic, przysłałby sekundan-tów swoich, obraził słowem, rzucił bilet, rękawiczkę...

— Naturalnie... naturalnie — przytakiwał hra-bia z powagą.

— A co on zrobił? — dopytywał się baron.

— Hm... spotkał mnie na schodach i z miejsca

zrobił awanturę... pobiliśmy się... musiałem bronić się czynnie, bo napadł na mnie.

— To dobrze, — zatarł baron ręce, — pewno mu pan dosolił...

— Tak sobie, dostał za swoje... hamowałem się jednak, bo nie lubię bijatyki na kije lub pięści.

— Widać, kuzynie, żeś szlachcic z krwi i ko-ści... my szlachta mamy broń, szable, pistolety, aby bronić naszego honoru... czy nie tak, baronie?

— Wiem, wiem... coż pan zamyśla teraz zrobić? Kobiątka przepadła, ale to głupstwo, znajdzie się inna, jednak z nim? co?

— Chciałem panów prosić na sekundantów w tej sprawie.

— Najchętniej, kuzynie.

— Takich przysług nigdy się nie odmawia... służę panu... zatem pojedynek, hm... no, a warunki?...

— Jaknajostriejsze, chociażby na pięć kroków, muszę pomścić zniewagę.

— Naturalnie, naturalnie... już my ułożymy wa-runki — przemówił hrabia — i będziesz zadowo-lony, kuzynie... A teraz już nie będzie niedyskre-cyi, gdy spytam o nazwisko?

— Halusiński!...

Baron drgnął i z wielkiem niedowierzaniem spoj-rzał na mówiącego.

— Halusiński — zwolna wymówił hrabia i su-rowo spojrzął na barona — nazwisko to znam, tylko nie wiem dobrze z kąd?

— Znam go — rzekł baron z niezwykłą powagą — i to mnie dziwi — obejrzał badawczo Polusia — że pan dał mu radę, to silny chłop... i słusznie pan powiedział, że to cham, bez wychowania.

— Przecież i ja nie bez siły! — zawołał Poluś, prostując się.

— No, tak, ale on silny, wielki... To właściciel fabryki karmelków i cukrów, dorobił się z niczego, od prostego chłopaka w cukierni... i pan chce się z nim pojedynkować?

— Nie puszcę płazem obelgi — odpowiedział Poluś z dumą.

— A zapewne... zapewne... chociaż... zdaje mi się...

— Baronie — rzekł hrabia surowo, szukając swemi mętnemi oczyma spojrzenia barona — ty masz zawsze pewne arystokratyczne uprzedzenia, ale *toujours* nie można się ich trzymać... są chwile *enfin*...

— Rozumiem cię hrabio — westchnął baron — ale znów bić się z takim cukiernikiem... Zdaje mi się, że mój sposób jest lepszy.

— Cóż pan baron sądzi? Jak?

— Pro prostu poszedłbym do cyrkułu, uwiadomił komisarza o napadzie, niech wdroży śledztwo... zamkną ptaszka i koniec.

— Jakto!? — oburzył się Poluś — ja miałbym szukać satysfakcyi honorowej w cyrkule? Nie, nigdy!

— Baronie, twoje przesady arystokratyczne są niemożliwe, a rada fałszywa... przecież i kuzyn bił Halusińskiego, broniąc się.

— Ee, taki niedźwiedz nawet nie poczuł tego... Czy myślisz, hrabio, że pojedynek zakończy tę sprawę?... Mojem zdaniem, albo skarga w cyrkule, albo zapomnieć o wszystkim...

— Zapomnieć! — krzyknął Poluś, czując jeszcze ból po uderzeniach. — Nie, nigdy!

— Słyszysz, baronie! I ja powiadam również *jamais*! Pojedynek, innego wyjścia nie widzę... przystąpmy zatem do omówienia warunków.

— O warunkach możemy pogadać — mówił baron zwolna — ale... ale... oświadczam panom, że nie mogę być sekundantem.

Oburzony hrabia zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że spadł mu monokl i zawołał zgorszony:

— Baronie! Cóż to nowego?

Poluś bardziej zdziwiony, aniżeli rozgniewany, spytał zimnym tonem:

— Czy nie mógłbyś pan powiedzieć przyczyny? Spodziewam się, że przeciw mej osobie nic pan nie masz?

— Przeciw panu, nic a nic — odpowiedział baron spokojnie — i w każdej innej sprawie, a raczej z każdym innym przeciwnikiem, bardzo chętnie służę, tylko nie z Halusińskim... Hrabio, usiądź i posłuchaj, widocznie zapomniałeś o moim stosunku z Halusińskim?

— Pamiętam dobrze, bardzo dobrze — przemówił hrabia z naciskiem — ale w takiej sprawie na bok wszelkie względy...

— A ja jestem innego zdania, — nalał sobie kieliszek i po chwili zwrócił się do Polusia: — Przed rokiem może, albo mniej, miałem przykre zajście z tym Halusińskim...

— Czy także o żonę? — spytał Poluś.

— Niezupełnie, ale... tak... w części. On obraził mnie grubiańskimi słowami...

Poluś westchnął i rzekł ze współczuciem:

— Czy przyszło do awantury?

— To jest... on mi nawymyślał, a ja mu odpłaciłem... Dowiedziawszy się, kto on taki, zaskarżyłem go do sądu... nie mogłem się przecież z takim chamem pojedynkować!?... On został skazany, gdybym więc sekundował, sądziłby, że ja byłem sprężyną całego waszego nieporozumienia, a pan był tylko narzędziem w mojem ręku, co ubliżyłoby panu i całą sprawę naraziłoby na szwank... Ale, jeśli się upieracie, przyjmuję sekundowanie.

— A, w takim razie zwalniam pana — zawołał Poluś, podając rękę.

— Zapomniałem o tem wszystkim na śmierć, baronie, — mruknął hrabia.

— Na moje miejsce, jako sekundanta — zaczął baron weselszym głosem — proponuję naszego wspólnego znajomego... Alfonsa Strzyżowskiego,

stara szlachta, dobra szlachta, ten może pójść do Halusińskiego.

— Prawda... to usłużny, młody człowiek, wybór doskonały, — pochwalił hrabia.

— W takim razie należałoby może pójść mi z wizytą do niego, — odezwał się Poluś.

— Obejdzie się, obejdzie — uśmiechnął się baron — to nasz przyjaciel, zdaj się pan na nas, już my załatwimy i wizytę, i pojedynek.

— Dziękuję panom, gdyż naprawdę nie czuję się usposobionym do wizyt, — westchnął Poluś i ostrożnie siadł.

Baron, który go obserwował, rzekł ze współczuciem:

— Panie Apoloniuszu, powiedz pan nam szczerą prawdę, może on panu coś przetrącił... jakąś kosteczkę... należałoby wziąć świadectwo doktora i pojedynek swoją drogą, a sprawa sądowa swoją.

— Nie, panie baronie — odpowiedział Poluś ze słabym uśmiechem, — to coś wewnętrznego, to przejdzie...

— A może on odbił coś w panu? — spytał baron poważnie.

— Cóż znowu — obruszył się Poluś — od czasu, do czasu miewam panie baronie takie wewnętrzne — podkreślił wyraz — cierpienia.

— Pewno hemoroidalne — domyślił się hrabia, — ale wróćmy do warunków... na ile kroków?

— Ja myślę na dwadzieścia, — radził baron.

— Co najmniej na dziesięć, — zawołał Poluś, — i to bez komendy.

— To zabójstwo, rzeź — rzekł hrabia — piętnaście kroków i komenda.

— Nie chcę — upierał się Poluś.

— Ależ moi panowie, warunki pojedynku układają się wspólnie, z jego sekundantami — przemówił baron — zajmujemy się tem niepotrzebnie. Wystarczy dla sekundantów, to jest dla hrabiego i Strzyżowskiego, że pan Apoloniusz żąda twardej warunków, reszta od wzajemnej umowy.

— Prawda, baronie, prawda!... Kuzynie, zdaj się na mnie, załatwię rzecz doskonale i będziesz zadowolony.

— Dziękuję ci kuzynie, i wierzę, — uściśnął Poluś rękę hrabiego.

— Zatem jutro kuzynie... w południe... chyba Strzyżowski będzie wolny baronie?

— Już ja go dopilnuję — uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Więc jutro w południe pójdziemy wyzwąć Halusińskiego w twojem imieniu kuzynie... Baronie, a gdzie go zastaniemy?

— Halusiński, w południe, przychodzi regularnie do swego sklepu przy ulicy Bielańskiej.

— Wiem już baronie... wiem. Około pierwszej, pół do drugiej przyjdziemy do kuzyna z odpowiedzią... ale gdzie?

— Najlepiej tu, w numerze, — pospieszył baron, — i ja tu będę.

— Bardzo dobrze, proszę panów, — dodał Poluś, — będziemy czekali z baronem.

— Chodźmy baronie — rzekł hrabia, wstając z krzesła — już czas. A ty kuzynie możesz spać spokojnie, twój honor spoczywa w pewnych rękach.

— Nie wątpię i wierzę — skłonił się Poluś.

Gdy byli już na schodach, hrabia uśmiechając się, powiedział cichym głosem:

— Wiesz, myślałem, że zasypiesz się z tym Halusińskim, aleś ty sprytny!

— Ho, ho, stary ja wróbel, — uśmiechnął się, — ale przecież do niego iść nie mogę, byłem rok w jego interesie, poróżniliśmy się...

— Słyszałem, podobno zaszło daleko — uśmiechnął się z ironią.

— Tak samo jak z tobą w magazynie ubrań... wyleciałeś...

— O nie, sam podziękowałem.

— Po co ta wzajemna blaga? Straciliśmy posady i koniec.

— Tak, to prawda — westchnął Krasnojarski.

— A wiesz, tego udawacza, twego kuzynka musimy naciągnąć na kobiety, dopiero będziemy mieli frajdę.

— Hm... możnaby.

— Już ja coś obmyślę... Ale uważasz, z tym Ha-

Iusińskim ostrożnie, pasyonat, a silny, już on do-
brze oporządził twego kuzynka, usiąść nie może.

— Widziałem, będę też ostrożny.

Wyszli przed hotel Europejski.

— Drogi nasze się rozchodzą, idę spać.

— Na poddasze, baronie — zaśmiał się drwiąco
hrabia.

— A ty do „kąta“ hrabio — odciął się — a jak
zdrowie żoneczki? — zaśmiał się.

— Nie spieszy mi się do niej, odprowadzę cię
kawalek.

— I owszem... Ale wiesz, gdyby twego kuzyna
tak naciągnąć na sto rubelków? Zamieszkalibyśmy
razem i powiadam ci, zawojujemy Warszawę.

— Hm... to może się udać, ale przy końcu jego
pobytu.

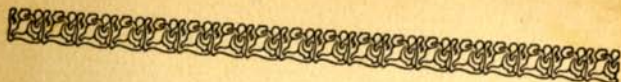
— Ee, straci do tego czasu... a ja ci powiadam,
że tylko przez kobiety, mam takie znajome...

— A więc próbuj.

— Już ja go urządzę... dobranoc ci, moja buda
niedaleko.

— Dobranoc, do jutra.

— Wiem, u kuzyna.



VII.

Nazajutrz około południa hrabia i Strzyżowski
szli zwolna przez Plac Teatralny w kierunku ulicy
Bielańskiej.

— Alfonsie — odezwał się hrabia — mam prze-
czucie, że sprawa ta skończy się wcale głupio.

— Hm... po cóż idziemy? — i zwrócił swą zni-
szczoną, zmiętą twarz, opatrzoną małymi fawory-
tami do hrabiego.

— Pójść musimy, to trudno — westchnął — ale
to, co słyszałem od Morena...

— Cóż mówił baron?

— Gbur, pasyonat i silny... nie można go draż-
nić, to niebezpieczny człowiek... tylko grzecznie,
bardzo grzecznie.

— Już ty mi tego nie zalecaj — uśmiechnął
się Strzyżowski blademi wargami — mam od rana
do nocy do czynienia z kundmanami.

— Alfonsie — przemówił poważnie po chwili —
a przypadkiem nie tytułuj mnie u niego.

— Ależ wiem — ścisnął ramionami — czy masz mnie za dziecko?

— Nie, ale boję się, aby ci się nie wyrwało.

— Niepotrzebne zastrzeżenie, ale powiedz mi, po co ja włączę w tę sprawę? Wy przynajmniej używaliście po restauracjach, w teatrach, ale ja?

— Alfonsie, czyż przyjaźń nie nie warta?

— Nie zwracaj mi głowy — odburknął chmurny, — chyba wrócę. Po co mi kłaść palce między drzwi?

— Nie zrobisz nam tego wstydu, Alfonsie, a zresztą dziś użyjesz.

— Tak powiadasz? No, a szampiter będzie także?

— Słowo honoru, będzie.

— A więc idźmy...

Stanęli przed sklepem, na którym wisiał napis wielkimi literami:

„Z. Halusiński. Fabryka cukierków“.

— To tu — szepnął hrabia.

— Tak jest, chodźmy.

Hrabia przytrzymał go za rękaw, mówiąc cicho:

— Alfonsie, na słóweczko...

— Cóż takiego?

— Nie ułożyliśmy się, kto będzie przemawiał do niego?

— Naturalnie, że ty... znasz sprawę całą, znasz Jemiołkiewicza...

— Wiesz, Alfonsie, ja nie mam wymowy.

— Głupstwo, kika słów potrafisz powiedzieć.

— Lecz gdybym się zaciął, ty mi podszeptionsz, Alfonsie?

— Dobrze... no, idźmy.

Weszli do sklepu i hrabia spytał uprzejmie subiekta, stojącego za ladą sklepową:

— Zastaliśmy pana Halusińskiego?

— Jest w swoim biurze... Czy to prywatny interes?

— Tak jest.

— Proszę — i ręką wskazał na drzwi pokoju za sklepem.

Pierwszy wszedł hrabia i zaraz w progu złożył siedzącemu za biurkiem Halusińskiemu głęboki ukłon.

On podniósł swą wielką głowę z nastroszoną czupryną i nie przestając pisać, spytał:

— A co tam? Panowie pisać, spytał?

— Tak jest — bąknął hrabia.

— W jakim interesie?

— W prywatnym.

Odłożył pióro, wyprostował się na krześle i patrząc bystro na przybyłych, rzekł grubym głosem:

— To dziwne... cóż takiego?

— Sprawa jest nieco drażliwa — wyjąkał hrabia — przyszedłem... to jest przyszliśmy w imieniu pana Jemiołkiewicza, który...

— Jemiołkiewicz! — krzyknął — ach, to ten błazen.

— Tak jest... on żąda satysfakcji.

— Co? co? — wstał z krzesła i zrobił krok jeden ku stojącym. — Wy obaj musicie mu być równi, gdy śmiecie przychodzić do mnie w jego imieniu... Proszę wyjść! — podniósł głos.

— Ależ panie — zaczął trwożliwie hrabia.

— Natychmiast wynoście się — krzyknął z gniewem i ścisnął pięść wielką.

— Jednak proszę pana — przemówił śmieiej Strzyżowski.

— Zaraz... albo poznacie mnie! Wy fireyki, brukotłuki, donżuany...

Hrabia wyszedł pierwszy, niemal wybiegł ze sklepu, a za nim jego towarzysz.

Na ulicy Bielańskiej hrabia ocierając spoczone czoło, rzekł:

— A co? Nie sprawdziło się moje przecucie? Nie mówiłem?

— Prawda... ależ to raptus, niegrzeczny, bez wychowania.

— Powiedz Alfonsie — rzekł hrabia, uśmiechając się gorzko — że to dziki cham, orangutang, mała złośliwa.

— Tak, tak i to o kilka grzecznych słów.

— W każdym razie spełniłszy, co do nas należało... sam słyszałeś, że go wyzwalem i to śmiało, otwarcie, bez ogródek, bo i czegoż miałem się bać?

— Naturalnie, bać się nie było czego...

— Przecież posłów ani biją, ani karzą — objaśnił hrabia.

— Czasem jednak wyrzucają — zaśmiał się Strzyżowski.

— Alfonsie, tylko takich dowcipów nie powtarzaj przy moim kuzynie, bardzo cię proszę.

— Rozumiem hrabio.

Byli już blisko hotelu Europejskiego, hrabia zatrzymał się, mówiąc:

— Słuchaj Alfonsie, ja będę opowiadał, a ty mi przyświadcysz.

— Zgoda hrabio.

W pokoju zastali już barona, który zanim się przywitał, zawołał z pośpiechem:

— I cóż hrabio? co powiedział?

— Zwolna baronie... zaraz odpowiem, wpierw muszę kuzynowi przedstawić pana Alfonsa Strzyżowskiego.

Po prezentacyi, hrabia usiadł wygodnie na kanapie i ocierając pot z czoła:

— No, napracowałem się dzisiaj... to istotnie człowiek bez wychowania, gbur, ale poradziłszy mu, — odetchnął głęboko.

— Zatem pojedynek... i kiedy? — spytał Poluś z żywością.

— Zaraz kuzynie, opowiem wszystko po kolei... Przychodzimy z panem Strzyżowskim, powiadam mu z miejsca, że podobny afront zrobiony memu kuzynowi wymaga satysfakcyi... on zachnął się, jakby go osa ukąsiła...

Fireyk, brukotłuki donżuany

— Ho, ho, znam go... wiedziałem... odrazu w krzyk, nieprawdaż? — rzekł baron.

— Baronie, nie przerywaj, — upominał hrabia, — przedewszystkiem mówiąc ze mną, nie śmiałyby podnieść głosu...

— On!? ależ go znam — wmieszał się baron, — to jego natura.

— Właśnie, że siedział jak trusia.

— Tem gorzej — szepnął zaciekawiony baron, tem gorzej.

— Czy ty baronie opowiadasz, czy ja?

— Ależ ty, hrabio.

— Pozwól mi więc mówić... Otóż udał, że zapomniał o wczorajszej awanturze, wytłómaczyłem i postawiłem jasno kwestyę pojedynku... czy nie tak Alfonsie?

— Istotnie, wyraźnie powiedziałaś hrabio, dziecko każde zrozumiałoby.

— Cóż on na to? — spytał Poluś.

— Oświadczył, że zdaniem jego, podobne drobne nieporozumienie da się załagodzić przeproszeniem, które składa na nasze ręce.

— On? On, to powiedział? — spytał z powątpiewaniem baron.

— Mówię przecież wyraźnie i mam na to świadka naoczny.

— Tak, tak — potwierdził Strzyżowski, potakując łysawą głową.

— Sprzeciwiłem się takiemu załatwieniu sprawy,

w myśl twych instrukcyi kuzynie, ale on o pojedynku słuchać nie chciał, czy nie tak?

— Istotnie, ani chciał słyszeć, — potwierdził Strzyżowski.

— Powiedziałem, że ogłosimy go infamisem i plac ostrzelamy...

— Cóż odpowiedział? — zawołał Poluś.

— Mówił nam, że o taką bagatelę, o taką drobnostkę...

— On śmiał to nazwać drobnostką! — zawołał oburzony Poluś.

— Tak jest... Otóż on z powodu takiej drobnostki nie myśli nadstawiać życia.

— Ach, podły tchórz! — oburzył się Poluś.

— Napróżno tłómaczyliśmy, groziliśmy, on powtarzał swoje, nie i nie.

— Cóż będzie? — spytał bezradny Poluś.

— Hm... ogłosić w gazetach, albo lepiej ostrzelać plac... i koniec.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się baron poważnym głosem:

— Mojem zdaniem, panowie, najlepiej nie rozmazywać tej sprawy w pismach, wiecie, że pojedynek jest u nas zakazany, po co się narażać... Napiszemy protokółik i koniec.

— Baronie, protokół możemy spisać — rzekł hrabia — ale po co? My przecież wiemy dokła-

dnie przebieg sprawy... a ostrzelanie placu... hm... możemy zrobić.

— Takie ostrzelanie, gdy on stanowczo odmówił, to istna szopka, przecież nie wybrał miejsca ani broni — tłumaczył baron — ot, plunąć na całą sprawę, końce w wodę i już. Czyż byli świadkowie zajścia?

— Hm... podobno byli — odpowiedział Poluś z wahaniem, — portyer... jacyś na ulicy ludzie...

— Ach, służbą i motłoch — uśmiechnął się wzgardliwie hrabia — tacy się nie liczą... to nic.

— Panie Apoloniuszu — rzekł baron z przyjaznym uśmiechem — wierz mi pan, że najlepiej puścić to w niepamięć.

Poluś, który nosił jeszcze ślady uderzeń, uśmiechnął się melancholijnie:

— Łatwo to powiedzieć baronie, ale ten, którego spotkała taka obelga...

— Głupstwo... szkoda czasu i atlasu — zaśmiał się baron — jego pan nie zmusi, a w nas ma pan świadków dość poważnych, ja myślę, że wszelkim wymaganiom honoru stało się zadość. On zrobił głupią awanturę, pan posłał sekundantów, on stchórzył i odmawia, my świadczymy, że jest nicponiem, niegodnym pojedynku... i koniec.

— Zawsze to przykro — westchnął Poluś.

— Niema o czem myśleć, panie Apoloniuszu... skończyliśmy i wszyscy wyrażamy panu nasze

szczerze współczucie... czy i to nie wystarcza? — spytał z uczuciem, podając rękę Polusiowi.

Wstał hrabia i Strzyżowski, ściskając rękę poszkodowanego.

— Jednak żałuję, że nie przyszło do pojedynku — westchnął Poluś, uściskawszy ręce obecnych.

— Na niepodobieństwo niema lekarstwa kuzynie... Zrobiliśmy wszystko, do czego zobowiązany jest *gentleman*, a że on postąpił jak infamis, kto emu winien? — i hrabia podniósł w górę głowę, — w każdym razie zasadam honoru stało się zaść... to wystarcza *pour toujours*.

— Gdyby przynajmniej protokół? — westchnął Poluś, który zasłyszał, czy gdzieś przeczytał o protokółach pojedynkowych.

— Już mówiłem ci kuzynie o protokóle — odezwał się hrabia z powagą — przecież naszych świadectw nie potrzebujesz?

— Hm... to prawda — szepnął Poluś.

— Zatem sprawa skończona — zawyrokował hrabia.

— I ubita na zawsze — wtrącił baron — ale, ale, wiesz hrabio, otrzymałem wiadomość z moich stron, że na kilka dni przyjeżdżają do Warszawy moje najbliższe sąsiadki ze wsi..

— Kto taki, baronie?

— Pani Sabina ze swą siostrą, panną Ireną... o, ładne kobiety...

— A tak, przypominam sobie — uśmiechnął się

hrabia — mówiono w okolicy, że bywasz zbyt czę-
stym gościem u pani Sabiny.

— Plotki, hrabio, plotki... pani Sabina ładna, ale
jej siostra Irena istny cukiereczek, to nawet mało,
prawdziwa...;

— Czekoladka — dorzucił Strzyżowski z ironicz-
nym uśmiechem.

— Czarodziejka, chciałem powiedzieć — kończył
baron poważnie — bo i co za porównanie panny...
do czekoladki? —

— Pod względem słodyczy...

— Alfonsie, masz liche dowcip, daj spokój.

— Co baronie myślisz zrobić z niemi? — spytał
hrabia poważnie.

— Sądzę, że ty, hrabio, złożysz im swe uszano-
wanie... i pana poznam z niemi, nie pożałujesz pan
tego.

— Czy istotnie taka ładna? — spytał Poluś za-
ciekawiony.

— Prawie brunetka, oczy ogniste, włosy bujne,
a figurka cudo — objaśnił baron.

Polusiowi ten opis przypomniał Berezowiczównę
i rzekł z uśmiechem:

— Chciałbym ją poznać...

— I owszem, zaznajomię was — ofiarował się
baron — ale uprzedzam, ona moralna, prawdziwa
Dyana... chyba, że się zakocha w panu, a wówczas
za nic nie ręczę, bo to istne piekło.

— Chciałbym być dyabłem! — zawołał hrabia.

— Ty, hrabio, jesteś za stary, zanadto zużyty...
pan Apoloniusz to samo życie, młodość, miłość...

— Więc będę szczęśliwy, szczęściem mego ku-
zyna — westchnął hrabia.

Wśród chwilowej ciszy odezwał się nagle Strzy-
żowski:

— Proszę pana, co w tych kufrach?

Poluś się zarumienił i odpowiedział obojętnie:

— Rzeczy podróżne.

— Istotnie kuzynie, co tam chowasz? Kufer, ro-
zumiem to bielizna, rzeczy, buciki... ale ta waliza?

— Prawda, co w tej walizie? — spytał baron.

— Hm... uważasz kuzynie, mam ciotkę, która
wyobraża sobie, że po restauracjach warszawskich
trują przejezdnych... i dała mi na drogę różne za-
pasy domowe.

— Ach, przepadam za wiejskimi łakociami —
zawołał hrabia — tak dawno nie jadłem nic ze
wsi... cóż masz kuzynie?

— Drobnostki... jakaś szynka, polędwica, masło
wiejskie i tak dalej.

— Zaproście mnie, kuzynie, ja tak to lubię, a od
czasu śmierci babki mojej, nie jadłem nic ukraiń-
skiego.

— Każdej chwili służę kuzynowi... ale co do babki,
czy nie była ona córką Pawła Jemiołkiewicza, bo
tylko on jeden wyemigrował z Ukrainy do Króle-
stwa, inni zostali na miejscu.

— Ho, ho, kuzynie, znasz wybornie historię

swego rodu... tak jest, moja babka była córką Pawła, nawet w starości była to ładna kobieta, widocznie to cecha Jemiołkiewiczów.

— A tak, my trzymamy się do późna — rzekł Poluś z dumą i rad, że dowiedział się o stopniu pokrewieństwa z hrabią — zatem córka Pawła była stryjeczną mego ojca, a hrabia jest dla mnie cioteczno ciotecznym.

— Tak jest, kuzynie... nie wspomniałem o genealogii, gdyż myślałem, że nie znasz tak dobrze historii swego rodu.

— U nas, każdy to umie, jak pacierz — zawołał Poluś.

— Słusznie, słusznie, my, kuzynie, stoimy tradycją, pokrewieństwem.

— I ja to mówię — potwierdził Poluś z niezwykłą powagą.

— Nagadaliście się już dosyć o waszych pokrewieństwach i powinowactwach — uśmiechnął się baron — wróćmy do aktualniejszej rzeczy... dobrze?

— Słuchamy, mów baronie, — zachęcał Strzyżowski.

— Otóż konstatuje fakt, że mamy przysmaki ukraińskie... więc mojem zdaniem, należy urządzić fetę ukraińską, niechże i ja raz dowiem się, co wy tam jadacie. Następnie myślę, że byłoby dobrze, by i panie znalazły się w naszym towarzystwie.

— Panie! Kobiety! — zamruczał Poluś.

— No, tak, panie Apoloniuszu... już raz rozgrzeżyłeś się pan, bo to dobre chęci staną za uczynki. Podobała się panu Halusińska, podoba się i inna.

— A pan baron ją zna?

— Ho, ho, i jak!? Piękna kobieta; o pan ma dobry gust, powiem nawet, że elegancka, szykowna, nikt nie pomyślałby, że ma takiego niedźwiedzia.

Polusiowi pochlebiło to uznanie barona dla jego wyboru i rzekł skromnie:

— Więc pan się nie dziwisz, że ona mi się podobała?

— Przeciwnie panie, to przynosi zaszczyt panu... hrabio, a ty ją znasz?

— Tak sobie, z widzenia... ładna, ale twoja pani Sabina chyba ładniejsza.

— Ona, może i nie... ale Irena stanowczo, to szyk panna.

— Kiedyż przyjeżdżają? — spytał Strzyżowski.

— W tych dniach... może w piątek... może w sobotę.

— No, kuzynie, my idziemy na obiad.

— Natychmiast kuzynie, przy miłej pogawędce zapomniałem... dziś mój dzień, nikomu nie pozwolę płacić.

— O, przepraszam, — zastrzegł się baron.

— Kuzynie, ty jesteś w swem prawie — zawyrokował hrabia — dziś tylko twój dzień. Sekundantów ugaszczą wyzywający.

Gdy byli na wychodnem, Poluś obliczył w my-

śli koszt przyjęcia gości i ubierając się w palto letnie, rzekł zwrócony ku hrabiemu, który nakładał rękawiczki:

— Wiecie, panowie, dotychczas znam Warszawę, że tak powiem, z wykwintnej strony, chciałbym ją poznać głębiej...

— Możemy panu ułatwić — zaśmiał się baron.

— Co przez to rozumiesz kuzynie? — spytał hrabia, szukając swej laski.

Poluś z uwagą zapinał guziki paltota, zdjął z wieszadeł kapelusz i czyszcząc go rękawem, odpowiedział:

— Sądzę, kuzynie, że dla odmiany moglibyśmy pójść do restauracji, w której jadają ludzie zwykli...

— Taka dobra fantazja, jak każda inna — spojrział hrabia na towarzyszków.

— Tyle słyszałem — uśmiechnął się Poluś — o wesołości kelnerów... może zechcecie mnie zaprowadzić.

— Wyborna myśl, — zawołał baron, nałożywszy kapelusz na głowę — idziemy dla odmiany do Adamowej.

— Bardzo dobrze — mruknął hrabia.

Poluś winał sobie swego pomysłu, bo i obiad tańszy, no i wina są niemożliwe do picia.

— Baronie prowadź — rozporządził hrabia — podobno znasz tę knajpę.

— Znam, znam, dla odmiany wchodzę do niej...

czasem trafi się kwiatek — mówił baron, schodząc ze schodów hotelu.

— A ty, baronie, bawisz się w to ogrodnictwo, — zaśmiał się Strzyżowski.

— Żaden fach nie ubliża ludziom — odrzekł sentymentalnie.

— Nawet cukierniczy — przyciął Strzyżowski.

— Tylko nie wspominajcie o cukiernikach — zrobił uwagę hrabia — obrzydziłem sobie *pour toujours* słodycze i ich fabrykantów, nieprawdaż kuzynie?

— Hm... co do mnie, nie zastanawiałem się nad tem — odpowiedział wymijająco.

— Tu największa firma księgarska — rzekł baron, wskazując laseczką na okna wystawowe — czy załatwił już pan rachunki księgarskie?

— Jeszcze nie — odparł zmieszany — dopiero mam zamiar.

— Co też czytujecie panowie na Ukrainie? — wtrącił Strzyżowski.

— Hm... to i owo... pisma, książki...

— Alfonsie — pouczył hrabia — na wsi czyta się wszystko, bez wyboru, już z samych nudów.

Weszli w bramę kamienicy, dopiero poznał Poluś, że tu jest restauracja, w której usługuje Wandzia. Cofnąć się było zapóźno i z westchnieniem, obmyślając sposoby wytłomaczenia się towarzyszom ze swej poprzedniej tu bytności, szedł po schodach. Jeśli przyzna się, że już był, wyjdzie na

jaw jego kłamstwo i domyśla się, że zrobił to przez oszczędność... najlepiej zamilczeć. Klął swój pomysł pójścia do tańszej restauracji, który może go narazić na stratę zaufania kuzyna i barona.

Weszli do pierwszej sali. W drzwiach wiodących do dalszych pokojów, stała Wandzia, a ujrzawszy przychodzących, zawołała wesoło:

— Jest i baron kochany, nareszcie przyszedłeś do mnie...

— Tylko bez całusów, Wandeczko, wiesz, że tego nie lubię — odpowiedział, udając powagę i zbliżył się do niej.

— Nie obawiaj się, baronie — zaśmiała się — nie cierpię baranich kożuchów.

— Który andrus nauczył cię tych dowcipów? — spytał hrabia.

— Podobny był do pana, jak dwie krople wody — mówiła, uprzątnując stół.

— Klójesz, Wandziu, ostro — śmiał się głośno Strzyżowski.

— Bo nie jestem trutniem.

— A to ci palnęła — zawołał baron.

— Kwestya, co lepsze: baran, czy truteń — uśmiechnęła się, siadając.

— A, i pan szlachcic tutaj — zrobiła dyg głęboki.

Poluś udał zdziwienie i skinął głową obojętnie. Towarzysze spojrzeli na niego zaciekawieni, a baron zdejmując popielate rękawiczki, spytał:

— Wandziu, ty znasz naszego przyjaciela?

— Choruje pan na oczy, czy głowę — odpowiedziała, podrażniona przywitaniem Polusia — przecież się kłaniałam bardzo pięknie... a udaje, że mnie nie zna, tem gorzej dla niego. Co panowie jedzą?

Poluś, lekko zmieszany, niezadowolony z obrotu sprawy z Wandzią, czując, że wszyscy patrzą na niego, rzekł:

— Może baron zechce dysponować...

— Bardzo dobrze — zatarł baron ręce — zatem najpierw wódeczka...

— Jaka?

— Flakon większy czystej, mocnej i mniejszy z kroplami, naturalnie do tego pięć kieliszków, bo i ty, Wandziu, umoczysz swoje usteczka.

— Z panami, chętnie — odpowiedziała, obciążając białe fartuszek — ale nie z tym panem — wskazała oczyma na Polusia, który siedział z oczyma spuszczonemi, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka.

— Cóż on ci zrobił? — uśmiechnął się hrabia.

— Gniewam się — i wydeła usta.

— To dobry znak — zawołał baron — widocznie go kochasz.

— Kochać!? — zaśmiała się drwiąco — kogo? Czy takiego, który nie umie się znaleźć wobec kobiety dobrze wychowanej? Jemu się zdaje, że wszystkie są Kaśki i Maryśki.

— No, no, uspokój twój zwykle łagodny umysł

— przemówił baron — już wy się pogodzicie, ręczę za to... a tymczasem wódeczka i pięć sztuk mięsa z ćwikłą, albo ogórkami.

— Tylko cztery — sprostowała Wandzia — nie chcę mięsa...

— Weź-że sobie kanapkę — doradził hrabia.

— Czy z kawiozem? — spytała na odchodnym.

— Dobrze, Wandziu... — zawołał baron i zwrócił się do Polusia: — ho, ho, ale z pana łobuz... już pan odszukał Wandzię, a równocześnie umizgał się pan do Halusińskiej... Hrabio, twój kuzyn zbalamuci nam wszystkie Warszawianki.

— To żarty, baronie... żarty — powiedział Poluś, bawiąc się wziętą wykałaczką.

— Dobrze mi żarty — zaśmiał się baron — z powodu Halusińskiej omal, że nie pojedynek... a Wandzia wściekła... cóż pan jej zrobił?...

— Ależ nic... słowo daję, że nic.

— Jednak kuzynie, jeśli to nie jest twoją tajemnicą, jak poznałeś Wandzię? — spytał z powagą hrabia, nakładając monokl.

— Zaszedłem przypadkiem tutaj na drugie śniadanie, pogadałem z nią kilka słów nic nie znaczących, a ona dzisiaj...

Wtem weszła Wandzia i w milczeniu, z wielką wprawą rozstawiała kieliszki i talerze z mięsem.

— Wandziu, oto przed chwilą powiedział nam nasz przyjaciel prawdę... i wstyd mi za ciebie, moją wychowanicę.

— Pan!? Pan mnie wychowywał! — zawołała zdziwiona.

— Kształciłem cię, kochaneczko, musisz to sama przyznać.

— O, przepraszam, co za wiele, to za wiele, nie pozwalałam panu nazywać siebie owcą — udała obrażoną.

— No, no, mała, bez tych conceptów — rzekł baron, chmurząc się, gdy towarzysze wybuchnęli śmiechem.

— To nie mów mi pan o wychowaniczy.

— Wandziu, nalej kieliszki.

Napełniając kieliszki, spytała:

— I jaką prawdę powiedział ten pan? — wskazała oczyma na Polusia.

— Szczerą prawdę — rzekł hrabia — pogadaliście ze sobą kilka słów nic nie znaczących... zkadże pretensye?

Wypili wódkę, zaczęli jeść mięso, a Wandzia, gryząc bułkę z kawiozem, mówiła z przekąsem:

— No, no, szlachcic i taka u niego prawda — zaśmiała się — a obiecana wycieczka powozem, to nic?

Poluś zmusił się do swobodnego uśmiechu i wpatrując się w mięso, które krajał, odpowiedział:

— Tak, tak, coś wspominałaś o powozie.

— Już ja pomogę pamięci pana — zaśmiała się złośliwie — a rękawiczki?

— Jakie rękawiczki? Co za rękawiczki? — dopytywał się baron.

— Nie wiem — mruknął Poluś.

Przez chwilę Wandzia milczała, przypatrując się badawczo jedzącemu Polusiowi, wreszcie rzekła:

— Ten pan nie wie, ale ja wiem... Wczoraj przyszedł ten pan tutaj... piłam z nim, jadłam z nim, stara mnie skrzyczała, i ten pan obiecał mi za to dać na rękawiczki... Czy szlachcie powinien dotrzymać? Powiedz baronie!

— Hm... jeśli obiecał.

— No, tak... jeśli przyrzekł — dodał Strzyżowski z uśmiechem.

— A więc daj pan na rękawiczki — i wyciągnęła rękę.

— Ja? Ja mam dać? — obruszył się Poluś.

— Jeśli pan wczoraj obiecał i nie dał wczoraj... daj pan dzisiaj — rzekła Wandzia, patrząc drwiąco na niego.

— Daj kuzynie... głupstwo rubel — doradził hrabia.

Poluś zły, wyjął rubla, a wręczając mruknął:

— Choć nie obiecałem... daję odczepnego.

— O, z pana grzeczny kawaler — zaśmiała się chowając rubla.

— Kiedy już zgoda nastąpiła — odezwał się baron — przyniesiesz nam Wandziu zupełną rakową... następnie pieczeń z rożna z sałatą, a zamiast le guminy szparagi..

— Dobrze... a co będą panowie pili?

— Może piwo — doradzał hrabia.

— Hrabio, ja dysponuję — zawołał baron — czy nie tak, panie Apoloniuszu?

— Istotnie, kuzynie, proszę o to barona — usprawiedliwił się Poluś.

— Zatem Wandziu, pójdiesz do starej i powiesz, że ja proszę o wino numer 107. Rozumiesz? 107!

— Dobrze... a ile kieliszków?

— Całą butelkę i pięć kieliszków.

— Powiadam wam, że wino — przyłożył dwa palce do ust i głośno je ucałował — warto mu dać buzi.

Poluś, słuchając poleceń barona, spochmurniał. Zaproponował tańszą restaurację dla oszczędności, wyrzucił rubla na rzekome rękawiczki, zapłacił wino szczególnie, zapewne drogie; niepotrzebnie wykryto jego umizgi, a kto wie, co go jeszcze czeka?

— Panowie — odezwał się hrabia — znam tutaj kawę, istna cykorya z wodą, radzę pojechać na kawę i likiery do Sans-Souci, czy zgoda?

— Pomysł doskonały! — krzyknął baron — odciechniemy po dusznej Warszawie, no i zobaczymy elegancki świat, tylko to zależy od kuzyna twego?

— Ja się zgadzam w zupełności — odpowiedział Poluś z udaną wesołością, żałując pieniędzy. W głębi duszy powziął mgli stepodejrzenia względem swych przyjaciół, z powodu niezupełnie jasnego załatwie-

nia sprawy honorowej, ale gdy spojrział na nie-
dbale siedzącego hrabiego, na jego twarz znudzoną,
przedwcześnie postarzałą, z wyrazem dumy i lekce-
ważenia, prysły wszelkie podejrzenia, i gdy ma już
płacić, niechże i on użyje za swoje pieniądze.

Rozprawiano o koniach wyścigowych, a Poluś
musiał podziwiać ich znajomość rodowodów koni,
charakterystycznych cech potomstwa, biegłość lub
nieudolność dżokejów i trenerów każdej z poszcze-
gólnych stajen.

Panowie pili już drugą butelkę wina, a kieliszek
Wandzi stał nietknięty, gdyż zajęta była obsługi-
waniem innych gości. Wreszcie uwolniła się i przy-
stąpiła do stołu.

— Wandziu, twoje zdrowie! — zawołał baron,
wznosząc kieliszek — obyś na tym jarmarku weł-
nianym ostrzygła dużo baranów!

— Byle tłuszcieszych od pana — zaśmiała się,
pijąc wino.

— Głupi żart! — mruknął baron.

— A przecież pan sam mnie uczył, że dobry
żart, wina wart... nalejże mi pan drugi kieliszek.

— Pod warunkiem, że wzniesiesz toast — rzekł
hrabia, spoglądając tryumfująco na dziewczynę.

— Hm... toast?... A dobrze... Nie wypiję zdrowia
wróbbli, to nicponie — uśmiechnęła się drwiąco —
piję zdrowie tych, którzy pracują na roli! — spoj-
rzała zalotnie na Polusia i skinęła mu głową.

— Umizgasz się do szlachcica — zawołał Strzy-
żowski z uśmiechem złośliwym.

— Nie do szlachcica — zawołała nadąsana —
piję zdrowie chłopów.

Wszyscy podnieśli kieliszki, tylko jeden Poluś
nie dotknął swego.

— Jakto, pan nie pije? — zdziwił się baron.

— Nie panie — rzekł Poluś z powagą, rozpie-
rając się w krzesle i chowając ręce w kieszenie,
nie mogę pić zdrowia największych moich wrogów.
Chłop, gdzie może, robi mi szkodę, nie chodzi na
robotę, a gdyby mu wolno było, zabiłby mnie z całą
przyjemnością.

— Cha... cha... cha... — śmiała się Wandzia —
ależ pan zabawny z tą powagą... No, no, rozchmurz
się pan i wypij zdrowie dziewcząt wiejskich...
Kasi, Magdzi, Marysi!

— Brawo Wandziu! — zawołał baron i posko-
czył ku niej.

— Tylko zdaleka baronie, nie lubię fiksatarów...

— Zdrowie dziewcząt wiejskich! — krzyknął pod-
niecony Strzyżowski — każdy musi wypić.

Wstał i Poluś. Z pewną niechęcią, dziwiąc się,
że tacy ludzie piją tak ordynarne zdrowie, wypił
jednak pół kieliszka. Lecz gdy wspomniał, jakby
się Nastka ucieszyła tym toastem, rozchmurzył się
i szybko dokończył wina.

— Wandziu, rachunek — rozporządził baron.

— Już?... a kawa?

— U was niemożliwa — puścił hrabia wielki kłęb dymu -- pójdziemy gdzieindziej.

— Czy zła była panie szlachcicu? — zwróciła się z pretensją do Polusia — przecież wczoraj pan piłeś?

— To nie zależy odemnie — bronił się — pan baron dysponuje.

— Ach, baron, baron — mówiła z lekceważącym uśmiechem — trzeba mieć własne zdanie.

— Wandziu, uspokój się, za twoją kawę ja płacę — i baron wyjął dziesięć kopiejek, wręczając kelnerce.

W czasie tego obiadu Poluś przypatrywał się z pod oka Wandzi, uwijającej się zręcznie pomiędzy różnymi gośćmi i czuł rosnącą dla niej sympatię. Dał jej już dwa ruble — rozmyślał, byłbym głupi, żebym z tego nie skorzystał i nie umówił się co do jutrzejszego czwartku, gdy ona ma wychodną. Musi jej szepnąć o jutrze i upewnić się, że czeka na niego.

Gdy już byli na schodach, zawołał nagle Poluś:

— Zapomniałem rękawiczek... zaraz wrócę panowie!

Wbiegł na salę, a widząc Wandzię pod oknem, podszedł ku niej.

— Wandziu, jutro o jedenastej tutaj? Czy pamiętasz?

— Jutro? Nie, nie mogę, ciocia moja przyjeżdża, muszę z nią zostać.

Niemile dotknęło Polusia słowo „ciocia“, a jeszcze więcej odmowa.

— Możesz przecież znaleźć wymówkę, ciocia poczeka — tłumaczył.

— O, pan nie zna mojej cioci, ona bardzo surowa... nie, nie mogę. Przyjdź pan do nas w tych dniach, może się jakoś uwolnię.

— Nie kiedyś, ale jutro.

— Powiedziałam raz już, że nie, to nie... idź pan, bo wpadnie tu baron, zobaczy gruchającą parę gołąbków i wyśmieje nas... idź pan.

— Ha, jeśli nie, to nie — odwrócił się z dumą i szybko wyszedł.

— Kuzynie, a rękawiczki? — spytał hrabia stojący na chodniku.

— Znalazłem.

— A umowę z Wandzią już pan umówił? — zaśmiał się Strzyżowski.

— Nawet jej nie spotkałem — wzruszył ramionami.

W czasie jazdy dorożką do Sans-Souci Poluś był wbrew swej woli chmurny i bez humoru. Że Wandzia nie może jutro z nim pojechać, już się z tem pogodził, ale co za dziwny zbieg okoliczności, że i on i Wandzia mają ciotki, takie surowe, bezwzględne, cnotliwe... A może to prognostyk jakiś, może i jego ciotka przyjedzie... ale nie, to niemożliwe... w tak daleką i uciążliwą drogę ciotka nigdy, za nic się nie puści.

Dojechali i wybrali stół najbliższy Alei Ujazdowskiej.

— Wiecie panowie, straszliwe gorąco — przemówił Strzyżowski, ocierając czoło i łysinę — a zmęczył nas ten Halusiński... możeby coś na ochłodę... chyba napiję się wody sodowej.

— Cóż znów — zawołał Poluś — woda szkodzi po obiedzie, napijemy się wina, bo istotnie gorąco. Hm... ale jakiego?

— Jeśli idzie o ochłodzenie — doradzał hrabia, wkładając monokl — to tylko szampan.

— To samo myślałem, — pospieszył Poluś i przechodzącemu garsonowi wydał polecenie.

Przy winie, Strzyżowski opowiedział jedną anegdotę, natychmiast posypały się inne. Opowiadano rozbawionemu Polusiowi stare koncepta i dowcipy warszawskie, podstawiając naturalnie siebie jako autorów, tak, że Poluś zaśmiewając się, uważał swych trzech towarzyszy, za najdowcipniejszych ludzi na świecie.

Nagle hrabia, robiąc poważną minę, rzekł:

— Baronie... uważaj... hrabia Potocki jedzie powozem.

I hrabia i baron powstali i z wielkim szacunkiem ukłonili się jadącemu panu, otrzymawszy ukłon wzajemny.

Kolejno przejeżdżali Alejami Ujazdowskimi różni hrabiowie, książęta, margrabiowie, ambasadorowie, których znał bądź to baron, bądź hrabia.

Rozmawiano o pałacach, przyjęciach, balach, polowaniach...

Przy rozmowie, kawach i likierach, czas upływał szybko i ani się spostrzegli, że zbliżył się już wieczór.

— Panowie, czas do domu — rzekł hrabia, wstając z krzesła.

— Szkoda, że musimy się rozłączyć — westchnął Strzyżowski — tak było wesoło i przyjemnie.

— Hm... a gdybyśmy się zeszli w teatrzyku jakim? — zaproponował baron.

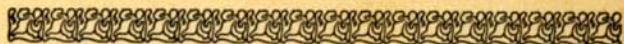
— Tak, to będzie najlepiej — zawołał podniecony i rozweselony Poluś — wezmę łożę i cały wieczór przepędzimy jeszcze razem.

— Chyba, że kuzyn weźmie łożę, bo nie lubię fotelów — rzekł hrabia z niesmakiem.

— Ależ łożę, łożę... a gdzie się spotkamy?

— Pocóż mamy się rozłączać, gdy nam dobrze razem — uśmiechnął się baron i usiadł na dawnym miejscu — wypijemy jeszcze po kawie i razem pojedziemy do teatru.

Wszyscy zgodzili się, że pomysł ten jest doskonały i zabawa trwała dalej.



VII.

W piątek przed południem Poluś włożywszy obie ręce w kieszenie spodni, mierzył równymi krokami swój pokój, zasepiony, z głową spuszczoną.

Na stole przed kanapką leżał otwarty pugilares, a obok kupka monet złotych i srebrnych.

Polusia opadły myśli gorzkie i przykre.

Cały tydzień siedzi w Warszawie i co za rezultat? Zostało mu osiemdziesiąt rubli z pięciuset, które przywiózł... Wprawdzie kupił dwa ubrania, z tych jedno nieszczęśliwe, bo wyszło z mody... ma kapelusz, rękawiczki, buciki, parę drobnostek, ale na to stracił czterysta rubli... I żeby przynajmniej użył przyjemności, rozkoszy, żeby żył szeroko, hulaszczco... Ale i to nie, raz był w teatrze Wielkim, a następnie w teatrzykach, w których przy podnieceniu trunkami, mało co widział, słyszał i rozumiał...

I ta głupia przygoda z Halusińskim, tak kompromitująca go i poniżająca... Gdyby przynajmniej

skończyła się była pojedynkiem... krwawem zadośćuczynieniem... ale ten kupczyk nie tylko odmówił pojedynku, ale śmiał nazwać, jak na drwiny, całe zajście „bagatelą!“ „drobnostką!“... dobra mi bagatela i drobnostka podnieść rękę na szlachcica, znieważyć go publicznie.

Gdyby się to rozgłosiło na Ukrainie, niktby mu ręki nie podał, on nie śmiałby oczu nigdzie pokazać; ani myśleć wówczas o Berezowiczówniej...

A może on wybrał złych sekundantów!?

Jednak taki hrabia, który na każdym kroku objawia tyle taktu, doświadczenia... Hrabia, napewno według wszelkich prawideł honoru był wzorowym sekundantem, tylko ten Halusiński, obrzydliwy kupczyk, stchórzył, zląkł się i nie przyjął pojedynku...

— Ach, gdyby to było na Ukrainie! Takiego łajdaka, napadającego szlachcica, kazałby związać parobkom i wsypać mu publicznie sto batów!... Aż się uśmiechnął do tej myśli.

Wtem spojrzał na stół, na leżące pieniądze... Co tu zrobić, jeśli ciotka nie przysła pieniędzy? Hotel niezapałony, na bilet kolejowy nie ma, a wydatki nie czekają, co chwila płac i płac... gdzie tylko się ruszy, zaraz ręką sięgnij do kieszeni... Już lepsza wieś, nie potrzebuje o nic się troszczyć, wszystko jest w swoim czasie zrobione, podane... No, i jak jego tam szanują, uważają, pilnują... Tam on robi łaskę kobietom lub dziewczętom, gdy na nie spojrzy, do nich przemówi, zażartuje, a tu w tej

Warszawie, nawet taka usługująca, taka pokojówka, jak Wandzia, udaje panią, każe sobie nadszkakiwać, płacić, prosić i w dodatku nie dotrzymuje przyrzeczenia, bo niby ciotka przyjechała, naturalnie skłamała, oszukała go... podła!

— A niech dyabli wezmą tę Warszawę! — zaklął półgłosem.

Gdyby miał pieniądze, wyjechałby dziś na Ukrainę, ma już dosyć tej Warszawy. Dziś? Ej, nie... dziś nie mógłby wyjechać, nawet jutro nie może, gdyż zaprosił na jutro, sobotę, hrabiego i barona na podwieczorek ukraiński... Wprawdzie zapraszając ich, był podniecony cokolwiek, ale bądź co bądź, zaprosił i oni obiecali przyjść. Nowy wydatek, bo trzeba wina, szampana, owoców! nie może przecież przyjąć takich panów szynką i chlebem... Nie wypada, i co powiedziałyby o nim hrabia, gdy przyjedzie na Ukrainę!?

Musi jednak zajrzeć do walizy, może tam wszystko pogniło, zepsuło się...

Otworzył, wyjął szynkę, owiniętą kilkakrotnie w kawałek płótna, przepojonego roztworem soli... cała, smaczna, pachnie doskonale. Zdjęła go ochota pokosztować, wyjął scyzoryk, odkroił kawałek, zjadł, smakowała mu.

I poledwica, półgęski, kielbasa, wszystko w dobrym stanie, nawet nie stłukły się kamienne słodki z konfiturami, tylko chleb zczerstwiał zupełnie i masło zalatuje nieprzyjemnym tłuszczem.

Podwieczorek będzie dobry i smaczny, byle baron przyszedł, gdyż wyraził pewną wątpliwość z powodu przyjazdu swych sąsiadek, pani Sabiny i jej siostry, panny Ireny... Z opisu Irena podobna do Berezowiczówny... no, ale on nie myśli zalecać się do niej... po co mu zatargi z baronem? zresztą one przejezdne, szlachecianki, a z takimi trzeba się mieć na ostrożności...

Naprawdę, to i te Warszawianki nie są tak pochopne do romansów... Jest już tydzień cały... próbował z Halusińską, z Wandzią i jakoś nie idzie...

Zapachniała mu szynka, znów ukroił i właśnie włożył do ust, gdy po lekkim zapukaniu otworzyły się drzwi, wszedł pan Sopotkiewicz.

— Dzień dobry; a, sąsiad przy śniadaniu — zaśmiał się cicho — dobrego apetytu... proszę kończyć, nie przeszkadzam.

Poluś zaczerwieniony połknął z wysiłkiem kawałek szynki, który miał w ustach; trzymaną w rękę rzucił na leżącą na stole szynkę i szybko sprząając, mówił zmieszany:

— Moje uszanowanie panu dobrodziejowi... przepraszam za nieporządek... ale tak, jakoś...

— Nic nie szkodzi sąsiedzie — uśmiechnął się gość z wyrozumiałością, rozbierając się z paltota, — widać zaraz, że pan z dobrego gniazda, co to pieniądz jest; ale oszczędność także... to lubię.

Poluś zbliżył się, chcąc mu pomódz zdjąć paltó:

— Pan dobrodziej pozwoli...

— Sam zdejme, dziękuję — i podał rękę do uścisku — jakże zdrowie?

— Dziękuję... niechże pan dobrodziej siada... prawdziwy to zaszczyt dla mnie.

— No, no, — uśmiechnął się, idąc do kanapki, cóż chcesz sąsiedzie? Ukrainiec do Ukrainca przyjdzie, chociażby morza dzieliły.

— Jestem bardzo wdzięczny... może pan dobrodziej pozwoli papierosa?

— I owszem — a gdy Poluś podawał zapałki, — hm... dobrze u sąsiada, pieniądze na stole...

— Rachowałem — bąknął, chowając pieniądze.

— O, to dobrze — i rozsiadł się na kanapce — zawsze z rachunkiem... zawsze. Niestety, my szlachta uczymy się tego dopiero w mieście, gdzie z grosza się żyje, a za wszystko płac.

— Istotnie, Warszawa jest droga.

— Szalenie, jeśli się hula — uśmiechnął się po błazliwie — ale żyjąc z kredką w rękę, wyjść można obronnie. Hm... pokój dobry... ile też płaci sąsiad?

— Pięć rubli dziennie.

— O, to drogo, bardzo drogo, ale taka już nasza ukraińska natura — westchnął — lubimy wygodę, komfort... cóż robić? tak przyzwyczailiśmy się żyć w naszych dworach... Cóż pan robił dzisiaj?

— Ja?... Zjadłem śniadanie pierwsze w hotelu, potem przeszedłem się trochę...

— Pewno za sprawunkami... o, bo my bez sprawunków nie obchodzimy się.

— Tak, zrobiłem małe zakupy i wróciłem do domu — mówił Poluś, a spostrzegłszy, że nie schował połędwicy, wstał szybko i wrzucił ją dowlazy.

— Niepotrzebnie sąsiad porządkuje — zaśmiał się głośno — przecież mieszkasz po kawalersku... a może i przyjmujesz tu panie?

— Ja? Nie, nigdy!

— Ano, wzorowy z sąsiada młodzieniec... a o której sąsiad wstaje, pewno raniutko po gospodarstwu.

— Jak czasem... a pan dobrodziej?

— Ja prowadzę życie regularne, według zegarka. O siódmej wstaję w lecie, idę do Saskiego na Vichy — a spostrzegłszy zdziwioną minę, — to woda taka. Piję z porady doktora mego, bo wie sąsiad, czasem mi się odbija... coś z żołądkiem się robi — dotknął brzucha białą, z pierścionkami ręką.

— O, to źle, — zauważył Poluś ze współczuciem.

— Tak źle nie jest — zaprotestował gość i wpatrując się w Polusia — tylko piję tę wodę, jako środek ochronny.

— Tak, to co innego — udał Poluś, że zrozumiał o co idzie.

— To kuracya, że tak powiem, przedwstępna... a w lipcu jadę do wód, do żony i córki, na kilka tygodni.

— Nikt nie uwierzyłby — rzekł Poluś — aby pan dobrodziej był niezdrow, wygląda pan dosko-

nale — i wpatrzył się w dość pulchną twarz gościa, przerznątą kilku grubemi zmarszczkami.

— Bo też i zdrow jestem — uśmiechnął się zadowolaniem — tylko dbam o przyszłość.

— Rozumiem... Hm... a po napiciu się tej wody, co robi pan dobrodziej?

— Posłucham muzyki w Saskim i do domu na śniadanie... znów spacer w Aleje Ujazdowskie, potem obiad, trochę się zdrzemnę i wieczorem wint.

— Często grywa pan dobrodziej?

— Jest nas czterech partnerów, u każdego raz na tydzień schodzimy się... właśnie jutro, w sobotę, u mnie... może sąsiad przyjdzie?

— Jutro? Niezmiernie żałuję, ale zaprosiłem na jutro do siebie znajomych...

— Kogo, jeśli wolno zapytać?

— Hrabiego Krasnojarskiego i barona Morena...

— Tak?... Pytałem się o Krasnojarskiego, nikt go nie zna...

— A jednak na moje pytanie on odpowiedział, że istotnie jego babka była córką Pawła Jemiolkiewicza.

— W takim razie on powinowaty... a w jakimże on wieku?

— Trochę starszy odemnie... o dwa, trzy lata.

— To młody człowiek, no, a baron Moren?

— Mniej więcej w tym samym wieku.

— Dopiero musicie hulać, jak się zejdziecie — zaśmiał się.

— O nie! Hrabia jest bardzo moralny.

— No, a sąsiad? co?

— Boję się Warszawianek.

— Głupstwo, byle ostrożnie... ale, ale, czytałeś sąsiad dzisiejszego *Porannego*? Doskonała historia... zabawna... — śmiał się — o pewnym donżuanie, który umizgał się do cudzej żony.

— Nie, nie czytałem. — rzekł Poluś z uśmiechem — i dobra?

— Ale wyborna, i to tutaj w Europejskim się rozgrywała... chyba sąsiad wiesz o niej?

— Nie, nic nie wiem — odparł niepewnie, bo poczuł dziwny niepokój.

— A to muszę spytać portyera — zawołał wesoło gość.

— Przeczytam — bąknął Poluś.

— Ach prawda, mam przecież *Porannego* ze sobą — wstał, podszedł do wiszącego paltota, wyjął pismo i uśmiechnięty wrócił na kanapkę. Włożył binokle, rozwinął dziennik i zwrócił się do Polusia:

— Posłuchaj no sąsiad...

— „Ukarany donżuan“, to tytuł sąsiedzie, a teraz artykuł... a może sąsiad woli sam odczytać?

— Przeciwnie, panie dobrodzieju, będzie mi bardzo miło posłuchać... proszę, jeśli to nie utrudzi.

— Ależ nie, chętnie przeczytam po raz drugi, bo to taka zabawna historia... zaczynam sąsiedzie...

proszę posłuchać. — Odchrząknął, poprawił bino-
kwi i z uśmiechem na ustach grubych czytał:

— „Tyle razy nawoływaliśmy młodzież, by wzglę-
dem pań, idących samotnie, zachowywała się grze-
cznie, z godnością, nie narzucając się ze swemi
afektami i komplementami wątpliwej wartości...“

— przerwał odczytywanie i patrząc na Polusia mó-
wił: — Istotnie sąsiedzie, donżuanerya, to plaga
Warszawy... czy uwierzy sąsiad, że jakiś taki bru-
kotłuk zaczął raz prześladować moją żonę, musiała
wsiaść do doróżki... czemuż mnie tam nie było?
Dałbym mu amory — kończył groźnie, marszcząc
brwi.

— Jakto! — zawołał oburzony Poluś — ktoś
śmiał ubliżyć pani dobrodziejce Sopotkiewiczowej,
ależ to niesłychane zuchwalstwo.

— A jednak tak było sąsiedzie, i od tego czasu
jestem nieubłagany dla donżuanów i jeśli spo-
strzegę coś takiego, zaraz na niego z góry... ale ten
dostał porządną nauczkę. Posłuchaj sąsiedzie...

Podniósł w górę dziennik i czytał:

— „Obecnie mamy do zanotowania fakt, jak się
karze i jak powinno się karać podobne niemoralne
wybryki młodzieży. Historia jest taka. Przed kilku
dniami przyjechał z dalszych stron młody czło-
wiek, nazwijmy go pan X., chociaż znamy nazwi-
sko i w danym razie możemy ogłosić“. — Uważa
sąsiad tę pogróżkę, co?

— Tak jest.

— Ho, ho, prasa, to potęga, a wydrukowanie ta-
kiej historii jak ta, może mi wierzyć sąsiad, że
poskutkuje i bardzo nawet. Czytam dalej:

— „Na ulicy Marszałkowskiej ujrzał on idącą
samotnie kobietę, w biały dzień, przed godziną
czwartą; była to żona znanego i ogólnie szanowa-
nego przemysłowca, nazwijcie go panem Y., cho-
ciaż nazwisko wiemy. Nasz wiejski donżuan p. X.
nuż w podrygi, zalecanki, spojrzenia, czułe słówka...
zwykła taktyka tego rodzaju głupców“. A co, ten
mu napisał prawdę! — zaśmiał się gość i spojrzał
na Polusia — cóż mi się sąsiad tak przypatruje
ze zdziwieniem? co?

— Ależ nic, nic panie dobrodzieju, ja słucham
— zawołał zaczerwieniony, gdyż mgliste, poprzednie
obawy, przy wymienieniu ulicy Marszałkowskiej
znów ożyły w słuchaczu.

Sopotkiewicz zapalił papierosa, zaciągnął się dy-
mem i rozparłszy się, odchrząknawszy, czytał:

— „Pani Y., widząc się samotną, bez obrony
przed brutalnością donżuana, przyspiesza kroku
i przerażona bezczelnością pana X., chroni się do
swego domu, na szczęście nieopodal stojącego.
Nasz donżuan jest tak bezczelny, że posyła głupio
napisany bilecik (mamy go w redakcyi), do pani
Y., wyznaczając godzinę i miejsce schadzki“. Ależ
był głupi — zaśmiał się gość — posyła czuły bi-
lecik do nieznamomej kobiety, i w dodatku, jak tu

piszą, „głupio napisany“, cha, cha, cha, ależ głupi!... Czytajmy dalej, to część najzabawniejsza:

— „I schadzka przyszła do skutku, tylko zamiast pani Y., stawił się pan Y. z laską w rękę“... A co? — śmiał się — chciałbym widzieć minę tego durnia, gdy wchodzi mąż, a on, ten donżuan, zapewne rozpromieniony, na stole wino, ciastka, kwiaty, a tu... Cóż to sąsiadowi? — spytał z pewnem zaniepokojeniem — tak sąsiad się zmienił? zbladł? możeby wody? octu?

— Nie, nie, dziękuję... nic mi nie jest... to z gorąca...

— Istotnie, nam, Ukraińcom, powietrze warszawskie nie służy na razie, trzeba się przyzwyczaić... Cóż, jakże się pan czuje?

— Ależ dobrze... nic mi nie brak, proszę, czytaj pan, jeśli laska.

— Już kończę, teraz sąsiad się uśmieje z tego błazna... „Co się stało i działo na schodach, nie wiemy dokładnie, ale niefortunny donżuan bez kapelusza, ze stłuczonym monoklem...

— To podłość... kłamstwo! — wybuchnął Poluś wzburzony.

— Co? Ależ tak wydrukowano i posłuchaj sąsiad: „bez kapelusza, ze stłuczonym monoklem zmykał po schodach hotelu Europejskiego, przez bramę, ulicę, popędzany kijem przez słusznie obrażonego męża, aż wpadł do cukierni Loursa. Tu dopiero służba wstrzymała rozgniewanego pana Y.

Zapewne temu panu X. odechce się raz na zawsze zaczepiać uczciwe kobiety, a innym donżuanom, których, niestety, nie brak w naszym mieście, podajemy tę prawdziwą i autentyczną historję, jako naukę i przestrożę“. Skończyłem... A co, sąsiedzie? dostał! Ha, ha, ha! czemuż mnie nie było, jak on tak zmykał po ulicy, do cukierni. Ależ sąsiad zmieniony?! nawet nie śmieje się z tej zabawnej przygody!?

— Owszem, owszem, bardzo to śmieszne — rzekł Poluś, ale mimo wysiłków, nie umiał wywołać uśmiechu na swej smutnej i przygnębionej twarzy.

— To dziwne — prawil gość dalej — że sąsiad tu w hotelu nic o tem nie wie?

— A może to bajka? wymysł? — ratował się Poluś w rozpacz.

— Zapytam się portyera... a swoją drogą niech i sąsiad rozpyta się tutaj, przecież warto poznać tego gagatka.

— Pan dobrodziej spyta się portyera? — zawołał Poluś przerażony.

— Dlaczegoż nie? Jestem ciekawy...

— Ale... jednak... gdyby... — mieszał się Poluś z nieszczęśliwym wyrazem twarzy — gdybym prosił... bardzo prosił...

— O co, sąsiedzie? — spytał zastraszony gość, sądząc, że Poluś niespełna zmysłów.

— Otóż prosiłbym... aby pan dobrodziej był tak łaskaw i nie pytał o nic portyera... ja sam opo-

wiem... wszystko powiem, jak na spowiedzi, bo ja bardzo szanuję pana dobrodzieja — kończył, wstał z krzesła i chciał ucałować ramię gościa.

Ten sądząc, że Poluś dostał jakiegoś napadu gorączki, zachnął się, wstał i odsuwając Polusia lewą ręką, przemówił łagodnie:

— Ależ sąsiedzie, cóż znów za ceregiele... tylko spokojnie... poważnie... bez uniesień... Nic nie rozumiem, o co idzie? po co prośba? portyer? co to znaczy?

— Niechże pan dobrodziej siada — prosił Poluś z pokorą — i proszę mnie wysłuchać spokojnie, uważnie...

— Hm... no, dobrze... — mówił z pewnem zakłopotaniem — ale niech i sąsiad usiedzie... tu naprzeciw... i pogadajmy rozsądnie.

Usiedli. Sopotkiewicz, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka, przypatrywał się badawczo Polusiowi, który siedział wyprostowany, ze spuszczonei oczami, mnąc ręce niespokojnie.

— Zatem do rzeczy, sąsiedzie — zachęcał gość.

— Kiedy to tak trudno — bąknął Poluś, który sobie uprzytomnił, iż oddaje się na łaskę i niełaskę Sopotkiewicza. A jeśli on rozpowie? napisze do marszałka? Struchlał na tę myśl. Lecz gdy zpów dowie się od portyera, będzie gorzej, zatem lepiej powiedzieć samemu... co będzie, to będzie, ale przynajmniej sam rzecz wyłoży.

— Ależ to między swoimi, sąsiedzie, byle szczerze... no, słucham — i zlekka pochylił się w stronę Polusia.

— Hm... hm... to było tak... Wyszedłszy od pana dobrodzieja we wtorek w południe, spotkałem na ulicy ładną, młodą kobietę — wstrzymał się.

— No, tych nie brak w Warszawie — uśmiechnął się — cóż dalej?... Pewno zaczepił ją sąsiad? Co?

— Niestety! — westchnął Poluś.

— Nieszczęścia znów niema, to każdemu z nas się przytrafia... tedy...

— Napisałem do niej bilecik...

— Aha... rozumiem... — mruknął Sopotkiewicz i poddał gospodarza szczegółowemu egzaminowi, patrząc nań bardzo ciekawie.

— Mąż widocznie pochwycił... i... przyszedł do mnie...

— Aha, to tak? No, no, tegom się najmniej spodziewał — mówił, siłąc się na powagę wobec smutnej miny Polusia i przypominając sobie szczegóły z *Porannego*.

— Ale to kłamstwo bezczelne — ożywił się Poluś — o tym stłuczonym monoklu... oto jest... cały.

— Hm... nie w tem rzecz — zaczął gość zwolna — idzie o pobicie... jakże to było? Tylko szczerze.

— Spotkał mnie na schodach, pobiliśmy się, ale nie chcąc robić hałasu w hotelu, na schodach, zeszedłem na dół...

— Hm... hm... a on za sąsiadem? — spytał, patrząc badawczo w oczy.

— No, tak... on się odgrażał za mną... i aby się go pozbyć, wstąpiłem do Loursa.

— Czasem te gazety przesadzają, wiadoma rzecz — i odpędzał z głowy natrętą muchę — hm... cóż sąsiad zrobiłeś, bo miałeś już dosyć czasu... — spytał, a w głosie czuć było podejrzliwość.

— Ja?... Zaraz nazajutrz posłałem mu sekundantów.

— To dobrze, bardzo dobrze, to po szlachecku, tak lubię — uśmiechnął się przyjaźnie — no i co dalej?

— On oświadczył, że nie chce się pojedynkować — odpowiedział, spuszczając oczy.

— Ależ to oburzające! — zawołał, zerwawszy się z kanapki -- to niemożliwe! Po takiej obeldze... Nie, on musi się pojedynkować!

— Jednak nie chce.

— Ale cóż mówi wreszcie?

— Że o taką drobnostkę nie myśli narażać życia.

— Więc go spoliczkować publicznie i zmusić... Któż on taki?

— Halusiński, fabrykant cukierków.

— Hm... mieszczuch, kupczyk... ale w każdym razie po takiej awanturze, rozgłoszonej w pismach, on musi przyjąć pojedynek... Cóż będzie z naszą opinią, gdy lada łyk obije i odmówi wszelkiej satysfakcji?

— Istotnie, sam czuję, że położenie jest fatalne... ale co mam robić?

Sopotkiewicz, założywszy w tył ręce, spacerował po pokoju, wreszcie stanął przed Polusiem, pytając:

— Kto byli sekundanci?

— Hrabia Krasnojarski i pan Strzyżowski.

— Hm... hm... a protokół spisali?

— Nie było z kim, bo nie chce wyznaczyć swoich sekundantów.

— Więc niech sam podpisze — zawołał porywczo — wybrałeś sąsiad marnych sekundantów, nie umieli poprowadzić, załatwić... Czemuż do mnie sąsiad się nie udał?

— Nie śmiałem.

— Ależ w takim razie, gdzie idzie o honor nas wszystkich, nie można się wahać.

Znów chodził zamyślony po pokoju i opierając się na stole, rzekł:

— Tu trzeba coś radzić, tego nie można puścić płazem... taki kupczyk z za lady podniósł rękę na szlachcica, do czegoż to dojdzie?

— Zastosuję się zupełnie do rady pana dobrodzieja — odpowiedział Poluś, kłaniając się w stronę Sopotkiewicza.

Ten przystąpił tuż blisko i patrząc w oczy Polusia, rzekł dobitnym głosem:

— Sąsiedzie, a nie cofniesz się przed pojedynek? choćby najostrożniejszym?

— Ależ nie, nigdy, daję słowo szlacheckie — odpowiedział bardzo szczerze — i zdaje mi się, że niczem nie zasłużyłem na podobne podejrzenie.

— No, no, przepraszam cię sąsiedzie; — podałem rękę do uścisku — ale zawiodłem się na jednym młodym, a może sąsiad go zna? Niejaki Orzechowski.

— Spotkałem się z nim na stacyi w Krystynówce.

— Hm... otóż on, uważasz sąsiedzie, goni dwie panie po ulicy, coś jak sąsiad... One wchodzą do gabinetu Müllera, on za nimi. Tam są dwaj panowie, proszą, by wyszedł, on nie chce... no i awantura, rzuca im swój bilet, a oni go przemocą wypraszają... Zatem pojedynek, prosi mnie na sekundanta, idę... Warunki bardzo ostre... uwzięli się. Widzę, że mój Orzechowski ma gęsią skórę, nowe pertraktacye, wreszcie załagodziłem, połatałem jakoś, przeprosił panie, panów, wymówił się podchmieleniem, no i jakoś poszło, wprawdzie kulawo, marnie, ale załagodziło się.

— A on się tak przechwalał — zrobił Poluś uwagę.

— Im większy tchórz, tem więcej przechwałek... toż wiadomo. Ale wracając do sprawy... sąsiad się teraz nie dziwi moim wątpliwościom?

— Ja się nie chwale, ale przez chustkę będę się z tym łotrem strzelał — zawołał ze szczerem zapalem.

— To lubię, to dobrze, już ja się podejmę tej

sprawy i rękę sąsiadowi, że doprowadzę do pomyslnego rozwiązania.

— Byłbym niezmiernie wdzięczny.

— Ja to rozumiem i współczuję z sąsiadem... Sprawa musi być załatwiona honorowo, tu przecież idzie o całą Ukrainę!

— Dlatego też — zaczął Poluś pokornie, tonem prośby — gorąco proszę i zaklinam pana dobrodzieja, by wiadomość o mojej przygodzie nie przeszła zawczasie na Ukrainę.

— Za kogóż mnie masz sąsiedzie! — oburzył się Sopotkiewicz, stając przed nim — czy ja stara baba? plotkarka? Odemnie nikt słowa nie posłysz, ale tego nie ukrywam, że gdy *Poranny* umieścił, ludzie będą gadali o tobie i napewno gadają. Już ja sam, chociaż nie grzeszę ciekawością, chciałem pytać portyera o nazwisko... hm... pewno i inni się znajdują... na to nie poradzimy, ani sąsiad, ani ja. Jedyne wyjście — honorowe załatwienie sprawy, ot co!

— I ja jestem tego zdania — skłonił się Poluś z uznaniem.

Nastało milczenie. Poluś stał jak winowajca, wzdając oczyma za spacerującym po pokoju Sopotkiewiczem, który to spuszczał, to podnosił głowę, uderzając od czasu do czasu ręką o rękę, a na twarzy jego długiej, zazwyczaj pogodnej, było widać pracę myśli.

Wreszcie stanął na środku pokoju i gestykułując prawą ręką, przemówił:

— Już obmyśliłem sąsiedzie. Dziś na piątą godzinę poproszę pana Korbowskiego, człowiek bogaty, szlachcic, kamienicznik, a mój partner winta. Poproszę, by mi towarzyszył jako drugi sekundant, sądzę, że nie odmówi. Jednak przyjdź i pan, trzeba zachować formy i pan go poprosi także.

— Bardzo chętnie.

— No, i pójdziemy do tego... jakże on się nazywa?

— Halusiński — pospieszył Poluś.

— Zatem do Halusińskiego... zobaczymy, czy nam odmówi? — kończył z dumnym uśmiechem — bo uważa sąsiad, co innego młokosy, a co innego ludzie poważni, znani...

— Niezmiernie jestem obowiązany panu dobrodziejowi... pan prawdziwy nasz Nestor i opiekun.

Słowa te pogłaskały go przyjemnie, bo uśmiechnął się przyjaźnie:

— Komplementa na później... a teraz idę do domu... o piątej czekam.

— Będę niezawodnie... będę — i pomógł ubrać się w palto gościowi, przeprowadzając go do schodów.

Wrócił do swego pokoju wesóły, uspokojony, uśmiechnięty. Cieszyła go pewność załatwienia drażliwej sprawy, a jeszcze więcej, że w razie nie-

powodzenia z Halusińskim, zasłoni się wobec wszystkich powagą Sopotkiewicza.

Ach, to był genialny pomysł, owo przyznanie się Sopotkiewiczowi! Cała teraz odpowiedzialność spadnie nie na niego, ale na sekundanta.

Pojedynekować się będzie chętnie, to mu nawet doda uroku wobec innych sąsiadów, sąsiadek i w oczach Berezowiczówny.

Dopiero zdziwi się hrabia, że Halusiński przyjął pojedynek i napewno nie pozwoli sobie ten kupczyk wobec Sopotkiewicza nazwać swego brutalnego znalezienia się „drobnostką!“ „bagatelą!“

Jednak ten Sopotkiewicz musi się po cichu sam puszczać na łobuzerkę, taki był wyrozumiały, ani słowa nie wspomniał o moralnej stronie całej sprawy... wziął ją czysto z punktu honorowego... I twardy z niego szlachcic, zrozumiał odrazu doniosłość podobnej śmiałości łyka. Ho, ho, to niezwykle człowiek!

Ach, gdyby tu była ciotka teraz, cóżby to było gniewu, nauk, gderania! I w jakim to celu wszystko?

Przecież takiemu Sopotkiewiczowi, nikt, nic, zarzucić nie może, a jednak on nic nie wspomniał, czy wypadało zaczepiać tę kobietę, pisać bilecik, prosić do siebie...

Wyszedł na obiad, który mu niezwykle dobrze smakował, wstąpił na kawę do innej cukierni, Loursa bowiem unikał od czasu awantury, wesóły,

swobodny, nuąc fałszywie jakąś aryjkę zasłyszaną. Kazał dorożkarzowi zawieźć się do Sopotkiewicza.

Szybko wbiegł po schodach, zadzwonił i spytał służącej:

— Pan Sopotkiewicz w domu?

— Czeka na pana w salonie.

Wszedłszy z ciemnego pokoju do jasnego salonu, na razie nic nie dojrzał, prócz fortepianu i kilku fotelików z lewej strony i wprost przed nim wielkie lustro pomiędzy oknami.

— Dobry wieczór sąsiedzie — odezwał się gospodarz z prawej strony i szedł na powitanie gościa.

— Moje uszanowanie — skłonił się Poluś nisko i z szacunkiem uściśnął podaną rękę.

— Proszę bliżej... My tu z radcą w kąciku pijemy herbatę... może i sąsiad pozwoli...

— Bardzo dziękuję.

— Pan Apoloniusz Ślepowron Jemiołkiewicz... pan radca Korbowski.

Z głębi wygodnego fotelu podniósł się do połowy pulchny, okrągły, mocno szpakowaty radca i z uśmiechem dobrotliwym podał rękę, mrucząc coś niewyraźnego pod nosem.

— Niechże sąsiad siada... proszę — i podszedłszy do przedpokoju, zawołał: — Kasiu, Kasiu, jeszcze szklanek herbaty.

— Zaraz... zaraz — odkrzyknął głos gderliwy.

— A pan z których stron? — spytał radca.

— Z humańskiego.

— Nie byłem tam... ja panie urodzony, co prawda, w gubernii kijowskiej, ale od lat trzydziestu mieszkam w Warszawie.

— I dobrze zrobiłeś radco — rzekł gospodarz, podchodząc do stolika — bo i kamień na miejscu porasta, no i chwała Bogu, radcy dobrze się wie dzie.

— Nie narzekam — uśmiechnął się — jakoś Pan Bóg poszczęścił... mam kamieniczkę i kapitalik.

— Kamienicę, powiedz radca i to na ulicy Marszałkowskiej... ma przyszłość przed sobą.

— A tak, tak, dziewięć okien frontowych, no i pustką nie stoi...

— Musi mieć jednak radca kłopot z lokatorami... sąsiedzie papierosa?

— Dziękuję, dziękuję...

— Żadnego kłopotu, nie znam ich, nie bywam aby nie spoufalać... stróż roznosi kwity, a przynosi komorne — mówiąc to, oparł się wygodniej.

Z ubrania, z ruchów, z wyglądu, z wyrazu twarzy radcy promieniał spokojny, niezachwiany dobrobyt i płynęła zeń dobroduszość i jowialność w uśmiechu i spojrzeniu.

Służąca wniosła herbatę, a w chwili gdy Poluś pić zaczął, przemówił gospodarz:

— Czekałem sąsiedzie na ciebie, by wyjaśnić radcy całą sprawę, gdyż jeśli się zgodzi na współdziałanie, musi w pierw wiedzieć, o co idzie...

— A ja słucham — uśmiechnął się radca błogo, — i przyznam się, że mnie zaintrygowało zapro-

szenie pana o tak niezwykłej porze, bo do winta jeszcze dwie godziny.

— Może sąsiad opowie? — spytał gospodarz, zapalając papierosa.

— Jeśli pan dobrodziej zechciałby sprawę wyjaśnić, byłbym wdzięczny — odpowiedział Poluś, spuszczając oczy.

— Hm... hm... Jak radca widzi, sąsiad jest młody człowiek...

Radca spojrzął bacznie na zmieszanego Polusia, i skinął głową łaskawie.

— Otóż... radca rozumie, przecie, krew nie woda, — zaśmiał się. — Dojrzał młody sąsiad kobietkę na ulicy.

— Ho, ho — uśmiechnął się radca — szybko pan jedzie, ale młody... saluto koguto! — śmiał się głośno — cóż tedy?

— Spojrzał na nią, uśmiechnął się, może i powiedział słodkie słówko... radca wie...

— Wiedziałem, wiedziałem kiedyś — zaśmiał się — ale dziś inwalida.

— Wolne żarty radco, nie obmawiaj siebie i mnie przed sąsiadem — uśmiechnął się.

— Pan młodszy, a mnie po piątym.

— Kilka lat nie stanowi różnicy w naszym wieku... otóż sąsiad posłał bilecik do tej damy, wyznaczając schadzke...

— O, ostro pan jedzie... ostro, a to niebezpie-

czne, można się wywrócić, kości potłuc... nieostrożność.

— Ot co, i ja to mówię — zawołał gospodarz, mrugając porozumiewawczo do radcy.

— Jakiż był rezultat? — spytał radca z ozywieniem — bo to najciekawsze... Ja panie, jeśli znam koniec powieści, książkę rzucam... Hm... a więc, czy Numa poszła za Pompiliusza?

— Zaraz radco... zaraz... tym razem mąż wdał się niepotrzebnie w całą sprawę. Gdyby ona była bilet zniszczyła, nie powiedziała mężowi... historia skończyłaby się na niczem.

— No, tak, zapewne... ale z drugiej strony, to godna kobieta, dobra żona... Przyszedł tedy mąż, i co zrobił?

— Teraz radco rzecz najważniejsza — i spojrzął na zarumienionego Polusia — mąż zamiast żądać wyjaśnienia, stanąć z bronią w rękę w obronie kobiety, pomścić krwią zniewagę, że piękna kobieta podoba się innemu, nietylko mężowi; on postąpił sobie brutalnie, wstrętne, obrzydliwie... zrobił radco burdę karczemną.

— Hm... widać, że człowiek raptowny, niepohamowany i takiego trzeba nauczyć form... albo nie był szlachcicem — rzekł radca z niezwykłą powagą.

— I jedno i drugie — zapalał się Sopotkiewicz, gestykując żywo — a jako szczegół obciążający dodaję, że on wiedział o herbie i szlacheckim urodzeniu, bo bilet miał w rękę.

— Tak... tak... to ważna okoliczność... A właściwie, co ów mąż zrobił?

— Mówiłem radco — rzekł szybko gospodarz, — publicznie w Europejskim hotelu zrobił burdę karczemną.

— Ach więc to pan — spojrział z ciekawością i pewnego rodzaju zadowoleniem, jak po rozwiązaniu trudnej szarady — czytałem dzisiaj w *Po-rannym*... no, no, ktoby się był tego spodziewał, taki pan cichy, skromny.

— I jest takim w istocie — dodał szybko gospodarz — z dobrego gniazda, rachunkowy, oszczędny, chociaż bogaty.

— Wierzę, wierzę — uśmiechał się radca — ale cóż ja mam tu do roboty?

— Radco, podobnej obelgi wyrządzonej szlachcicowi, nie można darować, puścić płazem. Taki niemoralny przykład bywa zaraźliwy... Lada kupczyk, łyk, pokłóci się ze szlachcicem, wogóle z bogatym człowiekiem i zaraz weźmie się do kija. Cóż się stanie ze społeczeństwem? z porządkiem świata? z obyczajami naszymi? Człowiek nie będzie pewny dnia, ni godziny.

— Dużo w tem racyi... bardzo dużo — westchnął radca i popił herbaty — hm... zatem co pan radzi?

— Pojedynek musi się odbyć... taką obelgę szlachcic tylko krwią maże... czy nie tak radco?

— I moje zdanie jest takie — potwierdził radca poważnie — szlachcic powinien pamiętać o swoim

rodzie, dbać o herb, a jeśli mu kto ubliży, walczyć z bronią w rękę do ostatniej kropli krwi.

— Nie zawiodłem się na radcy — zawołał rozczulony gospodarz, ściskając jego rękę.

— Za kogóż mnie pan miałeś? — odpowiedział z wyrzutem w głosie — chociaż siedzę w mieście, ale nie przestałem być szlachcicem i czuć jak szlachcic.

— Wiem, wiem... zatem radca zechce być sekundantem? Ja i radca, co?

— Czyśmy nie za starzy?

— Tu zachodzi wyjątkowy wypadek — objaśniał gospodarz — sąsiad posłał mu sekundantów, ludzi młodych... ale ten przez tchórzostwo zapewne, nie chce przyjąć pojedynku... trzeba go zmusić, lub niech odwoła obelgę.

— Słusznie, słusznie, ja byłbym tylko za pojedynkiem... zrobiłeś burdę ze szlachcicem, masz za swoje... takie moje przekonanie.

— I moje radco — zawołał z uznaniem gospodarz.

— Niezmiernie jestem wdzięczny panie radco, — przemówił Poluś wzruszony — za ten zaszczyt, iż raczył pan przyjąć...

— Niema za co, panie, — odpowiedział radca pospiesznie — robię to dla pana i naszego czciwego gospodarza, tego nie przeczę, ale głównie idzie mi o zasadę i dobro powszechne. Jeśli tak dalej pójdzie, to lokator, który mi nie płaci, zrobi

mi burdę i kamienicznik z obawy nie ściągnie komornego od takiego urwisza, nicponia.

— Otóż w tem waga całej sprawy — zawołał gospodarz — radca natychmiast zrozumiał, w czym leży niebezpieczeństwo.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się radca:

— A nazwisko tego męża pięknej kobiety?

— Halusiński — rzekł Poluś.

— Co?... jak pan powiedział? — spytał z wyrazem niedowierzania.

— Halusiński, fabrykant cukierków.

— Ależ go znam — zawołał radca, prostując się w fotelu — to dobry lokator, płaci kwartalnie z góry, spokojny człowiek i ktoby się spodziewał? — załamał pulchne ręce.

— Czy on mieszka w kamienicy radcy? — spytał zaciekawiony gospodarz.

— Tak, w mojej, drugie piętro, numer sześć... więc to Halusiński?... Co prawda, powinszować panu gustu, ona ładna, szykowna kobietka — uśmiechnął się dobrodusznie.

— Cóż radco, pójdziemy? — spytał gospodarz z obawą w głosie.

— Już powiedziałem — zmarszczył brwi — na bok prywata, gdy idzie o cele publiczne... Więc to Halusiński! No, no, to dziwne, on taki uprzejmy, grzeczny, niewymagający lokator!...

— Zatem myśli radca, że dojdziemy z nim do ładu? co?

— Jestem prawie pewny, gdyż od dłuższego czasu zabiega koło mnie, abym mu oddał sklep frontowy na jego fabrykaty.

— Któryż to?

— Ten galanteryjny, ze składem w podwórzu... jeszcze się waham.

— Kiedyż radco pójdziemy? Możeby jutro?

— Jutro? Sobota?... to będzie trochę trudno... Wprawdzie ja nigdy nie byłem u nich, ale wiem, że w zwykły dzień wpada na obiad na krótko i zaraz wychodzi do sklepu... W tak ważnej sprawie nie wypada nam iść do sklepu, tylko do mieszkania... zatem w niedzielę, w południe pójdziemy do niego.

— Bardzo dobrze... w niedzielę będę u radcy około dwunastej.

— Czekam.

VIII.

— Może wystarczy, jaśnie panie — przemówił numerowy, wskazując na talerz pełny szynki.

Poluś, pod którego nadzorem przygotowywał numerowy podwieczorek ukraiński, spojrzął na talerz i rzekł:

— Dołoż jeszcze... my ze wsi, jesteśmy przyzwyczajeni do obfitości.

— To się rozumie, jaśnie panie — uśmiechnął się i krajał dalej.

— A teraz polędwicę i półgęsek — rozporządził Poluś.

— W tej chwili... czy nie obrzucić polędwicy kiełbasą?

— Można... tylko spiesz się, już blisko piąta, na dejdą goście.

— Będzie na czas, jaśnie panie — odpowiedział, nie przerywając roboty.

Poluś przeszedł się po pokoju raz i drugi, stanął przed stołem, mówiąc głośno:

— Dobrze... szynka jest... masło, bułki, chleb, dobrze... konfitury... słuchaj, niema u was maleńkich łyżeczek? co?

— Przyniosę, jaśnie panie...

— A jakie napitki? co myślisz? — spytał Poluś.

— Wódeczka, jak zwykle... po wędlinach możeby porter, mamy doskonały angielski oryginalny... a do owoców i konfitur już tylko wino...

— Wódka czysta, mocna i krople gorzkie, żołądkowe — powtórzył zasłyszaną dyspozycję barona.

— Słucham, jaśnie panie... a portera sześć butelek, bo małe...

— Niech będzie... wina dwie flaszki, węgryzna na średnią cenę... tak na rubla, trochę drożej.

— Jaśnie panie, niżej trzech rubli, to istna lura... znam się na tem.

— Ależ u was drogo...

— Jaśnie panie, gatunek płaci u nas tylko wyborowy towar.

— Naturalnie, dasz samowar.

— Słucham jaśnie panie... wiem, że wszystkie podwieczorek będzie prawdziwie pańki, możaby zaprosić najpierwsze damy — uśmiechnął się.

— Będą tylko panowie — rzekł tonem stanowczym.

— Zaraz przyniosę łyżeczki, kieliszki... i wiem już...

— Spiesz się — dodał Poluś.

Zapalił papierosa, przejrzał stół, skinął głową na znak zadowolenia i przeszedłszy pokój, stanął

przed lustrem. W ciemnym, nowym garniturze blada twarz jego wydawała się białą, oczy po spokojnie przespanej nocy nabrały blasku; usta koloru.

Obejrawszy się dokładnie, uśmiechnął się rad z siebie, tu i owdzie poprawił włosy, podkreślił wąsy i zwolna przechadzał się po pokoju, rozmyślając nad ubiegłymi dniami.

W tej Warszawie drożyzna szalona, ale bawił się nieźle... towarzyszków znalazł wesołych, no i nie byle jakich — z tytułami. Wprawdzie dla szlachcica tytuł hrabiego lub barona niema wartości, ale dla świata, dla stosunków towarzyskich, dla tłumu, zawsze dobrze robi znajomość z utytułowanymi, a on ma nawet kuzyna hrabiego.

Ta głupia awantura z Halusińskim skończy się dobrze... ho, ho, ten Sopotkiewicz i radca dadzą mu radę. Jutro przed dwunastą, zanim Sopotkiewicz pójdzie do Halusińskiego, ma być u niego, by razem zejść do radcy i złożyć mu wizytę...

Tylko jedna, jedyna rzecz nie udała mu się zupełnie... z Warszawiankami. Ani jednego romansu, ani ćwierć ćwierci... to głupio... ale bądź co bądź może po swoim powrocie przysiąc ciotce z czystym sumieniem, że był wzorowo cnotliwym, ściśle według jej wymagań!

Hrabia przyjdzie, spojrzał na zegarek, za kilka minut piąta, ale baron?... Jeśli przyjechały sąsiadki, ani on ich, ani one jego nie opuszczają... Irena ma być ładna, chciałby ją poznać, a może, może... uda-

łoby się zawiązać romansik, a chociażby z panią Sabiną?... Ale nie, może ona ma zazdrosnego męża, a Irena starającego się... po co kłaść zdrową głowę pod ewangelię!

Numerowy wniósł wraz ze swym pomocnikiem potrzebne przedmioty, napitki i zρέcznie ułożył na stole.

— Czy jaśnie pan więcej nic nie rozkaże?

— Na razie nic... zadzwonie, gdy trzeba będzie usłużyć.

— Do dziewiątej jestem na rozkazy jaśnie pana... po tej godzinie mam wychodną, ale zastąpi mnie inny.

— No, chyba do dziewiątej nie zasiedzimy się tutaj.

Po wyjściu numerowego Poluś przybliżył się do stołu, poprawił to i owo, skosztował szynki, z konfitur spędził muchy, gdy zapukano do drzwi i wszedł hrabia, wołając z progę:

— Dzień dobry, kuzynie... stawiłem się punktualnie, nieprawdaż? — i rozbierając się z paltota — ja tak zawsze.

— Istotnie kuzynie, piąta bije — podał rękę — a cóż z baronem?

— Pojechał o drugiej na dworzec, podobno będą dziś sąsiadki... mówić mi, że skoro zdąży się uwolnić, wpadnie do nas.

— Więc przyjechały sąsiadki? W takim razie baron nie przyjdzie.

— Prawdopodobnie są już w Warszawie, a podchodząc do stołu i oglądając przygotowania — ho, ho, kuzyn wystąpił po pańsku...

— Ależ nie... tylko skromne przyjęcie.

— Ja też uwzględniam, że to hotel, brak usługi, porządków... ale kuzyn znawca nielada... tak, wódeczka, przekąski, no, i po mięsach porter... to lubię, jest w tem wyższy smak.

— Taki u nas zwyczaj w domu — usprawiedliwiał się Poluś z miną niewinną.

— Konfitury! Ach, przepadam za konfiturami domowej roboty... to dopiero delicje wytworne!

— Nie wiem, czy kuzynowi będą smakowały?

— Będą... będą — mówił, siadając do fotelu.

— Może papierosa, kuzynie?

— Dziękuję... Na barona zaczekamy kwadransik, jak myślisz kuzynie? — i z widoczną pożądlivością patrzył na stół.

— I ja tak sądzę.

Zaledwie Poluś dokończył tych słów, gdy po lekkim zapukaniu wpadł baron i nie rozbierając się z paltota, przystąpił do rozmawiających.

— Ach, przyszedł pan — zawołał ucieszony Poluś.

— Na chwilę wpadłem, jak się macie — podał rękę jednemu i drugiemu — u Loursa na dole siedzą moje sąsiadki...

— Więc przyjechały nareszcie — rzekł hrabia.

— Tak jest, pociągiem o drugiej, ale zanim się

przebrały z podróży, wyciąkały z hotelu, już po piątej.

— Co robisz z niemi, baronie?

— Wiedząc, hrabio, że zastanę tu ciebie, posadziłem je w cukierni, a sam wpadłem po ciebie, hrabio, abys się mógł z niemi przywitać, jak tego pragnąłeś sam.

— Dziękuję ci, baronie... już idę... — wstał i siedł po wiszące na szaragach palto.

— A może i pan, panie Apoloniuszu, zechce poznać się z niemi?... Ładne kobietki, zobaczy pan...

— Czy jednak nie będzie to narzuceniem się, tak, w cukierni... — bronił się słabo, ale błyszczące oczy mówiły wyraźnie o jego chęci poznania.

— Biorę to na siebie... przecież one także w przejeździe... inna rzecz, gdyby mieszkały tu stale — tłómaczył baron.

— Chodź kuzynie... za chwilę wrócimy.

— Ha, jeśli można, to i owszem.

Ubierał się pospiesznie, gdyż baron stukał laską niecierpliwie, jednak przed wyjściem podszedł do lustra, poprawił włosy, krawatę, kołnierzyk...

— Dosyć, kuzynie — zaśmiał się hrabia, otwierając drzwi — piękny jesteś i tak, boś młody.

Zbiegli szybko ze schodów, a gdy już byli przed drzwiami cukierni, spytał Poluś cichym głosem:

— Kuzynie, gdzie siedzą one?

— Baronie, gdzie?

— Na prawo pod oknem... ja pójdę przodem, uprzedzę o was...

Hrabia i Poluś zwolnili kroku, wpatrując się w siedzące panie. Obie ubrane w ciemne sukienki, bez żadnych krzyczących ozdób, robiły wrażenie zamożnych, eleganckich pań, które nie dbają o pozorze wyróżnianie się od innych.

Zaciekawione oczy Polusia spotkały się z pytającym wzrokiem panny, może dwudziestoletniej. Patrzyła badawczo, tak, że Poluś pierwszy spuścił oczy. Wydała mu się piękna, ze swą matową cerą, ciemnymi oczyma i bujnymi, starannie uczesanymi włosami.

Zbliżyli się do stolika, a baron przedstawiał:

— Hrabia... znacie go panie, a to nasz wspólny przyjaciel, kuzyn hrabiego, pan Apoloniusz Jemiołkiewicz... — a gdy podawano sobie ręce do uścisku — moje sąsiadki, pani Sabina... panna Irena.

— Miło mi... bardzo miło — kłaniał się Poluś, przypatrując się z pod oka starszej o kilka lat od Ireny pani Sabinie, wesołej szatynce.

— Pozwoliłem sobie przedstawić paniom naszego przyjaciela — mówił baron z uśmiechem, siadając naprzeciw pań — gdy słysząc o piękności ich, nie dał mi spokoju i już był wielbicielem panny Ireny, zanim ją poznał.

— Czy istotnie? — spytała panna dość dzwicznym głosem, patrząc na zmieszanego Polusia — proszę, siadaj pan — i wskazała mu krzesło obok siebie.

— Pan baron, chociaż żartem, powiedział prawdę... bardzo pragnąłem poznać panią.

— I rozczarował się pan? — zaśmiała się wesoło.

— O nie... przeciwnie...

— Jakże zdrowie hrabiego? — spytała pani Sabina — zapewne ucieszył się hrabia z przyjazdu kuzyna.

— Odżyłem, rozruszałem się — uśmiechnął się hrabia — kuzyn jest taki miły, wesoły, dowcipny... zapomniałem chwilowo o kłopotach.

— O, wierzę bardzo — odpowiedziała z odcieniem złośliwości.

— Nie smakują paniom ciastka? — spytał baron — tylko po jednym wzięły panie, dlaczego?

— Ach, ten baron jest doskonały — zaśmiała się pani Sabina — przyjechałyśmy głodne z podróży, a on raczy nas ciastkami...

— Zaraz pójdziemy na obiad...

— Czy i hrabia z nami? — spytała pani.

— Bardzo żałuję, ale nie mogę.

— A tak się cieszyłam — skarżyła się pani Sabina — i Irenka ze mną, że z baronem i hrabią pójdziemy na wyjątkowy obiad...

— Czemże miał się odznaczać? — zaśmiał się baron.

— Irenko, pamiętasz cośmy mówiły w wagonie?

— Tak jest... Chciałyśmy raz przecież poznać owe gabinety, o których panowie mówicie tak często...

— I zamierzałyśmy z hrabią i baronem, bo nie wiedziałam o przyjeździe pańskiego kuzyna — skinęła pani głową Polusiowi — pójść na obiad do gabinetu i ubawić się za wszystkie nudy.

— Tak pani pragnie gabinetu czy obiadu? — zaśmiał się hrabia, i włożywszy monokl, patrzył badawczo na panie.

— Nie cierpię, hrabio, gdy mi się przyglądasz przez to szkło... zdaje mi się, że szydzisz, a wiem przecież dobrze, że nie masz tego zamiaru — mówiła pani Sabina — lecz wracając do rzeczy, gdy żaden z panów nie chce iść z nami, chodźmy same Irenko — i udała, że gotuje się do wyjścia.

— Ależ nie, na to nie możemy pozwolić — wmieszał się Poluś, któremu uśmiechał się gabinet — hrabio... baronie!

— Pani Sabino, chwileczkę cierpliwości — zaczął baron, który z widoczną przyjemnością wysłuchiwał słów Polusia — jaka pani niesprawiedliwa!... Zanim panie przyjechały, obstałowaliśmy gabinet w hotelu Europejskim.

— Ach, jak to dobrze — zaśmiała się wesolo — czy słyszysz, Irenko?

— W hotelu są gabinety na dole i na piętrze, mówił baron dalej — zachodzi ta różnica między nimi, że na dole kręci się służba, goście... a nie chcieliśmy narazić pań na obmowy.

— Cóż pan zrobił? — spytała Irena.

— Nie ja, lecz my trzej... Oto wzięliśmy dyskre-

tny gabinet na górze, wszystko na przyjęcie pań gotowe.

— Na górze? — przemówiła poważnie pani Sabina — tam są numery przecież dla przyjezdnych; nie sądzę, baronie, byś nas, swoje sąsiadki, wprowadzał do numerów.

— Ależ, pani Sabino, pani wie, jak szanuję panią i męża, zkadże przypuszczenie?... Dziś sobota, i wszystkie gabinety na dole są zajęte, na nasze naleganie, właściciel hotelu odstąpił nam wolny gabinet na piętrze; naturalnie tylko na obiad.

— A, w takim razie co innego — uspokoiła się pani Sabina — a na którym piętrze?

— Na drugim, numer 68.

Poluś z wielkim niedowierzaniem i podziwem patrzył na barona, gdy opowiadał o zrobionych przygotowaniach przyjęcia, a gdy usłyszał numer swego pokoju, zawołał przestraszony i zdziwiony:

— Baronie! Baronie!...

— Wiem, wiem — zaśmiał się baron — chciałeś pan zrobić niespodziankę pannie Irenie... i tak nie domyśla się, jakie są przysmaki.

— Czy rzeczywiście — przemówiła zawstydzona panna Irena, rumieniąc się lekko — pan pamiętał o mnie?

— Tak, proszę pani... istotnie... bardzo mi przyjemnie — bąkał Poluś, oszołomiony trochę swą sąsiadką i śmiałem kłamstwem barona.

— Więc idźmy — odezwała się pani Sabina —

i jeszcze jedno... warunek konieczny, bez którego się nie ruszę.

— Cóż takiego? — spytał hrabia.

— Każda z nas płaci za siebie, nikt niema prawa fetować mnie i Irenki na swój koszt.

— Bardzo słusznie Sabinko, tak umówiliśmy się na kolei — dodała Irena.

— Zgadza się, zgadzamy..

— Baronie, twoje słowo!

— Słowo daję pani, że ile gospodarz policzy w rachunku, każdy płaci swoją część... czy zgoda panie Apoloniuszu?

Poluś zrozumiałwszy wybieg barona, rozjaśnił twarz i zawołał z zapalem:

— Na wszystko co baron mówi, zgadzam się.

— O, z pana lekkomyślny młodzieniec — szepnęła panna Irena, wstając z krzesła.

— Nie, pani... tylko ucieszył mnie dowcip barona...

Podszedł chłopak cukierniczy. Baron chciał płacić za ciastka, pani Sabina nachmurzyła się:

— Sama płacę — wyjęła elegancką portmonetkę — za zjedzone dwa ciastka dziesięć... masz piętnaście.

Zaimponowało Polusiowi to zachowanie się pani Sabiny. Ho, ho, zaraz poznać, że szlachcianka, dumna i bogata.

Gdy weszli do pokoju Polusia, mężczyźni pomagali paniom zdjąć kapelusze, lekkie okrycia... Pani

Sabina najpierw podeszła do lustra, poprawiła fryzurę, a następnie rozejrzała się po pokoju i zawołała:

— Więc takie są gabinety?! Irenko, czy widzisz? Tu nawet umywalnia i łóżko, ach, i szafa wielka, możnaby się w niej schować.

— Tak jest proszę pani, w każdym gabinecie — pospieszył baron z objaśnieniem — a szafa na wypadek niemiłych spotkań z mężem albo żoną — zaśmiał się.

— To dziwne — dorzuciła panna Irena, poprawiwszy ubranie przed lustrem.

— Dla pań dziwne, a to takie naturalne — uśmiechnął się baron — w gabinecie my pijamy dużo i dobre trunki... czasem któremu zawróci się w głowie, więc na łóżko... przesypia się... potem się obmyje i pije dalej.

— Ach, jacy wy mężczyźni niecznośni! — mówiła pani z grymasem niechęci — zamiast spać w domu, nie martwić żony, wy sypiacie w gabinetach.

Mężczyźni uśmiechnęli się, a Poluś, rozbawiony wybiegiem barona, omal że nie parsknął głośnym śmiechem.

— Panie zechcą usiąść — zapraszał hrabia, wskazując na kanapkę.

Pani Sabina, zbliżywszy się do stołu, zawołała wesoło:

— Irenko!.. spójrz-no, co za doskonałości... półgęski, konfitury, owoce...

— Prawda... tylko za mało nakryć, jest wszystkiego trzy.

— Bo nie spodziewaliśmy się, że panie przyjadą — tłumaczył hrabia — ale to najmniejsza... zaraz przyniosą.

Poluś ostro zadzwonił i rzekł do wchodzącego numerowego:

— Jeszcze dwa nakrycia... zaraz.

— W tej chwili.

— Panie głodne — przemówił Poluś — raczcie brać... my zaczekamy.

— O, przepraszam — zawołał baron — jeśli obiad w gabinecie, to już według przepisów... najpierw wódeczka... pani Sabina jaką?

— Tylko słodką i maleńki kieliszek.

— Zaraz będzie — pospieszył Poluś, a przypomniawszy sobie, że posłał numerowego po nakrycia, wyszedł na kurytarz, aby go spotkać.

Skorzystał z tej chwili baron i spytał pań szepcąc, wskazując oczyma na drzwi przymknięte:

— A co? jaki?

— Brylant — zaśmiała się pani Sabina.

— Tylko ostrożnie — upomniał baron.

— Zawróciłem go, zaraz przyniesie słodką wódkę — oznajmiał Poluś.

— Baronie, ale my, możemy po kieliszku — doradzał hrabia.

— Ja nie piję bez pań.

— Zkądże panowie dostaliście tych przysmaków?

Bo widzę, że to nie warszawskie — rzekła pani Sabina.

— To tajemnica pana Apoloniusza — odpowiedział baron — może zwierzy się panie Irenie.

— Jeśli pani każe — skłonił się.

— Spowiedź szczerą jest tylko z własnej ochoty, — uśmiechnęła się, patrząc łagodnie na niego.

— Kuzynowi nie brak też ochoty — dorzucił hrabia.

— Nie pana się pytałam — powiedziała z miną niezadowoloną.

Numerowy wniósł dwa nakrycia i wódkę, a zwracając się do Polusia:

— Jaśnie panie, podać kartę?

— Naturalnie... zjemy obiad.

— Baronie, nalewaj — zachęcał hrabia.

— Już nalane...

— O, niezgrabny, przelał pan.

— Pani Sabino, to ze szczerości.

— O, nie wierzę panu.

Wypili i z wielkim smakiem zajadali przekąski.

Baron, hrabia i pani Sabina rozmawiali z ożywieniem o swych znajomych, wymienianych tylko po imieniu, panna Irena zaś szepnęła do Polusia, swego sąsiada:

— To są wyborne przysmaki, z kąd pan dostał?

— Przywożłem ze wsi.

— I chciało się panu zabierać?

— Mam ciotkę, która pamiętała o moich wygodach.

— Idealna ciotka — uśmiechnęła się przyjaźnie — jaka szkoda, że ja nie mam takiej, jestem sierotą, prócz siostry nikogo.

— Ja nie mam ani siostry, ani brata — westchnął Poluś dla przyzwoitości.

— W tem towarzystwie my jedni samotni na świecie — mówiła rzewnym głosem.

— Współczuję z panią — westchnął.

Numerowy przyniósł kartę. Po wybraniu potraw zaproponował baron wypicie drugiej wódki, co panie po lekkim wzdraganiu przyjęły, a po przekąskach pito porter.

Hrabia, wznosząc pełną szklanke, zawołał, kłaniając się paniom:

— Zdrowie dam!

— O, przepraszam — zawołał Poluś — takie zdrowie pije się tylko winem.

— Słusznie, słusznie — przytakiwał baron — bo jak to mówią: wino, kobieta i śpiew.

— To walc baronie — zaśmiała się pani.

— Wszystko jedno, ale to są trzy rzeczy, które coś znaczą.

— Czy i pan wszystko stawia na równi? — spytała ze słodyczą Irena.

— O, nie pani, dla mnie tylko i jedynie kobieta! — zawołał Poluś z zapalem.

— Z pana wielki bałamut — uśmiechnęła się.

chowaną, szlachcianką, zapewne bogatą, sąsiadką barona, który ją uwielbia... I oto sam na sam z nią, w przyćmionym pokoju, a w dodatku ona leży na łóżku, upojona, bezwładna, jest zupełnie w jego mocy... i gdyby to nie była panna Irena, osoba z jego towarzystwa, sąsiadka barona, siostra pani Sabiny... uśmiechnął się rozkosznie i westchnął.

Co to jednak znaczy wielkie miasto!... Jakie dziwne, nadzwyczajne wypadki spotykają człowieka! Coś podobnego nigdy nie mogłoby mu się przytrafić w takim Humaniu, Talnem, Zwinogrodce... tylko w jednej Warszawie!

A jakie piorunujące wrażenie zrobił on na niej! Już w cukierni spojrzała na niego dziwnie ujmująco, przyjaźnie... A gdy go poznała bliżej, przypatrzyła mu się w czasie obiadu... nie mogła od niego oczu oderwać...

I jaka ona niewinna, szczerą, jak czule powiedziała ten toast na cześć ciotki, a następnie pierwsza zawołała, że on królem, i to po obiorze jej na królowę...

Naprawdę, oni są jak małżeństwo jakie, prosili o błogosławieństwo, zostawili ich samych... niby to żarty, ale w każdym razie połowa prawdy...

On jednak mądrze zrobił, że ją upoił, zρέcznie podstawił jej pełne kieliszki, a ona, naiwna, nie znając następstw, piła kieliszek za kieliszkiem. I dopiął swego, upoił ją i został sam na sam. Jaka szkoda, że śpi, rozmowa z nią taka miła!

Panna Irena poruszyła się we śnie, przeciągnęła i nogi wysunęły się z pod sukni. Co za zgrabne, małe nóżki, ucałowałby je, gdyby mu tylko pozwoliła...

Wstał i na palcach zbliżył się do śpiącej, patrzył i zwolna nachylił się nad nią... Ach, gdyby tak ucałować, raz jeden, jedyny!

Wtem panna Irena otworzyła oczy i zawołała przerażona:

— Ach Boże!... Gdzie jestem?... Co ja tu robię?... Co to jest?

— Uspokój się, droga pani... to ja... nic złego się nie stało.

Usiadła na łóżku, spojrzała na Polusia stojącego, uśmiechnęła się:

— Ach, to pan... teraz już się nie boję.. pan taki dobry... miły...

— Pani może mi zaufać zupełnie... nie pozwolę zrobić żadnej krzywdy... niech się pani uspokoi — proszę, widząc, że drży.

— Ale jakim sposobem znalazłam się tutaj?... byłam przecież w gabinecie, z Sabinką, baronem...

— Zrobiło się pani słabo... siostra złożyła panią na łóżku...

— Gdzież ona? gdzie inni.

— Pani Sabina poszła po sprawunki... zaraz wróci.

— Ona?... Jestem pewna, że nie wróci.

— Jako, siostra musi wrócić — rzekł Poluś z wielką siłą.

— Siostra — uśmiechnęła się boleśnie — ona umyślnie zostawiła mnie samą, aby skompromitować. Całe szczęście, że pan jest taki delikatny, dobry — i łzy zakreśliły się w jej oczach.

— Pani jest zachwycająca, cudowna — zawołał Poluś z zapalem, ukląkł szybko i pochwycając rękę, całował gorąco.

— Wstań pan, wstań — prosiła Irena — niech pan nie nadużywa tego przypadku.

— Ach! jaka pani piękna — mówił rozmarzony powstając z klęczek.

— Dlaczego tu tak ciemno?

— Światło lampy raziło oczy pani.

— Jakiż pan uważający — podała mu rękę którą kilkakrotnie ucałował.

— Ale co ja zrobię teraz?... Jestem zgubiona, zniesławiona, jeśli mnie tu kto zastanie z panem... O Boże, za cóż mnie tak ciężko karzesz? — i łzy zabłysły w jej oczach.

Rozczulony Poluś nachylił się i chcąc pocieszyć, objął ją i ucałował w oczy.

— Ach, co pan robi? — odsunęła się — pan ośmiela się mnie całować?

— Przepraszam panią, bardzo przepraszam — mówił skruszony.

— Ten jeden raz przebaczam panu... siądź pan

obok mnie i pogadajmy rozsądnie, jak wybrnąć z tej pułapki mojej niedobrej siostry.

— Drzwi są zamknięte na klucz — mówił Poluś, siadając obok niej na łóżku — nie wpuszczymy nikogo.

— Dobra rada — uśmiechnęła się drwiąco — zostawili nas samych i jeszcze musimy się zamykać!?

— Gdy w hotelu wszystko się uspokoi, wyprowadzę panią i pojedziemy do hotelu pani.

— Nie, ja zaraz idę — chciała wstać, lecz on ją powstrzymał za rękę.

— To niemożliwe, proszę pani... mnóstwo ludzi snuje się po schodach... na ulicy, zobaczy kto panią, zaraz podejrzenia, plotki...

— Ach, prawda! Jakaż ja biedna, opuszczona... co powiedzą moi krewni, znajomi, przyjaciółki... wszyscy mnie potępia, odsuną się, pogardzą.

Poluś, siedząc blisko, odczuwał wewnętrzne łkania rozżalanej Ireny, upajały go jej perfumy, zapach włosów, a postyszawszy jej słowa, zawołał z zapałem:

— Wszyscy mogą się odsunąć, tylko nie ja — objął ją przemocą i całując w twarz, szeptał: — ja kocham panią, uwielbiam, szaleję.

Zdaje się, że te słowa podziałały kojąco na boleść Ireny, bo biernie poddała się całusom i uściskom. Po chwili spytała szeptem:

— Pan długo zostaje w Warszawie?

— Chciałbym jaknajdłużej... ale zawsze jeszcze będę jaki tydzień.

— Tak krótko? — szepnęła z żalem, tuląc się do niego — zaledwie poznałam, już pan wyjeżdża?

— Wróć, napewno wróć... i zostanę z panią na zawsze, na całe życie — mówił cicho, z namietnością.

— Nie zwodzi pan mnie?

— Przysięgam! — i przycisnął ją silnie do siebie.

Odsunęła go, mówiąc:

— Zwolna panie Apoloniuszu... teraz mi nie w głowie czułości... już ze względu na miłość pana nie mogę być skompromitowana.

— Niech pani usłucha mojej rady, nie puść nikogo... a potem wyprowadzę panią spokojnie.

— Nie, nie, wpuścić trzeba koniecznie — broń się słabo.

— Ależ pani — zaczął Poluś... wtem zapukano ostro do drzwi.

Panna Irena drgnęła i chciała powstać, Poluś objął ją, ramieniem przycisnął do siebie i nasłuchiwał.

Zapukano jeszcze raz, a jakiś głos przemówił:

— Jaśnie pan w domu, bo klucz jest w zamku, od pokoju.

Znów zapukano i Poluś postyszawszy głos dobrze znany, ostry, suchy.

— Polusiu!... Polusiu!... Otwórz, to ja!

Ten głos, ach, ten głos! to ciotka!

Opuścił ręce bezwładnie, pobladł i drżał jak w febrze. Wstał i szybko szeptał:

— Na miłość Boga na wszystko, co święte, zaklinam panią. schowaj się pani do szafy... to moja ciotka, i ja zgubiony, i pani, prędzej, prędzej, zaraz ją wyprawie.

Tyle szczerego przerażenia, obawy było w jego głosie, prosił tak rozpaczliwie, że panna Irena, sama również przestraszona niespodziewaną wizytą, wstała szybko i weszła do szafy, szepcząc:

— Tylko nie zamykaj, bo się uduszę.

Poluś, odkręciwszy kran elektryczny drżącą ręką, zawołał o ile mógł uradowanym głosem:

— Zaraz cioteczko... natychmiast!

Otworzył drzwi i w progu już całował ręce, mrużąc:

— Co za szczęście! Jaka niespodzianka!

Ciotka w długim płaszczu alpagowym weszła, wzięła za rękę Polusia, podprowadziła pod światło i przyjrząwszy mu się bacznie, rzekła:

— Trochę zmizerniałeś... no, nic dziwnego, po chorobie.. ucieszyłam się, gdy portyer mi powiedział, że wychodzisz i jesteś w domu...

— Jasnie pani tu każe znieść rzeczy? — spytał zastępca numerowego.

— Tutaj...

— Może cioteczce będzie niewygodnie?

— Wolę spać przy tobie, będę spokojniejsza... zasłonisz się parawanem, a każę wnieść drugie łóżko... po co dwa numery, i tak dużo wydałam — westchnęła.

— Zależy od woli cioteczki... ale...

— Żadne ale — przerwała — pomóż mi płaszcz zdjąć... i powieś w szafie, bo położony łamie się i mnie.

Poluś szybko zdjął płaszcz i powiesił na szaragach, mówiąc:

— Tu będzie lepiej...

— Dlaczego nie w szafie, kiedym ci powiedziała? — i szła ku szaragom.

— Zaraz cioteczko, natychmiast — podbiegł do wieszadeł — niechże cioteczka siada, zmęczona cioteczka.

Ostrożnie otworzył szafę, niosąc na ręku płaszcz zakurzony, przesiąkły zapachem lawendy. W głębi szafy dojrzał bladą twarz i błyszczące oczy panny Ireny, skinął głową na znak zachęty i przymknął drzwi szafy.

— Jakiż tu u ciebie fetor, obrzydliwe powietrze — mówiła ciotka, usiadłszy na fotelu — jak w karczmie, coś z wódki, cygara, co to jest?

— Takie cioteczko powietrze w Warszawie — powiedział cicho.

— Teraz opowiedz mi szczerze, co ci było? co mówił doktor?

— Pisałem cioteczko... gorączka, dreszcze, trochę kaszlu.

— A wszystko przez tę Warszawę — narzekała ciotka — o nie puszcę cię na drugi raz.

Służba wniosła pakunki i stawiała pod ścianą.

— Ostrożnie tam, nie stukaj tak głośno, zdaleka od ściany — rozporządzała.

— Cioteczka zapewne głodna, może pójdziemy na kolację, bo i ja głodny.

— Ani myślę truć się po restauracjach — zawołała oburzona — domyśliłam się, że zjadłeś dane ci zapasy, przywozłam świeże... zaraz dobędę.

— Ja sam cioteczko... sam.

— Masz kluczyk... w tym pakunku na lewo... a wybieraj ostrożnie.

— Dobrze cioteczko.

— No, a jak się prowadziłeś w Warszawie? — mówiła, patrząc na Polusia krzątającego się około kufra — spodziewam się, że dotrzymałeś słowa względem Warszawianek? co?

— Tak jest cioteczko... przysięgam.

Gdy Poluś stawiał wyjęte prowizye na stole, rozległo się w pokoju przytłumione kichnięcie.

— A to co? — zawołała ciotka zdziwiona.

— Co cioteczko? — spytał drżącym głosem.

— Kichnięcie... wyraźnie słyszałam... ktoś kichnął...

— Cioteczko, to ściany są tak cienkie, pewno sąsiad obok ma katar.

— Hm... może być... bo w tej Warszawie wszystko blaga... niby to murują, niby porządny hotel, a ściany jak z papieru. No, jedz Polusiu, ja nie głodna... jedz.

Krajał szynkę, połykał z wielką trudnością i niesmakiem, rozmyślając gorączkowo, jakim sposobem wprowadzić ciotkę z pokoju.

— Cóż za ohydne w pokoju powietrze — mówiła, wstając z fotela.

— Może się cioteczka przejdzie — zaproponował.

— Także coś nowego... po nocy — wzruszyła ramionami — a zbliżając się do okna — otworzę... zawsze będzie...

Nagle urwała, ujęła w rękę gorset i zwracając się do Polusia przy stole siedzącego, zawołała ze zgrozą:

— A to co?

— Co cioteczko? — spytał, lecz odwróciwszy się, dojrzał gorset Ireny.

— Gorset... gorset kobiecy!... u ciebie? Tu? w twoim pokoju!

— Tak cioteczko, tak — bełkotał zmieszany — przypominam sobie... jeden z mych przyjaciół niósł dla żony i zapomniał.

— Fe, obrzydliwość — mówiła z oburzeniem — takie paskudztwo u ciebie, kto wie, kto to nosił i zostawił nawet bez owinięcia! — i rzuciła o ziemię silnie, że rozległo się uderzenie.

— Nie z mojej winy cioteczko, nie z mojej — usprawiedliwiał się Poluś z pokorą.

— O, ładnych masz przyjaciół, którzy zostawiają gorsety po hotelach — powiedziała gniewna.

Wracając od okna, przechodziła mimo łóżka i dojrzała coś czarnego na białej kapie; zbliżyła się, wzięła w rękę i krzyknęła:

— Zkąd szpilka podwójna na twojem łóżku? Gadaj mi zaraz!

— Pewnie pokojówka sprzątajac upuściła — mówił po chwili z drżeniem.

— Ho, ho, nie myślę dłużej ciebie tu zostawiać w Warszawie, to są rzeczy podejrzane i nie na to cię wychowałam, byś się rozpaskudził tutaj... Jutro jedziemy — kończyła surowo, siadając na fotelu.

Wśród milczenia rozległ się wyraźny szmer w szafie.

— Słyszysz?... Czy szczury, czy myszy, ale są w szafie... wyjmę płaszcz, jeszcze mi pogryzą.. oj, dobre porządki w tej Warszawie.

— Ja sam, ja sam, cioteczko — zawołał, podbiegając do szafy.

— Otwórz-że i powyjmuń i twoje ubrania... połóż na krześle, będą się myszy więcej bały, niż w szafie.

Znów zobaczył wciśniętą w kąt Irenę, która mu dawała rozpaczliwe znaki, aby ją wypuścił. Skinął głową, że zrozumiał i ułożywszy rzeczy, zwrócił się do siedzącej ciotki:

— A może cioteczka pozwoli herbaty?... jest tuż obok... może cioteczka zechce przejść, a ja każę posłać łóżka.

— Warszawskiej herbaty nie chcę, a łóżka niech zaścielą przy mnie, nie ufam tutejszej służbie... bo też wszystko na wierzchu trzymasz, a mówiłam, upominałam, prosiłam, ale to groch o ścianę.

— Wyjątkowo cioteczka tak zastała, gdyż czuje się dzisiaj osłabiony.

— Połóż się.. wypocznij...

— Napewno pomogłby mi spacer krótki...

— To idź... przejdź się.

— A cioteczka?

— Zmęczona jestem i senna... Każ wnieść łóżko, kołdrę i poduszkę mam z sobą... Łóżko stanie tu pod szafą... to najlepsze miejsce.

Nagle, z trzaskiem, otworzyły się drzwi szafy, na pokój wyskoczyła zaczerwieniona Irena i głosem drżącym z gniewu, zawołała:

— Dostyc tego... podaj mi pan mój gorset — a gdy przerażony Poluś nie ruszał się z miejsca, krzyknęła: — słyszysz pan, mój gorset.

Posłuszny, podniósł z ziemi i podał.

Irena podeszła do wieszadeł, włożyła kapelusz, okrycie i dygając, rzekła z uśmiechem złośliwym:

— Powinszować cioteczce takiego siostrzeńca... dobranoc państwu!

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Ciotka, gdy ujrzała Irenę, patrzyła na nią przerażona, jak na widmo, na tajemnicze zjawisko...

Zażądanie podania gorsetu, przerwało przerażenie i oburzona do głębi, nie mogąc słowa przemówić, nie spuszczać z niej oczu, śledziła każde jej poruszenie.

Usłyszawszy pożegnanie — drgnęła, gniew przywrócił jej możność przemówienia, zmierzyła Polu-

sia piorunującym spojrzeniem i chwytając oddech z trudnością, zawołała wreszcie zduszonym głosem:

— Jesteś łajdak!.. nie znam cię więcej... wydziedziczam!

Wstała szybko z fotelu, dzwoniła dotąd, aż wbiegł przerażony służący i rozkazała drżącym głosem:

— Zabieraj rzeczy moje... natychmiast... do innego numeru... zaraz...

Narzuciła płaszcz, kapelusz wzięła w rękę i poszła na korytarz.

Poluś po chwili przebudził się z odrętwienia i powłókł się za ciotką na korytarz. Zbliżył się nieśmiało, szepcząc błagalnie:

— Cioteczko!

— Precz!... precz odemnie, brzydzę się tobą... nie walaj mnie!

— Cioteczko!

— Precz, mówię! Precz!

Poluś z głową spuszczoną wrócił do swego pokoju i zamknął drzwi.

Włożywszy ręce w kieszenie spodni, zaczął się przechadzać po pokoju. W głowie jego panował chaos, tak nagle i niespodziewanie nastąpiły po sobie niezwykle wypadki.

Baron, hrabia, podwieczorek ukraiński, Irena, ciotka...

Usiadł na fotelu i, gryząc wielki palec, porządkował zdarzenia w swym umyśle. Znow wstał,

i przechodząc, spojrzął na łóżko z wygnieciem widocznym na kapie i poduszce od leżenia.

Tak, przed chwilą była tu Irena... spała, był sam z nią... potem rozmawiał, ścisnął, całował... była już taka rozczulona, tak miłośnie patrzyła na niego...

I trzeba nieszczęścia z tą ciotką! Westchnął głęboko.

Ale co teraz?... Irena zapewne rozpowie o scenie z ciotką baronowi, hrabiemu... naraził się na śmieszność... będą kpili, żartowali, drwili...

No, tak, z Ireną skończyło się, nigdy nie ośmieli się podejść do niej, wszcząć rozmowy... utracił ją na zawsze...

A może to i dobrze... znów tak bardzo piękną nie jest... podobała mu się chwilowo i nic więcej... A jaka ona złośliwa, arogancka, z jakimi drwinami przemówiła na wychodnem... Tak, to jest nawet brak wychowania, by do starszej osoby odzywać się tak lekceważąco, a o nim, który ją podejmował, z takim przekąsem... Wreszcie to jej upicie się winem jest w bardzo złym guście... kobieta, panna i upija się! To wstętnie!

No, a hrabiemu, baronowi potrafi to wszystko wytlómaczyć... od czegoż jego spryt!?

Tylko ciotka!

Rozgniewała się stara, trzęsła się z oburzenia, ledwie mogła przemówić... może i słusznie... w każdym razie to wielka obraza dla niej, takiej suro-

wej moralistki, że znalazła u niego gorset i kobietę.

Gotowa się stara zawziąć i naprawdę nie przebaczyć mu i wydziedziczyć, gdyż napewno dotknęła ją do żywego ta Irena, jej wyskoczenie z szafy i słowa pożegnania.

I gdyby przynajmniej zawinił cokolwiek, nie żał cierpieć za winy, ale on w tej Warszawie żył jak anachoreta, jak zakonnik...

Jeśli ciotka się uprze, nie zechce go znać, w takim razie zażąda swego majątku i będzie gospodarował na swoją rękę. Szkoda, bo szkoda majątku ciotki, zawsze to połowa Mironówki, połowa wsi na Pobereżu, no i kapitały... szkoda!... No i to kłopot, że nie ma o czem wyjechać z Warszawy, zapłacić czem hotelu... i napewno ciotka nie wyda majątku bez procesu, wyroku...

Gdyby nie ten fatalny wypadek z Ireną, mógłby poprosić hrabiego o pożyczkę, wreszcie barona; ale po tem co słyszała Irena, to postępowanie ciotki z nim, jak z nieletnim, z chłopakiem, któremu dać się coś z łaski... pewno nie będą mu dowierzali i odmówią.

Ale właściwie po co on się tem wszystkim tak martwi i niepokoi!? Przecież ma pojedynek z Halusińskim, ten, naciśnięty przez radcę i Sopotkiewicza będzie zmuszony stanąć, a może on zostanie zabity i skończą się wszystkie utrapienia... kłopoty... wyrzuty.

Tak, jeśli on zginie, wszystko będzie dobrze, bo wszystko się skończy... lecz jeśli nie zginie... położenie o tyle się pogorszy, że będzie musiał prędko wyjechać z Warszawy, by uniknąć śledztwa... a pieniędzy niema!

Najlepiej przeprosić ciotkę, wzruszyć ją, nie pozwolić, by się zawzięła, by podniecała siebie do gniewu. Spokojnie mówić ze sobą ona nie pozwoli.. zna ją przecież... napisze list... to będzie najlepiej.

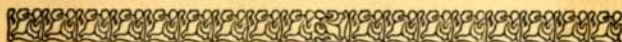
Siadł i pisał skwapliwie, namysławiając się nad każdym frazesem, a gdy po dobrej godzinie skończył, odczytał półgłosem:

— „Najdroższa cioteczko! Prawdopodobnie jest to list mój ostatni na ziemi i dlatego błagam, by go cioteczka odczytała. Mam pojedynek. Niejaki Halusiński obraził mnie, a jako wychowanek cioteczki najszlachetniejszej, jako szlachcic i jako Jemiołkiewicz, wyzwałem go. Pan Sopotkiewicz i radca Korbowski są moimi sekundantami. Śmierć mnie nie przeraża, ale nie umrę spokojnie, nie uzyskawszy przebaczenia najdroższej cioteczki. Co do wczorajszego wypadku, daję słowo szlacheckie, że był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Sąsiadka ze wsi barona Morena nagle zaśląbla i baron prosił, bym chwilowo użyczył swego pokoju dla chorej osoby, zanim doktor przyjdzie. Przestraszona zjawieniem się cioci, mimo mych próśb, ukryła się, a ja nie mogłem zdradzić tajemnicy cudzej. Dziś w południe rozstrzyga się mój los, zanim stanę

przed czarnym otworem lufy, chcę paść do nóg cioteczki i prosić o przebaczenie...“

— List powinien wzruszyć — uśmiechnął się, zadzwonił — jutro, skoro ta pani, co tu była, ta stara, zbudzi się, oddasz.

Po chwili zgasił światło i usnął.



X.

Około dziewiątej rano zbudziło Polusia dobijanie się do drzwi. Otworzył oczy i zawołał:

— Kto tam?

— To ja... numerowy... interes pilny.

— Zaczekaj, otworzę.

Numerowy wszedłszy do pokoju, meldował:

— Jaśnie pani, która wczoraj przyjechała, ka-
zała prosić jaśnie pana do siebie... numer 72.

— Czy dawno?

— Zaraz po przeczytaniu listu jaśnie pana.

— Dobrze... przyjdę.

Uśmiechnął się, zadowolony ze skutku swego listu i począł się szybko ubierać. Zanim wyszedł z pokoju, spojrzął w lustro, ułożył twarz do wyrazu powagi i cierpienia, kilka razy wypróbował sprawność swych mięśni twarzowych, zbadał dokładnie uśmiech bolesny i uśmiechnawszy się do siebie po tym egzaminie, szedł do ciotki, o kilka numerów w głębi korytarza hotelowego.

Otworzył drzwi, ciotka siedziała na fotelu i spoj-
rzała surowo.

Z głową pochyloną zbliżył się, ucałował z uczu-
ciem jej kościste ręce, szepcząc z wielką czułością:

— Cioteczko, przebaczenia!

— Siadaj i słuchaj — powiedziała szorstko, wska-
zując mu krzesło.

Usiadł skromnie, na brzeżku krzesła i ze smu-
tnym, skruszonym wyrazem twarzy, ze spuszczo-
nemi oczyma, wyszeptał:

— Słucham cioteczki.

— Co ty za błazeństwa robisz i wypisujesz?

— Ależ cioteczko...

— Słuchaj i milcz — zawołała ostro. — Czy ty
myślisz, że ja ci pozwolę pojedynkować się!? Także
koncept! Nie wychowałam cię na to, abyś ginął od
kuli w jakiejś głupiej sprawie... Rozumiesz, żadnych
pojedynków... nie pozwalam i koniec — uderzyła
suchą, kościstą ręką o stół, że aż odgłos rozszedł
się po pokoju.

— Dobrze, cioteczko... jednak...

— Znów zaczynasz... ileż razy będę ci powta-
rzała?

— To niemożliwe, ciociu, ja muszę się pojedyn-
kować — powiedział z niezwykłą w ich stosunku
wzajemnym stanowczością.

— Co? — zawołała zdziwiona.

— Muszę się pojedynkować.

— Mimo mego zakazu? — spytała z niedowie-
rzaniem.

— Tak jest... muszę.

— Co ty pleciesz? Czyś zwaryował?

— Muszę, cioteczko... obraza była ciężka, wy-
słałem sekundantów.

— Co mi tam twoje głupie obrazy? twoi sekun-
danci?!... A jeśli ja zabraniam, jeśli zakazuję?

— Bardzo mi przykro, cioteczko, ale tu chodzi
o honor.

— Honor! Honor! Któż ci wpoił zasady honoru,
jeśli nie ja, a teraz ty mnie będziesz uczył!...

— I taka to twoja wdzięczność — mówiła roz-
żalona — za moje starania, za wychowanie, za
troskliwość, dbałość...

— Cioteczka raczy wysłuchać i sama osądzi
sprawę jako szlachcianka.

— Wiem, że głupstwo powiesz, ale mów.

— Na jednej z ulic Warszawy spotkałem przed
kilku dniami pewną panią. Ona uśmiechnęła się do
mnie...

— A uprzedzałam cię, nie wdawaj się z War-
szawiankami... uprzedzałam.

— Prawda, cioteczko... Zdawało mi się, że pani
ta znajoma mi, że z naszych stron, więc zbliży-
łem się i pytam, czy ona mnie zna?... Ona z miną
obrażoną ofuknęła mnie... Ja tłómaczę się i daję
bilet wizytowy.

— Nic nie rozumiem — wzruszyła ramionami

— co prawda, niepotrzebnie zaczepiałeś, ale jeśli się uśmiechała, a ty byłeś grzeczny, z kądże obraza?

— Zaraz cioteczko... Tego dnia wpada do hotelu jej mąż, właśnie schodzę ze schodów... zaczyna mi ordynarnie wymyślać, ja odpowiedziałem... i gdy byłem odwrócony, uderzył mnie kijem, naturalnie oddałem, ale on pierwszy śmiał mnie uderzyć. Cóż cioteczko, czy on mnie obraził?

— Hm... tak na chłopski rozum, to skwitowaliście się... on ciebie, ty jego i koniec.

— Ależ on pierwszy, cioteczko!?

— Pierwszy... pierwszy... twoja wina, żeś nie uważał!... I o taką bagatelę chcesz narażać życie? Ty, ostatni z Jemiołkiewiczów, masz ginąć z powodu tak błahego? Nie, nic z tego nie będzie... ja ci to mówię — wpatrzyła się w siedzącego zinnemi, spłowiawłemi oczyma.

— Jeśli cioteczka zabroni... przeszkodzi... będzie mi bardzo przykro, ale zastrzelę się tutaj, u nóg cioteczki.

— Tylko nie gadaj mi o śmierci, nie mogę tego słuchać — a w głosie jej brzmiała skarga i rozczulenie — i co ja ci zrobiłam złego, że mnie tak martwisz?

— Cioteczka była najlepszą dla mnie, ale zobelżony, bez satysfakcyi honorowej, nie mogę żyć... to trudno, tego nikt od szlachcica nie może wymagać.

— Któż są twoi sekundanci?

— Najpierw posłałem mu dwóch przyjaciół —

chwalił się — hrabiego Krasnojarskiego i pana Strzyżowskiego... on nie przyjął pojedynku, tylko się zgodził na przeproszenie.

— Czemuż się nie zgodziłeś? — spytała z wyrzutem w głosie.

— Jako szlachcic i Jemiołkiewicz nie mogłem... Dziś idą w moim imieniu pan Sopotkiewicz i radca Korbowski... zobaczymy.

— Dziś?

— Tak jest i przed dwunastą mam być u Sopotkiewicza.

— Hm... hm... jakież ten Sopotkiewicz?

— Człowiek zacyjny, poważny, nestor prawdziwy, rozumny...

— Tak? — spojrzała z ukosa na Polusia — no, a ten radca?

— Korbowski, także z naszych stron, człowiek prawie siwy, bogaty, radca...

— Ha, jeśli tacy dojrzali ludzie, nie młokosy, furfanty wdali się w tę sprawę, mam w Bogu nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

— I ja tak myślę, cioteczko, oni zmuszą tego pana do przyjęcia pojedynku.

— A ja myślę, że przeciwnie... oni doprowadzą do zgody... A kto jest ten pan, z którym się posprzeczałeś?

— Halusiński, fabrykant cukierków.

— W Imię Ojca i Syna — przeżegnała się oburzona — i ty, Jemiołkiewicz, herbu Ślepowron, po-

jedyнкуjesz się z kupczykiem? cukiernikiem?... Koniec świata... o, teraz nic z pojedynku! — i znacząc swój upór, posunęła się głębiej, sadowiąc się silniej na fotelu.

— Cioteczko, posłałem sekundantów — przemówił głosem stanowczym — i to nie byle jakich, poważni, ze stanowiskiem.

— I ty głupi... i oni głupcy!... Ty, z kupczykiem?!... Czy powaryowali w tej Warszawie? czy co?

— Cioteczko, jeśli ludzie, tacy poważni, doświadczeni podjęli się tej sprawy, to widocznie uznali ją za ważną.

— Hm... hm... tak wygląda... Ale mówisz, że ten kupczyk nie chciał pojedynku, zgodził się przeprosić ciebie?

— Tak mówił przed pierwszymi sekundantami, ale...

— Bóg da, że nie rozmyśli się i tym starcom to samo odpowie... Widać, że rozumny człowiek, kiedy nie chce pojedynku, bo to i obraza Boska i sam rząd zakazuje.

— Ha, jeśli przeprosi formalnie, lecz gdyby przyjął pojedynek, — stanę.

— No, no, nadzieja wstąpiła we mnie, czuję, że on cię przeprosi, a ty musisz przyjąć... ja ci to mówię.

— Jeśli przeprosi wobec tak poważnych ludzi, a cioteczka każe, przeprosiny przyjmę... cóż mam robić z tchórzem?

— Daj mi na to słowo...

— Słowo honoru, cioteczko.

— To i dobrze... a teraz przyznaj się, co było z tą wstrętną kobietą, wczoraj?

— Nic, przysięgam cioteczce na honor, nic nie było... i z żadną. Jakim wyjechałem z Mironówki, takim wracam.

— Chcę ci wierzyć... jednak, co robiła ona w tej szafie? Po co rozbierała się z gorsetu?

— Pisałem, że zastała nagle w cukierni Loursa i baron Moren prosił mnie, by znalazła chwilowy przytułek u mnie.

— Prawdę mówisz?

— Jak cioteczkę kocham.

— No, niech i tak będzie... ale coś to podejrzanego z taką sąsiadką, z taką kobietą, która chowa się do szafy. Jednak ostatecznie to nie twoja wina, bo mu zawierzyłeś. Tylko, wiesz, niepotrzebnie wdałeś się z tym baronem... I jeszcze jedno... dziś wyjeżdżamy na Ukrainę.

— Jakto? A pojedynek?

— Jeśli on cię przeprosi... a mam nadzieję, że przeprosi, wyjeżdżamy dzisiaj.

— Ależ cioteczko...

— Nic nie pomoże, żebym miała nająć osobny pociąg, dziś jadę i ty ze mną...

— Dobrze, jednak pojedynek...

— Mówiłam, że po załatwieniu przeproszenia... dajesz mi słowo szlacheckie, że wyjedziemy, czy

nie? Masz wóz i przewóz... zgoda, albo nie znam ciebie...

— Daję słowo szlacheckie — westchnął.

Mimo podeszłego wieku, wstała dość szybko i zadzwoniła, mówiąc do wchodzącego numerowego:

— Przygotuj zaraz rachunek mój i tego pana... dziś wyjeżdżamy... przynieś zaraz.

— Natychmiast, jaśnie pani.

— Musieli też drzeć z ciebie — mówiła, siadając na dawnym miejscu — ile płacisz za numer? co?

— Pięć rubli, cioteczko.

— Okropność... a dużo ci zostało?

— Niewiele... zaledwie kilka rubli.

— Co? Z czterystu rubli? To niemożliwe!

— Doktor, cioteczko, apteka... jeden ubiór, drugi, kapelusz, rękawiczki, buciki, no i życie.

— A, na całe życie odrzeknę się tej Warszawy... za dziesięć dni czterysta rubli, to nie do uwierzenia. Toż ekonom bierze na cały rok dwieście i to mu wystarcza z rodziną!

— Nie jeździ też do Warszawy, no i ja nie jestem ekonomem — powiedział podrażnionym głosem.

— Ja też ciebie nie porównywałam z ekonomem... powiedziałam tylko co do wydatków... Jak myślisz, ile hotel wyniesie?

— Nie wiem dokładnie... piłem tu śniadania, czasem jadałem, przyjmowałem hrabiego Krasnojarskiego i barona Morena...

— Co to za hrabia Krasnojarski?

— Mój nowy przyjaciel, a nawet nasz kuzyn, który wybiera się do nas, na Ukrainę.

— Kuzyn?... Krasnojarski? — pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Tak jest, cioteczko... jego babka była Jemiołkiewiczówna, herbu Ślepowron, córka Pawła.

— Pawła!? To niemożliwe, to kłamstwo! Twój dziad miał wprawdzie syna Pawła, letkiewicz był, poszedł w świat, był w Królestwie, ale wrócił na starość do domu i umarł bezżenny. To nie z naszej rodziny, to oszukaństwo i niech mi się ten samozwańczy kuzyn nie pokazuje, bo każę go wyszczuć psami.

— Dobrze, cioteczko.

Numerowy wniósł rachunki. Należność za numer 68 wynosiła sto dwadzieścia rubli; gdy przeczytała, nałożywszy okulary, zawołała:

— Jezus! Marya!... Co ja widzę?! Sto dwadzieścia rubli... spojrz no, pewno oszukali, liczyli podwójnie.

Poluś w skupieniu przejrzał rachunek i wręczając, szepnął skruszonym głosem:

— Cioteczko, rachunek rzetelny.

Załamana ręce, wpatrzyła się w niego z wyrzutem, a potem, składając drżącymi rękoma przyniesiony rachunek, rzekła zrozpaczone głosem:

— A to ładny wojaż! Stracił pieniądze i jeszcze pojedynek!... Dostyc tego, idź, pakuj, albo nie, poczekaj, pójdę z tobą, bo sam źle zrobisz.

— Cioteczko, ja muszę być u Sopotkiewicza przed dwunastą.

— Dajże mi klucze, spakuję twoje rzeczy, ty idź, a pamiętaj, dałeś słowo.

— Wiem, cioteczko i dotrzymam — odpowiedział, całując ręce ciotki — a oto klucze od kufra i walizy... ale cioteczka się zmęczy, możebym ja to zrobił, gdy wrócę od Sopotkiewicza.

— Nie, nie, już mi pomoże lokaj hotelowy, a ty zaczekaj u Sopotkiewicza na rezolucję i zaraz przyjeżdżaj do mnie — kończyła tonem, nieznośnym żadnego sprzeciwiania się.

— Będę tu cioteczko — i znów ucałował jej rękę.

Gdy przechodził na schodach, obok miejsca spotkania niemiłego z Halusińskim, które w nim zawsze pewien wstyd i smutek budziło, uśmiechnął się tryumfująco, gdyż miał to przeświadczenie, że dziś pomści doznaną zniewagę.

Wsiadł do dorożki, powiadziawszy adres ijechał. Na szerokich chodnikach Krakowskiego-Przedmieścia i Nowego-Świata snuły się tłumy publiczności, przeważnie odświeżeni z powodu niedzieli ubranej; Poluś ani spojrział, pogrążony w swych myślach.

Z ciotką nastąpiła zgoda, to dobrze, ale jej bezwzględne wymaganie wyjazdu jest przykre i upokarzające dla niego. Wprawdzie ta Warszawa zawiadła jego oczekiwania, stracił dużo, bawił się stosunkowo nieszczególnie, ale znów taki gwałto-

wny wyjazd i powrót do zależności w Mironówce nie należy wcale do przyjemności...

Ach, gdyby już raz był wolny, samodzielny, pan swej woli i chęci... ale to możliwe jedynie, albo gdy ciotka umrze, albo gdy on się ożeni.

Takie starsze, zasuszone kobiety żyją długo, ciotka może dociągnąć do osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu lat...

Zostaje mu ożenienie. Ta Berezowiczówna to dobra partya, ma posag, ładna, wykształcona... zaraz po przyjeździe wybierze się w konkury, bo lepszej partyi niema w okolicy.

Ubranie ma, ale musi kupić sobie jeszcze drugi garnitur salonowy, a może sprawi smoking... będzie szyk! Jednak w tym celu zostaćby trzeba w Warszawie jeszcze kilka dni...

Ciotka będzie się upierała, gniewała, ale musi uleść, gdy termin pojedynku zostanie oznaczony... to jest jeden i jedyny sposób zatrzymania ciotki.

A co do pojedynku... nie ulega żadnej wątpliwości, że taki Sopotkiewicz i radca zmuszą Halusińskiego, ażeby mu dał satysfakcję za obelgę.

Wbiegł szybko po schodach do Sopotkiewicza, otworzył mu sam gospodarz:

— Dzień dobry, sąsiedzie!

— Moje uszanowanie panu dobrodziejowi.

Weszli do gabinetu, a nawet na Polusiu powaga, bijąca od Sopotkiewicza, zrobiła wielkie wrażenie. Sztynny, wyprostowany, w czarnym angielu, z gro-

zną zmarszczką między brwiami, był uosobieniem człowieka, podejmującego ważną misję i czującego doniosłość każdego ruchu i słowa swego.

No, przed takim musi się ukorzyć Halusiński, pomyślał Poluś i z wdzięcznością spojrzął na gospodarza.

— Niechże sąsiad siada, może papierosa, mamy jeszcze kwadrans czasu — mówił z powagą, podając papierośnicę.

— Dziękuję... jakże zdrowie pana dobrodzieja?

— Tak sobie, spałem nieszczególnie, jak zwykle przed każdym ważnym krokiem, bo zawsze to moralna odpowiedzialność narażać swych bliźnich na niebezpieczeństwo... A sąsiad dobrze strzela?

— Nie chwając się, z rewolweru na piętnaście kroków wsadziłem w centrum trzy kule na sześć strzałów.

— Hm... — uśmiechnął się gospodarz — to ślicznie... będzie miał się z pyszna ten kupczyk... Cóż słyhać u sąsiada?

— Wczoraj przyjechała moja ciotka...

— Panna Celina Jemiolkiewiczówna?... tak?... a powód? bo w jej wieku bez poważnego powodu nie rusza się z miejsca.

— To przez moją nieostrożność — spuścił skromnie oczy — po kilku dniach pobytu, czułem się niezdrów w Warszawie, zrobiłem wzmiankę w moim liście i ciocia przyjechała.

— O, musi bardzo kochać sąsiada, ale z temi

kobietami tak zawsze, im się zdaje, że bez nich nie możemy się wyleczyć — uśmiechnął się ironicznie — no, i długo zostaje?

— Dziś jedzie, bo nie cierpi Warszawy.

— A sąsiad?

— To zależy od rezultatu w sprawie pojedynku. Jeśli Halusiński zgodzi się na danie mi satysfakcji, zostanie naturalnie w Warszawie... oczywiście, że i ciocia zostanie.

— Czyż ona wie o pojedynku? — spytał ze zdziwieniem.

— Niestety, tak, panie dobrodzieju i czeka w hotelu na rezultat sprawy.

— Jakże było można wtajemniczać kobietę w rozprawę honorową? — przemówił z wyrzutem w głosie — teraz ona będzie wszystko robiła; użyje wszystkich sprężyn, aby nie dopuścić do pojedynku...

— O, nie moja ciocia — zawołał Poluś z żywością — dowiedziawszy się o obeldze, jaka mnie spotkała, sama uznała, że pojedynek jest konieczny.

— A, zacna kobieta, prawdziwa szlachcianka... Przyznam się sąsiadowi, że miałem pewne wątpliwości, wahałem się, bo zawsze idzie o życie ludzkie... ale teraz, gdy sama kobieta zrozumiała doniosłość sprawy, już się nie waham i będę nieugięty.

— Bardzo dziękuję panu dobrodziejowi — mówił Poluś z wdzięcznością w głosie.

— Sąsiedzie, idziemy — rzekł gospodarz, spojrzawszy na zegarek.

— Jestem gotów — zerwał się Poluś z krzesła. Gdy byli już na ulicy, zaproponował Poluś drożkę.

— Nie opłaci się, sąsiedzie... kilka kroków i już Marszałkowska... a kto powiedział ciotce sąsiada, pannie Celinie, o zamierzonym pojedynku?

— Służba hotelowa, bo przecież wszyscy rozumieją, że takiej obelgi nie puszcza się płazem...

— Ot, widzi sąsiad — uśmiechnął się zadowolony Sopotkiewicz — jaką dobrą opinię mają Ukraińcy... Gdyby ktoś z innych stron, zdziwiliby się wszyscy, że żąda wogóle satysfakcji... taką opinię trzeba szanować i dbać o jej zachowanie. Zatem służba ..

— Tak jest — panie dobrodzieju.

— A wie sąsiad, że istotnie nie przypominam sobie, aby która sprawa honorowa była tak głośną, jak sąsiada... to też postaram się, by jej rozwiązanie w niczem nie uchybiło honorowi szlacheckiemu.

— I powiada pan dobrodzieju, że jest tak znana? — spytał Poluś zaniepokojony, że wcześniej może dojść na Ukrainę, zanim odbędzie się pojedynek.

— Tak, sąsiedzie... wczoraj miałem dowód oczywisty.

— Jaki?

— Idę sobie ulicą, wtem spotykam dawnego są-

siada i przyjaciela, który przyjechał tu po żniwiarko-wiązałkę... i ten ledwie mógł uwierzyć, by podobny despekt spotkał szlachcica od kupczyka. Zkąd wiesz — pytam go — a on odpowiada, że całe miasto o tem mówi.

— To przykra rzecz — przemówił Poluś po chwili — ale da Bóg, że pomszczę się krwawo za znie wagę... a który to sąsiad?

— Z waszych okolic... Berezowicz

— Co? Berezowicz? — spytał Poluś blednąc.

— Tak jest... Cóż to sąsiadowi?

— Nic, nic... niemile mnie dotknęło, że on wie, bo zależy mi na Berezowiczu.

— Wie o początku — uśmiechnął się Sopotkiewicz, — dowie się o końcu i wszystko będzie w porządku... Oto i kamienica radcy.

Słowa Sopotkiewicza nie bardzo pocieszyły Polusia i zły, chmurny, szedł na pierwsze piętro. Sopotkiewicz zadzwonił, pytając służącej:

— Pan radca w domu?

— Czekam... czekam — odezwał się gruby głos radcy z przyległego pokoju — a, witam, witam...

Gdy weszli do małego gabinetu, przemówił Poluś: — Przyszedłem złożyć moje uszanowanie i wyrazić wdzięczność...

— Dziękuję, dziękuję — uśmiechnął się radca, siadając panowie... cóż, idziemy, dobrodzieju?

— W tym celu przyszedłem — odpowiedział Sopotkiewicz z powagą.

— No, i ja przygotowany — uśmiechnął się radca, wskazując na swój czarny anielez, w który się ubrał — cóż, nic się nie zmieniło od naszego ostatniego spotkania?

— Nic, chyba to, że sprawa o tyle stała się poważniejszą, iż wszyscy mówią o niej i nią się interesują.

— Zatem pojedynek?

— Tak jest, gdyż stał się koniecznością.

— Więc idźmy... to u mnie, piętro wyżej.

— Czy pozwoli radca, by sąsiad Jemiołkiewicz oczekiwał tu rezultatu?

— A i owszem, i owszem... oto papierosy i gazetka.

Na drugim piętrze, pod numerem szóstym, radca zadzwonił. Otworzył im sam gospodarz Halusiński, wygolony, wyświeżony, w czarnym angielu, a poznawszy właściciela, rozjaśnił twarz uśmiechem, mówiąc:

— A, pan radca dobrodziej... sługa pana radcy... cóż za zaszczyt dla nas... proszę, proszę panów...

— Przyszliśmy do pana w interesie prywatnym — przemówił radca — pan Sopotkiewicz, mój przyjaciel.

— Bardzo mi miło... proszę... może do saloniku...

— Nie, dziękujemy... my w interesie — podkreślił radca wyraz ostatni.

— Więc proszę tu, do pokoju — wskazał ugrzeczny gospodarz.

Weszli, a tuż za nimi Halusiński. Przez otwarte dalsze drzwi widać było dość liczne towarzystwo pań i panów przy stole, zastawionym przekąskami, tortami i winem.

— Panowie zechcą usiąść... Dziś właśnie imieniny mojej żony... może panowie pozwolą torcika, kieliszek wina — zapraszał gospodarz, zacierając ręce i zwrócił się w stronę saloniku: — Paulisiu, kochaneczko, daj tortu marcepanowego i wina... przyszedł sam pan radca... właściciel i pan...

— Ależ dziękujemy panu — przerwał wymowę gospodarza poważny Sopotkiewicz — my przyszliśmy w bardzo poważnym interesie, w sprawie wielkiej doniosłości...

— Zaraz przystąpimy do interesu — zawołał ugrzeczny Halusiński — natychmiast.

Weszła gospodyni sama, przynosząc na tacy tort, wino i kieliszki. Goście wstali na powitanie.

— Paulisiu, w dzień twoich imienin spotkał nas zaszczyt wizyty... pan radca Korbowski... pan Sopotkiewicz.

Pani, kobieta ładna, elegancko ubrana, skłoniła lekko głową, a radca, ściskając małą, białą rączkę, rzekł z uśmiechem:

— Wszystkich pomyślności... dosiego roku...

— Dziękuję panu radcy.

— Zechce pani przyjąć i moje życzenia — skłonił się Sopotkiewicz z powagą surową.

— Niechże panowie pozwolą... kawałeczek torcika... wina kieliszek...

— O cóż idzie? — spytał uprzejmie.

— Pan, przed kilku dniami zobelżyłeś naszego wspólnego przyjaciela, pana Jemiołkiewicza, naruszyłeś honor jego, przyszedliśmy żądać rachunku z postępowania pana.

Twarz Halusińskiego spoważniała, oczy zabyły, powiedział jednak uprzejmie:

— Nie wiem o żadnej obeldze, wyrządzonej przezemnie panu Jemiołkiewiczowi, a tem mniej o naruszeniu jego honoru i nie rozumiem słów pana.

— Jakto!? — oburzył się Sopotkiewicz — pan zapiera się tego przed nami, o czem pisano nawet w gazetach!?

— Ani myślę wypierać się tego, o czem doniósł *Poranny*, ale w tym wypadku niema mowy o obeldze, o honorze pana Jemiołkiewicza. Ja, panowie, zrobiłem to, co mi nakazywało sumienie, ukarałem go, jak na to zasłużył!

— Ależ taka obelga, taka obraza czynna — zaczął radca poważnie.

W tej chwili w progu pokoju stanęła pani i z miłym uśmiechem spytała męża:

— Może jeszcze wina, Zygmuncie?

— Dziękuję, Paulisiu, sam wezmę — a gdy odezła, zwrócił się do siedzących panów i mówił z pełnym rozczuleniem: — Sami widzieliście ją, panowie, i do takiej cnotliwej, dobrej, zacnej żony

i matki, śmiał on pisać bilecik wyznaczający schadzkę w hotelu, napastować ją na ulicy... musiałem ukarać, to mój obowiązek... a inni mężowie powinni mi być wdzięczni, że nauczyłem rozumu donzuana.

Po chwili milczenia, rzekł surowo i z wielką godnością Sopotkiewicz:

— My, panie Halusiński, nie wchodzimy w pobudki czynu, nam wystarcza fakt... żądamy satysfakcyi!

— Satysfakcyi? — uśmiechnął się — ależ ja, jako mąż, mam zupełną satysfakcyę za obrazę żony... zupełną, ja innej nie żądam. Ukarałem i kwita!

— Ale dla pana Jemiołkiewicza żądamy satysfakcyi — odezwał się radca.

— Czegóż on chce więcej? — zaśmiał się — dostał za swoje i koniec.

— Zatem pan odmawia pojedynku! — zawołał wzburzony Sopotkiewicz.

— Naturalnie, panie dobrodzieju, naturalnie, ja zrobiłem już sobie satysfakcyę!

Po chwilowym namyśle, powiedział radca z groźną powagą:

— W takim razie musimy napisać protokół.

— A... protokół!... i owszem, i owszem... mcze papieru i atramentu... w tej chwili służę... natychmiast, panie radco!